SŁODKO GORZKO

OPOWIADANIA O MIŁOŚCI

RW2010

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SŁODKO

GORZKO

Opowiadania o miłości

Antologia

SŁODKO GORZKO
OPOWIADANIA O MIŁOŚCI
ANTOLOGIA
redaktor prowadzący Piotr Mrok

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012
Redakcja i korekta zespół RW2010
Redakcja techniczna zespół RW2010
Copyright © RW2010
Okładka Copyright © Katarzyna Woźniak, 2012
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012
Wydanie I

ISBN 978-83-63111-63-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl
Oficjalna strona antologii: www.slodko-gorzko.eu

Słowem wstępu

Natura dała nam popęd, a poeci ubrali go w słowa. Tak powstała miłość. I choć miłość szczęśliwa zdarza się jedynie w baśniach, w dodatku tuż przed zakończeniem, wszyscy chcielibyśmy kochać lub przynajmniej słuchać historii o zakochanych.
Autorzy antologii „Słodko Gorzko" zapraszają do spojrzenia na miłość rozgrywającą się w różnych dekoracjach, zniewalającą nagle, wracającą po latach, upominającą się o należną daninę serca.
Z zapartym tchem czytamy opowiadania o współczesnych kochankach, bo mit miłości ma nieskończenie wiele interesujących wcieleń.
Zachęcam do lektury

Małgorzata Gutowska-Adamczyk

Rocznica

Magdalena Zimniak

Dziękuję mojemu bratu, Adamowi Stępniewskiemu, za konsultacje na temat żeglarstwa morskiego, i Marcinowi Gutkowi, pierwszemu czytelnikowi moich tekstów, którego uwagi są dla mnie zawsze bezcenne.

Mirek pił kolejną kawę w przytulnej kawiarni siedleckiego hotelu *Janusz*. Nie odrywał spojrzenia od włosów kobiety siedzącej przy stoliku przed nim. Miały piękny rudozłoty kolor i opadały luźno na ramiona. Tylko jedna ze znanych mu osób obdarzona została przez naturę takim kolorem włosów. Były dłuższe, sięgały pasa. Pamiętał wieczór w lesie, niemal równo dwadzieścia lat temu, kiedy wsuwał palce w te włosy, chował w nich twarz, chłonął zapach. Rok później wziął ślub. Dokładnie rok, jakby ktoś to zaplanował. Właśnie, pomyślał, spoglądając na zegarek. Żona. Wprawdzie powiedział, że spotkanie się przedłużyło, ale nie mógł siedzieć bez końca w kawiarni. Wzdrygnął się na myśl o powrocie. Jutro rocznica ślubu. Zamówiona sala, goście, kwiaty. Jego udział w tym wszystkim stawał się coraz bardziej mechaniczny. Nie, to nawet złe słowo. Każda tego rodzaju impreza coś w nim wypalała. Nigdy jednak nie pomyślał, żeby cokolwiek zmienić. Zresztą jak? A w ogóle po co? Kobieta zapłaciła, wstała i odwróciła się, a Mirkowi zabrakło tchu. To przecież niemożliwe, idioto, skarcił się w duchu. Zielone oczy napotkały jego wzrok, ale po twarzy rudowłosej nie przemknął cień rozpoznania. Mirek powoli się uspokajał. Duchy nie wracają. Całe szczęście. Kobieta, przechodząc koło jego stolika, szukała czegoś zawzięcie w torebce i upuściła pęk kluczy. Schylił się niemal automatycznie i podniósł je.

– Proszę – powiedział, wyciągając rękę.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Dziękuję.

Ten sam głos.

– Ewa – szepnął, zanim zdołał nad tym zapanować.

Potrząsnęła głową, a jej niesamowite włosy rozsypały się wokół drobnej, delikatnej twarzy. Zupełnie jak...

– Mam na imię Ewa – powiedziała spokojnie – ale nie znam pana. Chociaż – zmarszczyła lekko brwi – kogoś mi pan przypomina.

Spojrzała Mirkowi prosto w oczy. W głowie mu zawirowało, serce zabiło jak szalone. Duchy nie wracają, próbował przekonać się w myślach.

– Pani Ewo. – Jego głos był opanowany; odnosił niemal wrażenie, że ktoś inny mówi za niego. – Jutro jest moja rocznica ślubu. Robimy z żoną małe przyjęcie, w tym hotelu, tylko w dużej sali i byłoby mi bardzo miło, gdyby pani wpadła.

To jakaś groteska – proponować coś podobnego obcej kobiecie. Co za różnica zresztą, ona i tak odmówi i nigdy jej nie zobaczy. Albo nie odmówi, bo... nie jest obca.

– Ja... – zawahała się i Mirek wszedł jej w słowo:

– Może to zaproszenie dziwi panią, ale pani również przypomina mi kogoś, kto był dla mnie ważny. Jeśli wolałaby pani nie przychodzić sama, proszę wziąć ze sobą osobę towarzyszącą. Naprawdę byłoby mi bardzo miło, gdyby pani przyszła – dodał z naciskiem.

Kąciki jej ust uniosły się leciutko.

– Przyjdę bardzo chętnie – powiedziała. – Sama. Nie znam w Siedlcach zbyt wielu osób. Daleko zresztą nie będę miała, zatrzymałam się tutaj.

Roześmiała się i wyciągnęła rękę. Uścisnął ją. Zdawał sobie sprawę, że nie wypuszcza jej zbyt długo, ale czuł się zdezorientowany, wstrząśnięty. Powoli cofnęła dłoń.

– Do zobaczenia – powiedziała i szybkim krokiem opuściła salę.

Opadł na krzesło. Powinien iść do domu. Agnieszka z pewnością zaczęła się już niepokoić.

Dwadzieścia lat wcześniej mieszkał jeszcze w Warszawie. Pochodził z Siedlec, ale w gruncie rzeczy nawet nie myślał, że sprowadzi się tu z powrotem. Dopiero kiedy wziął ślub, Witek, kumpel z czasów szkolnych, zaproponował założenie spółki w rodzinnym mieście. Wtedy, tuż po studiach, zdawało się, że stolica daje dużo większe możliwości. Niedawno się obronił i były to jego ostatnie wakacje przed podjęciem pierwszej

poważnej pracy w dużej firmie międzynarodowej. Witek też się tam załapał, a trochę wcześniej zrobił patent sternika morskiego. Załatwił jacht i skompletował załogę. Rejs po Bałtyku nie brzmiał może tak oszałamiająco jak rejs po Morzu Śródziemnym, ale wszyscy nastawieni byli entuzjastycznie. Mirek, Witek, ich koleżanka z klasy Agnieszka, dwóch innych chłopaków z roku i cioteczna siostra jednego z nich – Ewa. Mirek był oczarowany Ewą od momentu, kiedy ją poznał. Spotykali się jedynie u Witka, omawiając trasę rejsu i szczegóły z nim związane, a później odprowadzał ją do domu i długo stali przed klatką, nie mogąc się rozstać. W końcu mówiła, że już naprawdę musi iść i całowała go szybko w policzek. Przytulał ją wtedy krótko, przelotnie; nie miał odwagi przytrzymać jej dłużej w ramionach. Wracał do domu i leżał bezsennie, wypełniony zielonością jej oczu, złotaworudym kolorem przepysznych włosów i miękkim dźwiękiem głosu.

Była inna od wszystkich znanych mu dziewczyn, sprawiała wrażenie znacznie dojrzalszej, może dlatego, że miała już dziecko – śliczną córkę Basię, którą wzięła na jedno ze spotkań. Dziewczynka nie wydawała się zainteresowana trasą rejsu, trzymała matkę kurczowo za rękę, od czasu do czasu mówiąc zawzięcie: „chodźmy już”. W końcu Ewa uśmiechnęła się przepraszająco i powiedziała, że naprawdę muszą iść. Mirek zerwał się, proponując, że je odprowadzi, ale stanowczo odmówiła.

– Nie. – Potrząsnęła głową, a Mirka jak zwykle przeszył dreszcz, kiedy patrzył, jak płomienne włosy rozsypują się wokół ślicznej twarzy. – To popołudnie jest tylko dla nas, prawda, Basiu?

Dziewczynka pokiwała poważnie głową, patrząc na Mirka z nienawiścią.

– Pójdziemy do Łazienek – ciągnęła Ewa z uśmiechem – i będziemy objadać się lodami.

Dziecko roześmiało się radośnie i demonstracyjnie otworzyło drzwi.

Kiedy Mirek odprowadzał Ewę po następnym spotkaniu, dziewczyna opowiedziała swoją historię. Zaszła w ciążę w klasie maturalnej. Była szaleńczo zakochana, zresztą z wzajemnością.

– Teraz jednak wiem – dodała gorzko – że zakochanie różni się bardzo od miłości.

Jej chłopak, rok starszy, student chemii na uniwersytecie, niemal zwariował ze szczęścia, kiedy mu powiedziała o ciąży. Postanowili pobrać

się tuż po maturze Ewy. Zaczęli nawet załatwiać formalności. Któregoś dnia jednak Zbyszek oznajmił, że obiecał rodzicom wstrzymać się rok ze ślubem.

„Widzisz, oni uważają – tłumaczył osłupiałej Ewie – że to ślub pod presją. Powiedzieli, że jeśli za rok wciąż będziemy chcieli być razem, to nasza decyzja stanie się bardziej miarodajna. Przecież ten rok nie ma znaczenia, prawda, kochanie? A oni inaczej nie zaakceptują naszego małżeństwa".

Czym zagrozili? Zerwaniem stosunków z synem? Wydziedziczeniem? Cofnięciem funduszy na wycieczkę zagraniczną? Ewa nie pytała, w ogóle nic nie mówiła.

– Nie spałam całą noc – opowiadała Mirkowi, śmiejąc się, choć jej zielone oczy pozostały poważne. – To była najgorsza noc w moim życiu, ale podjęłam decyzję.

Powiedziała Zbyszkowi, że dziecko, które się urodzi, jest ich wspólnym dzieckiem, ale ona nie może traktować go już jak partnera.

– To dobry chłopak – mówiła, zatrzymując się przed klatką. – Co miesiąc przysyła pieniądze – nie wnikam, swoje czy rodziców – i zajmuje się Basią. Na przykład ja jadę na rejs, a on bierze ją na wakacje na Mazury. Wiele razy po tamtej rozmowie prosił mnie, żebyśmy wrócili do siebie, ale ja nie mogę, chociaż wiem, że jest wspaniałym ojcem i że Basia bardzo go kocha.

Gardło Mirka było ściśnięte, w oczach mu pociemniało.

– Nie możesz – powtórzył zachrypniętym głosem, z całej siły ściskając pięści. – A ty... też wciąż go kochasz?

Roześmiała się, jakby powiedział świetny dowcip, po czym nagle spoważniała.

– Teraz wiem, że nigdy go nie kochałam. Tamto wtedy było zauroczeniem, namiętnością... zakochaniem. W odpowiednich warunkach mogłoby przerodzić się w miłość. Oczywiście, w pewnym sensie zawsze pozostanie mi bliski. Jest przecież ojcem mojego dziecka.

Mirek pokiwał ponuro głową. Tłumaczenie wydawało mu się mętne.

– Mogłam go pokochać, ale ta szansa została zaprzepaszczona w dniu, w którym powiedział, że na razie się ze mną nie ożeni. Nie twierdzę, że to jego wina. To raczej tkwi we mnie.

Mirek stał zdezorientowany. Nie wiedział, czy jej wierzyć i czy w ogóle ma prawo wypytywać o tego rodzaju sprawy.

– Dziękuję – powiedziała nagle.

Spojrzał zdziwiony.

– Za co?

– Że mnie wysłuchałeś... że zawsze mnie słuchasz.

Wtedy właśnie uwierzył w każde jej słowo.

– Muszę iść – szepnęła, zbliżając gorące usta do jego policzka. – Basia czeka.

Przytrzymał ją w ramionach nieco dłużej niż zwykle.

Melodyjka komórki przywróciła go do teraźniejszości. Nawet nie musiał patrzeć na wyświetlacz, żeby wiedzieć, kto dzwoni.

– Cześć, Agnieszko.

– Cześć. – Głos żony był jak zwykle łagodny. Tylko jeden raz w życiu zdenerwowała się na niego. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedział, jak robił to zazwyczaj. – Zaraz wracam.

– To na razie. Zaczynam odgrzewać obiad, kochanie.

Gardło miał tak ściśnięte, że nie był w stanie wykrztusić „dziękuję”. Wsunął telefon z powrotem do kieszeni, zapłacił za kawę i wolnym krokiem udał się do samochodu.

Do portu na Helu dotarli około siódmej wieczorem. Czekał na nich jacht, którym wszyscy zgodnie się zachwycili. Mieli spędzić na nim noc, jeszcze na lądzie, i wyruszyć z samego rana. Siedzieli przy ognisku, pijąc wino, żartując. Ewa opierała się o Mirka leciutko. Objął ją, przyciągając bliżej.

– Nie masz ochoty się przejść? – spytał, dotykając ustami jej włosów.

– Wielką. – Ścisnęła jego dłoń na swoim ramieniu.

Podnieśli się jednocześnie i poszli, trzymając się za ręce. Kiedy Mirek był już pewien, że nikt ich nie zobaczy, zatrzymał się, odwrócił ją ku sobie i zrobił to, o czym tak długo marzył w bezsenne noce. Wplótł palce w płomiennozłote loki i przysunął twarz do jej twarzy. Nie protestowała, sama otoczyła go ciasno ramionami i rozchyliła usta. Całowali się jak szaleni. Tylko całowali. Nie spieszyli się. W końcu mieli przed sobą rejs, a później całe życie.

Mirek zaparkował i opuścił samochód. Ból w piersiach, kiedy pokonywał schody na czwarte piętro, był dotkliwszy niż zazwyczaj. Powinien chyba zbadać serce. Przekręcił klucz w zamku. Agnieszka wyszła do przedpokoju. Miała na sobie dopasowane czarne dżinsy i granatową obcisłą bluzeczkę. Ciemnowłosa i ciemnooka, wysoka i szczupła, wciąż piękna pomimo upływu lat. Żona, jaką mężczyzna lubi się pochwalić w towarzystwie.

– Cześć, kochanie – powiedziała niskim, aksamitnym głosem i uśmiechnęła się.

Zawsze promieniowało od niej ciepło. Co z tego, skoro przez dziewiętnaście lat małżeństwa nie zdołali pogrzebać trupów? Zbliżyła się, całując go w policzek. Owionął go zapach jej perfum i Mirek poczuł niespodziewane pożądanie. Wsunął dłonie pod jej bluzkę, gładząc plecy, potem przesunął ręce do przodu, ściskając pełne piersi.

– Nie ma dzieci? – upewnił się.

Paweł i Ania mieli wrócić z obozu w nocy. Jeśli jednak autokar wyruszył wcześniej, mogli już dotrzeć. Agnieszka pokręciła głową, odwzajemniając pieszczoty. Kochali się na podłodze w przedpokoju, zachłannie, z niemal żarłoczną namiętnością. Mirek patrzył w czarne oczy żony, a gdzieś w środku, jeszcze bardziej intensywnie niż zazwyczaj, czuł zieloność innego spojrzenia. Smutek, który przyszedł, kiedy skończyli, był niemal nie do wytrzymania. Bez słowa sięgnął po ubranie. Agnieszka również milczała, wkładając bluzkę i spodnie. Wiedział, że mu się przygląda i nie mógł tego znieść.

– Widzisz, co zrobiłeś? – powiedziała w końcu żartobliwie. – Będę musiała odgrzać obiad jeszcze raz.

Roześmiał się niepewnie i pokiwał głową, nie mając odwagi wyznać, że nie jest głodny.

Siedzieli w kuchni, Agnieszka opowiadała o czymś, ale Mirek nie nadążał. Na wyraźne pytania odpowiadał monosylabami. Nie naciskała, nie wymagała aktywnego udziału. Jak zwykle była wzorem wyrozumiałości. W końcu nałożyła obiad na talerze i zamilkła, jakby zmęczył ją monolog.

Mirek z wysiłkiem przełknął ostatni kęs.

– Dziękuję, kochanie – powiedział, przywołując na twarz coś w rodzaju uśmiechu. – Było pyszne.

– To miło, że tak uważasz – odrzekła cicho.

Mirkowi wydawało się, że jej głos brzmiał smutniej niż zwykle, ale za moment przestał o tym myśleć. Wstawił naczynia do zmywarki.

– Na chwilę się położę – powiedział. – Zdrzemnę się przed odebraniem dzieci.

Nie czekając na reakcję, przeszedł do sypialni. Wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Wiedział, że Agnieszka nie pójdzie za nim, przynajmniej nie od razu. Doświadczenie nauczyło ją, że nie powinna mu w takich momentach przeszkadzać.

Rejs zapowiadał się wspaniale. Pierwszy dzień na morzu był przepiękny, pogoda cudowna. Mirek cały czas trzymał się blisko Ewy, niby przypadkiem dotykał jej dłoni. Czuł się szczęśliwy, kiedy się uśmiechała; a słuchając jej perlistego śmiechu, myślał, że zawsze będzie robił wszystko, żeby go wywoływać. Zawsze. Chwytał jej spojrzenia i wiedział, że ona też tego pragnie. Wieczorem dobili do portu. Kapitan, jak wszyscy z pewną dozą ironii nazywali teraz Witka, zdecydował, że tę noc spędzą jeszcze na lądzie, chociaż mieli konieczne oświetlenie. Do pełnego morskiego życia musieli się przyzwyczaić. Tej nocy Mirek znów wyciągnął Ewę na spacer. Ponownie całowali się długo, ale nie posuwali się dalej. Ten pierwszy raz zostawili na później.

Powiedział, że ją kocha, a ona roześmiała się, lecz zaraz spoważniała.

– Myślę, że to zakochanie. Wiem już coś na ten temat, pamiętaj.

Potrząsnął głową.

– Kocham cię – powtórzył z uporem.

– Może kiedyś mnie pokochasz.

– Kocham cię – był zdecydowany mówić to tak długo, aż ją przekona. – A ty?

– Ja też jestem zakochana – odrzekła miękko. – I też mogę cię pokochać. – Zamilkła. – Nie myślałam, że to jeszcze możliwe – dodała tak cicho, że ledwie usłyszał.

Myślał, że serce wyrwie mu się z piersi ze szczęścia. To nie było wprawdzie wymarzone wyznanie, ale nie wątpił, że niedługo je usłyszy.

– Zamieszkamy razem? – szepnął, wtulając twarz w jej włosy.

– Mirek... pomyślimy o tym później, na razie cieszmy się chwilą.

Nie naciskał; wiedział, że ją przekona. Miłość pokonywała wszystkie przeszkody.

Drzwi sypialni uchyliły się. Agnieszka nie wytrzymała, musiała zajrzeć. Nie otwierał oczu, oddychał równomiernie. Chociaż nie była pewna, czy śpi, wycofała się po cichu. Miał nadzieję, że jeszcze jakiś czas zostawi go w spokoju. Na dworze zaczynało robić się szaro. Mirek zapalił lampkę nocną i wyciągnął szufladę z albumami. Na samym dole leżał ten, który go interesował. Przerzucał kartki, koncentrując się na rudowłosej, zielonookiej dziewczynie. Ta z hotelu *Janusz*... Czy możliwy był przypadek? Czy takie podobieństwo zdarza się w życiu? Zapewne tak, słyszał przecież, że ludzie mają sobowtórów. Ale te same gesty, ten sam uśmiech, głos...

Wciąż wpatrywał się w oczy dziewczyny, ale to już nie było zdjęcie. Znów znajdowali się razem na jachcie, uśmiechnięci, zachwyceni. Słońce nadal paliło, chociaż jakby mniej niż z rana. Po niebie sunęło parę chmur, lecz ich ilość rosła w niesamowitym tempie i niedługo zrobiło się niemal zupełnie ciemno.

– Powinniśmy dobić do brzegu – powiedział Witek.

Mirek drgnął, słysząc dziwną nutę w głosie przyjaciela. Twarz Witka była napięta, w oczach czaił się niepokój.

– Obawiam się, że za chwilę może być sztorm – dodał kapitan. – Ta cisza w połączeniu z chmurami zupełnie mi się nie podoba.

Jakby na potwierdzenie jego słów – zagrzmiało. Nie minęło nawet pięć minut, a wiatr szalał, spienione fale sięgały kilkunastu metrów i kołysały łódką, strugi deszczu lały się z nieba, nabierali takich przechyłów, że parę razy woda wlała się również za burtę z morza. Załogę ogarnęła panika. Słyszeli, że jacht był niewywracalny, ale co to tak naprawdę znaczyło? Komendy Witka sprawiały wrażenie chaotycznych, niemal na granicy histerii.

– Widzicie? – W głosie kapitana wreszcie zabrzmiała ulga. – Statek ratunkowy się zbliża, zaraz nam pomogą.

Ewa wstała, zamierzając przesiąść się na drugą stronę.

– Nie! – zawołał Witek. – Nie możesz tak stać, kur... – Huk piorunu zagłuszył przekleństwo.

W tym samym momencie nastąpił niekontrolowany zwrot przez rufę, a przelatujący bom uderzył dziewczynę w głowę, wyrzucając ją za burtę.

– Gdzie ona jest?! – krzyczał Witek. – Szukajcie, musimy ją wyłowić, ja trzymam ster.

Ewa jednak znikła pod spienionymi falami, jakby żarłoczne morze natychmiast ją pochłonęło.

– Nie ma, nie widać – powtarzał ktoś z rozpaczą.

Łódź ratunkowa była już przy nich.

– Macie problemy? – zawołał ktoś ze statku. – Bierzemy was na hol!

– Dziewczyna wpadła do wody i nie możemy jej znaleźć! – odkrzyknął Witek.

– Spokojnie, mamy kamery noktowizyjne, zaraz ją zlokalizujemy.

Minuty jednak mijały, a Ewy nie było. Ani śladu.

– To nie ma sensu. – Decyzja zapadła na statku ratunkowym. – Musimy wracać. Jak trochę się uspokoi, przyślemy helikoptery.

– Już i tak jej nie pomożemy – powiedział Witek grobowym tonem.

Odpowiedziało mu milczenie.

Burza powoli uspakajała się. Kiedy zawinęli do portu, morze wygładziło się, słońce wychodziło zza chmur. Mirek siedział jak skamieniały, w głowie wciąż mu huczało, odgłosy rozmów nie dochodziły do niego. Ewy nie było. Wypadła za burtę, a on, zamiast wyskoczyć i ją uratować, pozostał bezpieczny na łodzi. Nagle, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął krzyczeć. Wszyscy w pobliżu zamarli. Tylko Agnieszka podeszła i objęła go w pasie, a jego wrzask powoli zamieniał się w szlochanie. Dziewczyna nie mówiła nic, płakała razem z nim.

– Nie skoczyłem – powiedział w końcu, kiedy był w stanie wyartykułować cokolwiek. – Nie skoczyłem, a ona utonęła.

– Nikt nie skoczył – tłumaczyła. – Nie było jej widać. Gdybyśmy skoczyli, moglibyśmy wszyscy utonąć.

– Nie skoczyłem – powtarzał. – Ja nie skoczyłem.

Helikoptery zostały wysłane. Ewy nie znaleziono.

Drzwi sypialni otworzyły się. Agnieszka podeszła do męża i wyjęła album z jego dłoni. Rzuciła okiem na zdjęcie i wsunęła album do szuflady, zamykając ją nieco głośniej niż zwykle.

– Jutro dziewiętnasta rocznica naszego ślubu – powiedziała chłodno.

– I dwudziesta rocznica dnia, który uważamy za datę jej śmierci – przypomniał.

Usta Agnieszki zadrżały, ale ujęła rękę męża w obie dłonie. Kiedyś Mirek wierzył, że jej siła starczy dla nich dwojga. Mylił się.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytała.

Roześmiał się.

– Dawno już przestaliśmy o tym rozmawiać. To niewygodne.

Cofnęła dłonie. Wiedział, jak bardzo zabolał ją sarkazm jego tonu i sprawiło mu to przyjemność.

– Jeszcze jedno – dodał, podnosząc się. – Poznałem dziś kobietę.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

– Chciałbym, żebyś ty też ją poznała. To ciekawa osoba, zaprosiłem ją na naszą jutrzejszą rocznicę.

Ranił ją specjalnie, a przecież wolałby krzywdzić samego siebie. Nikt nigdy nie dał mu więcej niż ona.

– Teraz idę do Witka. Muszę obgadać z nim parę spraw. Jak dzieci będą dojeżdżać, zadzwoń do mnie.

– Może odbiorę je sama? – zaproponowała.

– Ależ skąd, przecież jutro nasza rocznica.

Jego ton wciąż był sarkastyczny, ale niespodziewanie przyciągnął ją do siebie i wpił się w jej usta. Jak zwykle zmiękła w jego ramionach. Odsunął ją lekko i obrysował palcem pełne wargi.

– Dlaczego ty jesteś taka dobra? – szepnął, po czym, nie patrząc już na żonę, wyszedł z domu.

Mniej więcej rok po ślubie wyjechali pod namiot nad morze. Którejś nocy Mirek wyślizgnął się ze śpiwora i poszedł na plażę. Niebo było bezchmurne, morze spokojne, niemal zupełnie gładkie. Ściągnął buty i wszedł do wody, mocząc nogawki spodni. Czy Ewa leżała gdzieś na dnie czy może... może przeżyła? Nikt w to nie wierzył, nikt oprócz niego.

– Ewa! – zawołał z rozpaczą.

Odpowiedział mu tylko szum fal.

– Ewa! – powtórzył wołanie.

– Mirek!

Odwrócił się. Za nim stała Agnieszka. Oddychała szybko, jakby całą drogę z namiotu pokonała biegiem.

– Co robisz?! – krzyknęła.

– Szukam jej – odpowiedział smutno.

Podeszła do niego, chwyciła jego koszulkę i zaczęła nim trząść.

– Ona nie żyje, to ja jestem twoją żoną, ja, rozumiesz?! Ja! – Zaniosła się rozpaczliwym szlochem. – Nie mogę już tego wytrzymać! – Łkała, okładając go pięściami.

Nie bronił się, nie unikał jej ciosów, nie powiedział nic. Nie miał pojęcia, po jakim czasie się uspokoiła i powiedziała, żeby wracali.

To właśnie był jeden, jedyny raz, kiedy straciła panowanie nad sobą. Nigdy już imię Ewy nie padło, nawet gdy Agnieszka patrzyła, jak mąż przegląda stare zdjęcia. Nigdy też nie pojechali więcej nad morze.

Wsiadł do samochodu i wyciągnął komórkę. Może należało przynajmniej zawiadomić o wizycie?

– Przyjadę do ciebie – powiedział bez wstępów, kiedy przyjaciel odebrał. – Musimy pogadać.

– Myślałem, że wieczory, kiedy żony z dziećmi nie ma, bo wybywają na wakacje, należą tylko do mnie – mruknął Witek – ale jak musisz, to wbijaj.

Mirek rozłączył się.

– Pieprzyć twoje wieczory – powiedział na głos, chowając telefon do kieszeni.

Oczywiście nie kontynuowali rejsu. Do Warszawy wrócili pociągiem. Zarówno w podróży, jak i po niej, Agnieszka była w pobliżu. Wysłuchiwała samooskarżeń Mirka, znosiła napady wściekłości. Uspakajał się przy niej, odprężał go jej dotyk. Któregoś wieczoru poczuł, że bliskość tej dziewczyny daje mu coś więcej niż tylko odprężenie. Pożądanie wstrząsnęło nim. Tej nocy kochali się wielokrotnie, a rano Mirek oświadczył się i został przyjęty.

Ciała nigdy nie znaleziono.

Właśnie. Mirek był już pod blokiem Witka. Ciała nigdy nie znaleziono. Przeskakiwał po dwa schodki. Tym razem serce go nie bolało.

– Napijesz się piwa? – zapytał Witek, wpuszczając przyjaciela do domu.

– Oszalałeś? Przecież odbieram jeszcze dzieci.

W salonie rzucił się na fotel.

– Myślę, że ona żyje – wychrypiał.

Witek zamrugał powiekami.

– Kto?

– Ewa.

Witek potrząsnął głową. Wielokrotnie wcześniej przyjaciel dzielił się z nim teorią, że Ewa mogła przeżyć.

– Rozmawialiśmy już o tym. – Nie dodał, że temat wałkowali tysiące razy. – Nie mogła się uratować. Nie w tych warunkach.

– Widziałem ją dzisiaj.

– Co? – Wreszcie w głosie Witka pojawiło się zdumienie.

– Widziałem – powtórzył Mirek.

Witek westchnął ciężko. Rozmawianie o tym zawsze sprawiało mu trudność.

– Wydawało ci się.

– Patrzyłem na zdjęcia. To ona. Zobaczysz ją zresztą, zaprosiłem ją na przyjęcie jutro.

– Opowiedz po kolei.

Witek wysłuchał spokojnie.

– To nie może być ona. Gdyby nawet... gdyby nawet przeżyła, dlaczego miałaby się nie ujawniać tyle lat?

– Dlatego, że jej nie uratowałem – odparł Mirek posępnie.

– Przecież to bzdura. Nawet gdyby była zdolna do tego rodzaju zemsty, sądzisz, że zrobiłaby to swoim rodzicom, a przede wszystkim dziecku?

– Nie wiem.... Przecież w gruncie rzeczy niewiele o niej wiedzieliśmy. Może zadziałały bardzo silne emocje. A może straciła pamięć?

Witek pociągnął łyk piwa.

– Wybacz, stary, to naciągane.

– Zobaczysz ją jutro.

Witek wzruszył ramionami.

– Sądzę, że wciąż zmagasz się z wyrzutami sumienia. Zrozum, nie mogłeś jej uratować. Jeśli ktoś powinien czuć się winy, to tylko ja. Ja byłem sternikiem.

– Oglądałem zdjęcia. – Mirek nie zwracał uwagi na słowa przyjaciela. – Zobaczysz jutro.

– Zobaczę – powiedział Witek ugodowo. Miał już dość tej rozmowy.

W tym momencie rozdźwięczała się komórka Mirka.

– Dzieci zjawią się za pół godziny – oznajmiła Agnieszka.

– Dam ci sygnał, jak będę dojeżdżał do domu, zejdź na dół.

W drodze na dworzec nie odezwali się słowem. Później też niespecjalnie rozmawiali, ale dzieci mówiły tak dużo, że postronny świadek z pewnością nie zwróciłby uwagi na milczenie rodziców. Mirek pomyślał z dumą, że dzieci mają udane. W gruncie rzeczy wszystko, co dawała mu Agnieszka, było najlepsze.

Zanim obejrzeli zdjęcia z obozu, minęła już północ. Dzieci rozeszły się do pokoi, Agnieszka bez słowa udała się do sypialni. Mirek siedział przed telewizorem, bezmyślnie zmieniając kanały. Wypełniała go zieleń oczu i złotaworudy kolor włosów. Jak kiedyś. Tylko że nic nie mogło być już takie jak kiedyś.

Przyjęcie zaczęło się dwadzieścia minut temu, ale kobiety o rudych włosach wciąż nie było. Może nie przyjdzie, pomyślał Mirek, dolewając wina najbliższym sąsiadom. Agnieszka odmówiła. Wyglądała, jakby trawiła ją gorączka. Oczy jej błyszczały, ceglaste wypieki wystąpiły na policzki. W czerwonej dopasowanej sukience z głębokim dekoltem przyciągała męskie spojrzenia niczym magnes. Mirek zdawał sobie sprawę, że nawet dużo młodsi faceci zerkają co chwilę na jego żonę. Niespodziewanie nabrał ochoty, żeby ją stąd wyprowadzić.

– Dobrze się czujesz? – spytał.

Spojrzała, jakby nie rozumiała jego słów. Nagle wzrok Agnieszki powędrował gdzieś ponad jego ramieniem i twarz, do tej pory pokryta rumieńcem, zbladła przeraźliwie. Mirek powoli odwrócił głowę. W progu sali stała kobieta o rudych włosach. W zielonej zwiewnej sukience wyglądała jeszcze bardziej olśniewająco niż wczoraj.

– To twoja znajoma, ta, którą miałeś mi przedstawić? – zapytała Agnieszka, wstając.

Nie odpowiedział. Czuł się jak w transie. Ruszyli razem w kierunku nowego gościa.

– Dobry wieczór. – Ewa uśmiechnęła się przepraszająco. – Proszę mi wybaczyć spóźnienie, ale udało mi się załatwić na dziś obejrzenie obrazu El Greco. Niesamowite wrażenie.

– Nie szkodzi. – Głos Mirka był tylko trochę zachrypnięty. – Cieszę się, że pani wpadła. Agnieszko – zwrócił się do żony. – To właśnie pani Ewa, o której ci mówiłem. Pani Ewo, to moja żona, Agnieszka.

Kobiety uścisnęły sobie ręce. Zdawało się, że Agnieszka odzyskała całkowicie panowanie nad sobą.

– Bardzo mi miło panią poznać. Porywam na chwilę na damskie ploteczki. Usiądźmy i napijmy się razem, dobrze?

Zanim Mirek zdążył zaprotestować, został sam. Trochę nieprzytomnie powiódł wzrokiem po sali. Niektórzy goście zaczęli już tańczyć. Przy stole zrobiło się luźniej. Krzesło po prawej stronie Witka było wolne, a on sam, z półotwartymi ustami, nie odrywał wzroku od rudowłosej kobiety rozmawiającej z Agnieszką. Mirek uśmiechnął się bez satysfakcji.

– No i co? – spytał, zajmując miejsce obok przyjaciela. – Masz dosyć głupią minę.

Witek powoli się odwrócił.

– To rzeczywiście niesamowite – powiedział.

Mirek dostrzegł kieliszek, który wyglądał na nieużywany, i nalał sobie wina. Wychylił do dna.

– Zmieniłeś zdanie? To ona, prawda?

– To nie może być ona – odpowiedział ze smutnym uśmiechem.

– Dlatego, że to było otwarte morze i nie mogła się uratować?

– Nie. Dlatego że ta dziewczyna może mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ewa była w naszym wieku.

Mirek, który zdążył już nalać sobie następny kieliszek i przystawić go do ust, zakasłał gwałtownie, opryskując przyjaciela winem.

– Uważaj trochę – mruknął Witek, sięgając po serwetkę i wycierając dokładnie twarz. – Sam widzisz, że twoja obsesja jest na pograniczu szaleństwa – kontynuował nieco mentorskim tonem.

Mirek nie słuchał. Znów podniósł kieliszek, ale po namyśle go odstawił. Powinien być trzeźwy. Właśnie teraz.

– A więc nie żyje – powiedział w zamyśleniu.

– Nie żyje, najwyższy czas, żeby to do ciebie dotarło.

Mirek pokiwał głowa, patrząc na Agnieszkę. Nie widział jej twarzy, siedziała odwrócona do niego tyłem. Rudowłosa dziewczyna mówiła dużo i z przejęciem, żywo gestykulując. Serce Mirka biło ciężko. To nie ona, powtarzał w myślach raz po raz. Ona nie żyje.

Agnieszka wstała. Sam nie wiedział, dlaczego odwrócił wzrok. Poczuł jej rękę na ramieniu.

– Wiedziałeś, że to ona?

Podniósł głowę. Twarz żony zalana była łzami. Usiłował przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek wcześniej widział, żeby płakała. Ależ tak, wtedy, na jachcie i w pamiętną noc na plaży.

– To nie może być ona – powiedział niemal z rozpaczą.

– Idź, czeka na ciebie.

Szedł, patrząc w zielone oczy Ewy. Wróciła, wbrew wszelkim kalkulacjom, wbrew logice. Gdzie podziały się czasy, kiedy wtulał twarz w jej włosy, chłonąc ich świeży zapach, nie pragnąc niczego więcej? Opadł na krzesło obok.

– To niesamowite, że się spotkaliśmy – usłyszał jej głos.

Czy drwiła z niego? Nie był w stanie zdobyć się na odpowiedź.

– Pana żona uświadomiła mi, kim pan jest i wszystko wskoczyło na swoje miejsce.

Znów spojrzał prosto w jej oczy i poczuł przeszywający ból.

– O czym mówisz, Ewo?

– Spotkaliśmy się raz, kiedy mama wzięła mnie na spotkanie przed rejsem. Nienawidziłam pana tak mocno. Nic dziwnego, że pana twarz wryła mi się w pamięć. – urwała na chwilę, po czym ciągnęła lżejszym tonem: – Oczywiście, widziałam też wielokrotnie pana zdjęcia.

Straszliwy ciężar powoli zsuwał się z serca. Coś jednak się nie zgadzało.

– Córka miała na imię Basia.

Dziewczyna roześmiała się.

– Ojciec po śmierci mamy uparł się, że będzie nazywał mnie Ewą. Myślę, że w ten sposób stawiał jej pomnik. Mógł to zrobić, bo na drugie mam Ewa.

– Ty... pani naprawdę jest jej córką? – Jeszcze nie mógł uwierzyć, a przecież to najlepiej tłumaczyło niezwykłe podobieństwo.

– Naprawdę. – Uśmiechnęła się ciepło. – Proszę mi mówić po imieniu. Już dawno przestałam pana nienawidzić.

Musiał jej powiedzieć. Inaczej nigdy nie pogrzebie trupów. Dziewczyna nie przerywała, wysłuchała spokojnie do końca.

– Nie mógł pan nic zrobić – powiedziała, gdy skończył.

Tyle razy już to słyszał, ale tym razem spodziewał się czegoś innego.

– Mama nie żyje, ale jestem pewna, że chciałaby, aby pan żył – dodała, kładąc rękę na jego dłoni.

To brzmiało trochę lepiej, ale nadal trąciło banałem.

– Przebaczysz mi? – spytał, ściskając jej palce.

Zawahała się chwilę. Wiedział, że w pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że nie ma czego przebaczać, ale zdusiła te słowa.

– Przebaczam – powiedziała poważnie.

To był głos Ewy, jej spojrzenie. Po raz ostatni.

– Dziękuję – szepnął z wdzięcznością. – Muszę... muszę teraz coś zrobić.

Puścił jej rękę i wstał. Poszukał spojrzeniem żony, ale nie było jej przy stole. Gdzie do diabła... ? Odetchnął, widząc ją na parkiecie w ramionach Witka. Podszedł i dość niepewnym gestem rozdzielił ich.

– Przepraszam – powiedział. – Chcę zatańczyć z żoną.

Witek zaczął protestować, ale Mirek, już znacznie pewniej pociągnął Agnieszkę i otoczył ją ramionami.

– Nigdy ci nie mówiłem, że w wieczór przed sztormem wyznałem Ewie, że ją kocham.

Poczuł, jak sztywnieje, i przyciągnął ją bliżej.

– Wiesz, co odpowiedziała?

– Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć – odrzekła Agnieszka.

– Powiedziała, że możemy się kochać, ale w przyszłości. To, co czujemy teraz, to zakochanie.

Agnieszka milczała, a on chciał mówić dalej, ale nagle zabrakło mu słów. Odetchnął parę razy głęboko.

– Miała rację – ciągnął po chwili. – Nie można kochać kogoś, w gruncie rzeczy go nie znając. Miłość... – urwał. Mógłby zrobić teraz wykład, tylko po co? – Kocham cię – powiedział tak głośno, że kilka tańczących w pobliżu par odwróciło się z uśmiechem w ich kierunku. Agnieszka stanęła i delikatnie go odsunęła. Jej twarz znów zalana była łzami.

– Robię się strasznie sentymentalna – rzekła bez uśmiechu, ocierając policzki wierzchem dłoni. – Nigdy wcześniej... – Głos uwiązł jej w gardle.

Rzeczywiście, nigdy wcześniej tego nie powiedział.

– Wiem. Kocham cię – powtórzył.

– Biorąc pod uwagę, że musisz nadrobić dziewiętnaście lat, wolno ci powtarzać to często. – Wreszcie się uśmiechnęła.

Przyciągnął ją z powrotem i pocałował w usta. Nawet nie zwrócił uwagi, że muzyka przestała grać. Dopiero gdy rozległy się oklaski, oderwał się od żony. Skierował wzrok na gości i napotkał spojrzenie roześmianych

zielonych oczu rudowłosej dziewczyny. Przeszył go znajomy ból, ale trwał krótko.

– Zdrowie młodej pary! – krzyknął ktoś i goście zaczęli wznosić kieliszki.

Rzuć między nas

Piotr Mrok

Przez całe życie miałem dziwne uczucie, że wszystko co się w nim dzieje, to tylko preludium, nic nieznacząca etiuda przed właściwym spektaklem, podczas którego będę siedział z szeroko otwartymi ustami, a gdy opadnie kurtyna, zerwę się z krzesła i zacznę ze łzami w oczach bić brawo.

Kochałem Laurę zawsze. Marzyłem o niej nawet wtedy, gdy jeszcze się nie znaliśmy i nie wiedziałem, że ma na imię Laura. Pisałem dla niej wiersze, układałem w głowie misterne plany tego dnia, w którym spotykamy się po raz pierwszy, a świat iskrzy i trawa robi się naprawdę zielona. Wyobrażałem sobie te wszystkie chwile, w których bez względu na to, co robimy, jest nam cudownie i nie zamierzamy się zastanawiać dlaczego.

Przez dwa lata szkoły średniej myślałem, że moja Laura ma na imię Monika; kruczowłosy podlotek o piwnych oczach torturował mnie swoją obecnością co poniedziałek na przystanku autobusowym, stojąc pod kasztanowcem, zawsze w tym samym miejscu, jak gdyby czekając cierpliwie, aż zbiorę się na odwagę, by kupić los na loterię.

Gdy zamieniliśmy pierwsze słowa, żaden piorun nie uderzył z nieba, nie rozbłysła choćby mała iskierka. Zupełnie jakby Bóg zaspał i zapomniał popchnąć nas ku sobie, a może po prostu stracił cierpliwość, bo ileż można stwarzać doskonałe okazje, które ktoś z uporem maniaka marnuje?

W tamtej chwili całe powietrze ze mnie uszło i nie zaprosiłem jej nawet do kina, bo nagle nie widziałem takiej potrzeby. I tak by zresztą odmówiła. Wyczytałem to z jej twarzy.

Kilka lat później spotkałem Monikę w autobusie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Rozpoznałem oczy i zadarty nosek. Miałbym pewność gdyby nasze spojrzenia się spotkały, ale dziewczyna patrzyła uparcie w szybę, jakby z obawy, że znów zacznę się jej narzucać.

Ale to oczywiście mogła nie być ona, bo przecież tamtego roku byłem świeżo po rozstaniu z Dorotą, a wiadomo, że człowiek w chwilach panicznej samotności miewa urojenia. Kręciłem z Dorą półtora roku, cudowne osiemnaście miesięcy wypełnione trzymaniem się za ręce, całowaniem się w autobusach, ku zgorszeniu staruszek, oraz baraszkowaniu w spoconej pościeli. Jednak w końcu okazało się, że to za mało, aby serce mogło bić, jak mówi piosenka ze znanego serialu.

Nie pamiętam dokładnie, jak i kiedy spotkałem Laurę. Po serii dłuższych i krótszych miłostek pewnego dnia uświadomiłem sobie, że w moim życiu jaśnieje złotowłosa dziewczyna, która napełnia je tlenem, sensem, radością. Dziś myślę, że po prostu była ze mną od urodzenia, jak anioł stróż czy wróżka, no bo jak inaczej wytłumaczyć, że poruszałem ustami przez taki szmat czasu i budziłem się co rano bez stymulatora wstawionego w popękane serce.

Wiosną zamieszkaliśmy razem, by oglądać przedwojenne komedie z Adolfem Dymszą i gotować krupnik co niedziela. Jeszcze na studiach zupa ta znajdowała się na szczycie listy rzeczy, których nienawidzę. Choćbym miał umrzeć z głodu, nie zjem tego obrzydlistwa, tak mówiłem. Laura uświadomiła mi, że aby krupnik smakował, potrzeba dwojga, podobnie jak do tanga.

Był taki jeden gorący lipcowy tydzień, gdy związaliśmy sobie dłonie apaszką i żyliśmy normalnie jak gdyby nigdy nic. Obieraliśmy razem kartofle, jedno trzymało nóż, drugie obracało strugane warzywo. Diabelnie trudne, z pozoru. Po godzinie nabraliśmy wprawy, podobnie jak z kąpielami, a nawet jedzeniem ryżu pałeczkami, o uprawianiu miłości nie wspomnę, bo to oczywiste. Jak się przebieraliśmy? Przecież wtedy musielibyśmy się rozłączyć. Wolne żarty. Od kiedy to dwoje pożądających się ludzi chodzi po domu w ubraniach?

Jesienią, gdy kasztany już przekwitły, zgodnie stwierdziliśmy, że nasz związek dobił do ściany zbyt grubej, by rozbić ją słowami. Pościel stała się sucha i gładka jak stół, a krupnik przestał smakować.

– Trzy lata. I tak sporo wytrzymaliśmy – stwierdziła tamtej nocy, gdy po raz kolejny poszliśmy do łóżka tylko po to, by zasnąć.

– I co z tym zrobimy? – zapytałem, bardziej bojąc się tego, że zechce mnie błagać o kolejny dzień, niż tego, że odejdzie.

Cicha ciemność zagarnęła pokój, a my leżeliśmy odwróceni do siebie plecami. I wtedy przemówiła tym nieludzkim językiem, dającym pozorną nadzieję, ale jednocześnie niepozostawiającym złudzeń.

– Wiesz, kiedyś słyszałam, że jeżeli dwoje ludzi ma ze sobą być, to nieważne kiedy, jak i gdzie, w końcu i tak się odnajdą i będą razem na zawsze.

W identyczny sposób lekarz mówi, że nie ma szans, ale może warto spróbować modlitwy. I ja się pochwyciłem tego marzenia o cudzie.

– Jak w tej piosence Czerwonych Gitar? – zapytałem, wpatrując się w pustkę. Nie wiem, po co nadal trzymałem otwarte powieki.

– Tak, dokładnie – odparła Laura i zacytowała refren:

Rzuć między nas
Najszerszą z rzek
Najgłębszy nurt
Najdalszy brzeg
Rzuć między nas
To co w nas złe
A ja i tak, odnajdę Cię

– Myślisz, że się odnajdziemy? – wyszeptałem, zamykając wreszcie oczy.

– Tak, ukochany, jeśli nam to pisane, to tak.

*

Rano już jej nie było. Znikły ubrania, nawet błękitna sukienka, którą poplamiliśmy wiśniami, gdy jedliśmy je sobie z ust niczym małe ptaszki. Nie zostawiła mi ani jednego swojego zdjęcia, nawet tej fotografii na plaży nad jeziorem Firlej, gdzie wykopaliśmy sobie grajdołek i leżeliśmy w nim aż do zachodu słońca. Pozostał tylko zapach jej włosów na poduszce, ale i on, zdrajca, uciekł po kilku dniach.

Początkowo naprawdę poczułem ulgę. Głupią samczą dumę z odzyskanego terytorium i nieznanej przyszłości, w której czeka mnie tyle interesujących zdarzeń.

Oglądałem do późna w nocy boks na kanale sportowym, dziwiąc się, co ludzie w tym widzą. Potem zacząłem nadrabiać zaległości literackie,

filmowe oraz tłuc w gry komputerowe, czyli to, co robią zwyczajni ludzie, gdy się nudzą. I tylko czasem, idąc do kuchni, krzyczałem:

– Kwiatuszku, przynieść ci coś?

Po chwili uświadamiałem sobie, że nie doczekam się odpowiedzi i czułem delikatne ukłucie. Ale ono wnet mijało, zabite zimnym piwem z puszki. Leżąc na kanapie, w stanie lekko błogim, przekonywałem siebie, że potem mogłoby być o wiele gorzej. Sprzeczki, kłótnie, wyrzuty, chora rywalizacja, a może nawet nienawiść czy pogarda. Na to wszystko byliśmy na szczęście za mądrzy.

*

Zacząłem tęsknić po dwóch tygodniach. I tak długo wytrzymałem, udając, że nic się nie dzieje, bo aż do momentu, gdy oddech stał się zbyt płytki, by napełnić płuca. Najpierw zacząłem jeść. I to nie tak, że śniadanie, obiad, kolacja. Odnalazłem radość z trzech śniadań, dwóch obiadów, deseru, i kilku ukradkowych kolacji, wyciąganych nocą z lodówki. Niekiedy budziłem się o czwartej rano i jadłem kolacjo-śniadanie. Niestety, od tej terapii kalorycznej nie zrobiło mi się wcale lżej, a wręcz przeciwnie, w przenośni, ale też dosłownie.

Gdy przestałem się mieścić w spodniach, a w pasku powoli kończyły się dziurki, zacząłem uprawiać jogging. Blady świt witałem uderzeniami tenisówek o asfalt, starając się skupić na rytmie, by nie mijać ławek parkowych, wyjących wspomnieniami, krzyczących minioną radością i wilgotnym smakiem już nie moich ust.

W grudniu zapisałem się na siłownię. Doszło do tego, że w fitness klubie spędzałem każdą wolną chwilę. Muszę zapomnieć o tej słodkiej cielesnej obecności w moim sercu, powtarzałem sobie. Potem pójdzie jak z płatka. Uczelnia, biblioteka, fitness, posiłki, sen. Nie, stop, snu nie było prawie wcale, tylko jakieś zawieszenie miedzy jawą a letargiem. Przestałem ścielić to cholerne łóżko. Kładłem się w ubraniu i odliczałem sekundy do poranka. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak wiele można zrobić w ciągu sekundy. Przekręcić się na lewy bok, a potem znów na prawy. Kopnąć zegarek, aż roztrzaska się o ścianę. Złowić cień komara na suficie. Polubiłem komary. Mogłem z czystym sumieniem zapalić światło i ganiać je z kapciem, by z triumfem na ustach zostawiać ich rozgniecione truchła na ścianach.

Potem postanowiłem zapisać się na boks. Byłem nawet na jednych zajęciach, ale prowadzący powiedział, że za dużo jest we mnie agresji. A ja myślałem, że właśnie o to w tym chodzi. Zniszczyć przeciwnika mentalnie i fizycznie, splunąć na jego leżące ciało, a potem pójść do szatni i zmyć z siebie bród śmierdzący testosteronem.

Na ferie zimowe pojechałem do domu. Pociąg klekotał, dudnił i skrzypiał. Krajobraz za oknem nic nie znaczył i to mnie uspokajało. Nareszcie, pomyślałem, jakie to proste, powrót do nieznanych mi już prawie miejsc. Odkrywanie na nowo smaku rosołu z kury, napychanie się pomarańczową jajecznicą, rozgryzanie skwarków. Słuchanie ojca, który będzie narzekał na polityków, ceny skupu, marne zbiory oraz cały znany mu i nieznany świat, który widział w telewizorze. Moje uzdrowienie stawało się coraz bardziej realne.

*

Brat okropnie wyrósł, na wiosnę miał iść do gimnazjum. Zaczął uganiać się za dziewuchami, choć tak naprawdę mgliście wiedział, po co. To znaczy, coś tam słyszał, od Józka Pawlaków, który miał już ich setki.

– Setki kobiet, obczajasz, brejdus – tak powiedział mój mały braciszek, którego nie tak dawno musiałem pilnować, by nie kradł jabłek w sadzie sąsiada i nie wiązał gęsiom dziobów.

Zapytałem go, co to znaczy mieć kobietę. Odparł, że nie wie, ale musi to być związane z siusianiem, bo widział, jak Józek po mszy włożył Kaśce od Wójcików rękę między nogi, a ona się bardzo ucieszyła.

Matka przysłuchiwała się tej naszej pierwszej braterskiej rozmowie o seksie ze zgrozą. Ale nic nie powiedziała, bo ona była ta cicha i posłuszna, a wychowaniem zajmował się tatko.

Do stołu zasiedliśmy dopiero, gdy wrócił ojciec. Podał mi rękę i zapytał:

– Potrzeba ci czego, Władek?

Odparłem, że niczego. Naprawdę, tak powiedziałem. Niczego.

Z niesionej przez matkę wazy wydobywał się znajomy zapach. Przymknąłem oczy i poczułem się błogo jak dzieciak, bezpieczny i spokojny. Zupełnie jakbym cztery lata temu nie uciekał ze wsi, gromiony krzykiem ojca, który miał mi za złe, że porzucam ziemię, że marnuję sobie życie, że zostawiam ich na stare lata samych. Ale ja nie chciałem żyć jak ojciec ojca, i ojciec ojca ojca. Słysząc chlupot zupy, wlewającej się do

głębokiego talerza, pomyślałem, że jednak ma to swój urok. Taka stabilizacja, lekko zalatująca nudą, potrafi ukoić niezmiennym porządkiem dnia, oraz smakiem rosołu z kury.

– Matka, coś ty ugotowała? Zupełnie zapomniałaś, że Władek nie lubi. – Głos ojca zagrzmiał jak daleka burza. Nie chciałem, ale otworzyłem oczy, musiałem się upewnić. Spojrzałem na talerz. Pieprzony krupnik.

Pamiętam, że zerwałem się z krzesła i pobiegłem na dworzec, jakby za chwilę miał mi uciec pociąg, a może raczej ostatni tranzyt do nadziei.

*

Szukałem Laury przez cały semestr. Wydawać by się mogło, że w dobie internetu odnalezienie kogokolwiek nie będzie większym problemem. Niestety, im więcej czasu temu poświęcałem, tym silniejsze odnosiłem wrażenie, że żadna Laura nigdy nie istniała. Rzadko wychodziliśmy gdziekolwiek i dlatego koledzy znali ją tylko z moich opowieści. W sieci nie znalazłem żadnych jej zdjęć, kont na Naszej Klasie, Facebooku, Tweeterze, ani nawet zapisków w archiwach szkół, do których chodziła. Ale ja to rozumiałem, gdyż Laura była, jak to sama określała, analogowa. Nie znosiła internetu, komputerów, komórek. W torebce nosiła zmurszały notatnik, w którym zapisywała wszytko, co ważne. Codziennie rano nakręcała archaiczny zegarek w pierścionku, tak, nakręcała, a na szyi nosiła medalion z naszymi zdjęciami. Śmiałem się, że zachowuje się jak stara panna. „Jestem stara i to pewnie dlatego” – odpowiadała ze śmiechem. Nigdy nie dowiedziałem się, ile miała lat.

Moje najodleglejsze wspomnienie o Laurze wiązało się z biblioteką akademicką. Siedzieliśmy wtuleni w siebie policzkami i szeptem droczyliśmy się o to, czy truskawki nadają smaku cukrowi, czy odwrotnie. W końcu bibliotekarka z garbatym nosem kazała nam opuścić salę, bo przeszkadzamy innym. Po drodze kupiliśmy kilo truskawek i kilogram cukru. Na pomiętej pościeli urządziliśmy sobie badania naukowe i okazało się, że truskawki najlepiej smakują z posypanego cukrem brzucha.

Jasne, że sprawdziłem rejestry uczelni, na wszystkich wydziałach. Znalazłem nawet jedną Laurę K., ale to była jakaś wychudzona tyczka z wytrzeszczem oczu i głosem przypominającym miauczenie kota, który napił się kwasu solnego. Sympatyczna dziewczyna, nie powiem. Śmiała się z mojej romantycznej gonitwy za kobietą o tym samym imieniu i nazwisku,

ale jak z żalem zaznaczyła, „bo słodziak jesteś, kotku”, to nie mogła być ona, gdyż gustowała wyłącznie w kobietach.

Straciłem wiarę w sens dalszych poszukiwań około czerwca. Mało brakowało, a znów zacząłbym jeść; dobrze, że alkoholu nie lubiłem – takie wychowanie. Na szczęście wtedy przytuliła mnie letnia sesja, a w niej siedem egzaminów. Nie da się latać co chwila do lodówki, wkuwając jednocześnie kodeks karny.

*

Wakacje spędzałem nad morzem. To głupie, ale wtedy po raz pierwszy usłyszałem szum fal. Do tej pory nie miałem ochoty wyjeżdżać z Lublina i mieszkałem na stancji, którą wynajmowałem na studiach. Gdy zatrudniłem się w renomowanej kancelarii, wziąłem kredyt i odkupiłem ten lokal po bandyckiej cenie, przepłacając prawie trzykrotnie. Spłaciłem kredyt po dziesięciu latach, ze spadku po rodzicach. Żona początkowo nalegała, byśmy kupili sobie dom i nie gnietli się w dwupokojowej klitce, ale w końcu ustąpiła, nie potrafiąc pokonać mojego oślego uporu. Nie dowiedziała się też nigdy, czemu nocami wysiaduję w kuchennym oknie, zamiast spać, oraz dlaczego w każdą niedziele gotuję krupnik.

Na pogrzeb Agnieszki przyjechał Robert, nasz syn. Na stałe przeprowadził się do Anglii tuż po osiemnastych urodzinach. Skończył tam studia, ożenił się ze śliczną dziewczyną o imieniu Mandy, z którą spłodził troje dzieci. Nigdy u niego nie byłem; Agnieszka, owszem, i mówiła, że ma tam takie luksusy jak gwiazdor rocka. Poszedł w moje ślady i też został prawnikiem, tyle że zarabiał w miesiąc tyle, ile ja w dziesięć lat.

Nigdy nie zapomnę, jak staliśmy w szóstkę nad trumną kobiety, którą była dobrą żoną i cudowną matką.

– Powiedz mi, tato, czy ty kochałeś mamę? – zapytał niespodziewanie.

– Cóż to za pytanie! – oburzyłem się. – Oczywiście, że tak.

– To dlaczego nigdy jej tego nie powiedziałeś?

I oto tydzień później stałem nad morzem, wpatrując się w fale wyłaniające się zza horyzontu. Chyba miałem nadzieję, że ujrzę mały żagiel zwiastujący statek, a potem nagle wszystko się wyjaśni, całe moje życie, które przemknęło tak szybko, oraz ktoś mi powie, co zrobić z ogromnym zbiorem sekund, który miałem jeszcze przed sobą. Czekałem na odpowiedź

tak długo, że zakręciło mi się w głowie. Ostatnim, co poczułem, był słony piach.

*

Ostre światło wdzierało się w źrenice setkami bolących szpilek. Zacisnąłem powieki.

– Proszę leżeć spokojnie, miał pan lekki udar – oznajmił nosowy kobiecy głos – ale wszystko w porządku, najgorsze już minęło.

Spróbowałem zapytać, jaki dziś mamy dzień, ale z gardła wydobył się tylko bełkot, jakbym miał w ustach wiadro klusek.

– Proszę się nie przemęczać, wszystko będzie dobrze. Leżał pan nieprzytomny przez trzy dni, zawiadomiliśmy już syna. Dziś wieczorem przyjedzie, wcześniej nie mógł się wyrwać.

Rozumiałem to – dopiero brał urlop na pogrzeb matki, teraz znów ja. Ech, byłem wściekły. Pielęgniarka chyba to zauważyła, bo pogładziła mnie po czole i wyszeptała:

– Spokojnie, wiem, że jest panu ciężko, ale wszystko minie.

Chłód jej dłoni ostudził rozpalone czoło. Usnąłem bardzo szybko, bez liczenia sekund. O dziwo, obudziłem się rześki i zrelaksowany.

Robert siedział przy łóżku i wpatrywał się we mnie z troską.

– Napędziłeś nam stracha, nie ma co. Kto to widział, żeby tyle stać na słońcu?

Wziął mnie za rękę.

– Przepraszam, to moja wina – wyszeptał. – Nie powinienem tak na ciebie naskoczyć na pogrzebie. Przecież wiesz, że cię kocham i że jestem wdzięczny, ale czasem nas przerażał ten smutek, którym się otaczałeś.

Chciałem mu tyle powiedzieć, po raz pierwszy miałem ochotę wykrzyczeć wszystko, jak na spowiedzi. Niestety, o ironio, nie miałem na to siły i pozostawały mi tylko łzy cieknące po policzkach.

– Wiesz, tato, mam pomysł – oznajmił, wycierając mi chusteczką wilgoć, zbierającą się w zagłębieniach zmarszczek. – Zabiorę cię stąd, jak tylko nieco wydobrzejesz. Nie możesz siedzieć sam w tej klitce do końca życia. Z wnukami nieco pobędziesz, zobaczysz, jak wygląda cywilizacja. To jak?

Pokręciłem głową.

– Ale tato...

Spojrzałem stanowczo i przymknąłem oczy. Robi znał mój upór i wiedział, że nie zwykłem zmieniać raz dokonanego wyboru.

– Proszę nie męczyć chorego – powiedziała pielęgniarka, wchodząc do sali. – Jest jeszcze słaby.

– No tak, ale ja tu jeszcze wrócę i porozmawiamy sobie, bo nie mogę się wiecznie martwić o ciebie. Po to mam pieniądze. Chcę się odwzajemnić, pomóc ci, rozumiesz?

Machnąłem dłonią, by już sobie wreszcie poszedł. Nie chciałem się przy nim znów rozpłakać, a na to się zanosiło.

Gdy zostałem sam na sam z pielęgniarką – leżałem w pojedynczej sali, pewnie Robert posmarował gdzie trzeba, bym miał komforty – kobieta pochyliła się i zaczęła poprawiać poduszki, a potem zmieniła kroplówkę.

– Ech, te dzieci, prawda – westchnęła, pstrykając fachowo w zawór kroplówki. – Moje też mi spokoju nie dają. Mama przestanie w końcu pracować, bo ileż można się męczyć na trzy zmiany.

Jej głos dziwnie mnie uspokajał. Uśmiechnąłem się. Mogła mieć z pięćdziesiąt kilka lat, czyli mniej więcej tyle, co ja. Lekko siwiejąca grzywka opadała na czoło, wchodząc do oczu i kobieta musiała odgarniać ją palcami. Miała na imię Wioletta, tak wyczytałem z plakietki przypiętej do fartucha.

– Pan też wdowiec, jak słyszałam? – zapytała. – Nie żebym była wścibska, ale przypadkiem, no wie pan...

Pokiwałem głową.

– Tak to się w życiu układa, ale jakoś trzeba do przodu.

Co ty za farmazony pieprzysz, kobieto, pomyślałem, jakie do przodu, gdzie, po co? Wszystko kończy się śmiercią, dołem z białymi robakami, nad których żerowiskiem ludzie stawiają wielkie granitowe podstawki pod znicze i nazywają je pomnikami. Dobre sobie. To raczej klapy od śmietnika, pod którymi ukrywa się truchła.

– Męczę pana? – zapytała, patrząc na mnie piwnymi oczami – Przepraszam, jestem gadatliwa z natury.

Z jednej strony złościło mnie to jej głupie gadanie, ale z drugiej nie chciałem, by wychodziła.

– A wie pan, że przypomina mi pan kogoś.

No tak, kobieta chciała wygrać puchar w zawodach na nudziarę roku. Każdy kogoś przypomina. Niektórzy Elvisa, inni Hitlera, a większość – nikogo ważnego i zarazem wszystkich podobnych do siebie przeciętniaków.

– Miałam kiedyś takiego adoratora, młody chłopak, ładniutki, ale okropnie nieśmiały. Dwa lata mu zeszło, zanim podszedł i zagadał.

Iskra zalśniła, blado, choć w ciemnościach nawet świetlik wygląda jak gwiazda. No, ale przecież to niemożliwe. Gdzie Lublin, gdzie Krynica Morska? Tyle lat minęło. Ludzkie losy są do siebie podobne, tak bywa, ale to zbieg okoliczności. Przeznaczenie nie istnieje.

– I też mu Władek było na imię, jak panu.

Zacząłem wnikliwie studiować jej twarz, cal po calu. Pod siatką zmarszczek dostrzegłem twarz pięknej kobiety. Cały problem polegał na tym, że nie pamiętałem tej, dla której przeszło trzy dekady temu wystawałem tęsknie na przystanku. Czas niszczy ślady starożytnych miast, nic dziwnego, że z niepielęgnowanymi wspomnieniami idzie mu jeszcze lepiej.

– Ale nie wiem, co się z nim stało. Wyjechałam z Lublina, bo mąż pochodził znad morza. Wariat mówił, że uwielbia, obiecywał miłość do śmierci i dotrzymał słowa, trzeba mu przyznać.

Kobieta popatrzyła w okno smutnym, zamyślonym wzrokiem.

– No, ale rozgadałam się, a przecież nie tylko pana mam na głowie.

To mówiąc, odwróciła się i zaczęła wychodzić.

– Ale – wyszeptałem cicho, z wysiłkiem – ale... czy go pani kochała, męża, znaczy?

Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała przez ramie. Na jej twarzy zagościł uśmiech, którym chciała pokryć zakłopotanie.

– Miłość to duże słowo, panie Władku. To był dobry człowiek, to wiem na pewno. Dał mi wszystko, co miał i było mi dobrze. Czego więcej chcieć od życia?

– A miłość? Czy wierzy w nią pani?

– Proszę się nie przemęczać, nie czas na takie rozmowy.

I znów zastukały obcasy, lecz tym razem nieco szybciej, jakby kobieta chciała się ewakuować, nim każę jej odpowiadać na kolejne kłopotliwe pytania.

Gdy nacisnęła dłonią klamkę i uchyliła drzwi, zebrałem wszystkie siły, jakie we mnie drzemały i powiedziałem głośno:

– Moniko, poczekaj.

Struchlała. Przez moment stała w półotwartych drzwiach. Nie zdziwiłbym się, gdyby uciekła. Ale niedowierzanie, a może ciekawość wzięły górę.

Po chwili stała znów w nogach łóżka i patrzyła piwnymi oczami na starca, który mógł być widmem z jej młodości.

– Skąd pan wie, że mam na pierwsze Monika? Przestałam używać tego imienia... zaraz jak...

Moja dłoń leżąca na prześcieradle zaczęła żyć własnym życiem. Drżała niespokojnie, a palce bębniły w panicznym rytmie.

– Ale... – zaczęła, siadając na brzegu łóżka i kładąc dłoń na mojej dłoni – to przecież niemożliwe, to naprawdę ty?

Jakaś siła skłoniła mnie, bym podniósł jej dłoń do swych ust i mocno przycisnął, składając pocałunek po wewnętrznej stronie.

– Przestań, co robisz? To było tak dawno, tak daleko, tacy młodzi byliśmy.

– *Rzuć między nas* – zacząłem szeptać, a z każdym słowem czułem się coraz bardziej bezradny wobec łez, które płynęły gorącymi rzekami. Monika przytuliła policzek do mojej dłoni.

– Władek, to tyle czasu przecież.

– *A ja i tak odnajdę cię* – dokończyłem.

I wtedy Monika wybuchła płaczem, ale jednocześnie roześmiała się, niczym kryształowy dzwoneczek na czapce wróżki.

„Ma być o miłości, do śmiechu, do płaczu...”

Jan Siwmir

– Tu są cztery opowiadania, które przyniosłem na wzór. – Mroku, Naczelny „Szeptów Kobiet”, z impetem grzmotnął rękopisami o blat biurka. Można było dostrzec dwa pierwsze, wpisane ogromną czcionką tytuły: „Rocznica” i „Rzuć między nas”. Ten drugi zaintrygował Kornelię; odgarnęła włosy i od razu zaczęła czytać. – Proszę o napisanie w tym stylu około trzydziestu opowiadań. Powiedzmy do... – zastanowił się, spoglądając w kalendarz – siódmego grudnia.

– Ile? – zdumiała się Ania.

– Do kiedy?! – próbowała rozpocząć targowanie Zuza. Jeszcze nie wiedziała, o co dokładnie chodzi, ale już, na wszelki wypadek, kwestionowała zbyt bliski termin.

– Trzydzieści sztuk – twardo postawił sprawę Mroku. – Część na pewno odrzucimy, kilkoro autorów zapewne zrezygnuje w trakcie, a my musimy mieć przynajmniej dwadzieścia opowiadań, żeby mógł powstać walentynkowy tomik. Dołączymy go do pisma. Termin siódmy grudnia jest nieprzekraczalny. Korekta, okładka, druk, wprowadzenie do dystrybucji – to nie są sprawy, które dałoby się załatwić w ciągu kilku dni. Dlatego macie uruchomić wszystkie swoje najlepsze znajomości wśród pisarzy. Ma być o miłości, do śmiechu, do płaczu, ale przede wszystkim na wysokim poziomie!

Zuza, Kornelia, Ania i Patrycja pokiwały głowami. Wprawdzie Zuza z mniejszą gorliwością niż koleżanki i nieco ironicznie, ale po pierwsze dawało się wyczuć w tym aprobatę, po drugie uważała, że mężczyźni na ogół takich szczegółów nie wyłapują. Słusznie uważała.

– Kawę poproszę, czarną – Naczelny posłał w przestrzeń zamówienie.

Patrycja, z racji swojego najmłodszego wieku i filigranowej figury zwana pieszczotliwie Pati, poderwała się i zniknęła na zapleczu. Ania i Zuza posłały sobie znaczące spojrzenia. Taaak...

„Szepty kobiet” istniały na rynku prasowym zaledwie od trzech lat, ale zdążyły zaskarbić sobie sympatię dużego grona czytelniczek. Była to zasługa pięcioosobowego zespołu, który dwoił się i troił nad wymyślaniem tematów do kolejnych wydań. Umiejętnie lawirowali pomiędzy tym, czego oczekiwała większość kobiet, a tym co umownie nazywa się „ambitnymi tekstami”. Dwa miesiące temu dołączyła do nich Pati, stając się nie tyle szóstym kołem u wozu, ile jedną wielką, emocjonalnie nieobliczalną niewiadomą. Od pierwszego dnia widać było, jak swoje ogromne, sarnie oczy wlepia w Miłościwie Im Panującego, spijając z jego ust każde słowo.

– Gdzie Janek? – Pytanie szefa spłoszyło wszystkich.

– Nie wiem – wymamrotała Ania, przysuwając się jednocześnie bliżej komputera. Błyskawicznie oddała się dogłębnej analizie jakiegoś tekstu. Z jednej strony miała dość krycia chłopaka, z drugiej – za nic w świecie nie podłożyłaby mu świni. Nie było dnia, aby Janek gdzieś nie wyszedł, a to do kina, a to do knajpy lub na jakąś randkę. Przydzielane zadania wprawdzie wykonywał, jednak dopiero po kilkunastu zwyczajowych upomnieniach i idąc po najmniejszej linii oporu. Lekkoduch i birbant – myślała o nim Ania, starannie ukrywając fakt, że gdyby zaprosił ją... ech... właśnie, gdyby zaprosił!

Przez dłuższy czas panowało milczenie. Jedynie szelest kartek świadczył o tym, że przyniesione opowiadania są skwapliwie czytane. Wzór to wzór, trzeba nauczyć się na pamięć i spróbować spłodzić podobne. Tylko Pati, zatrudniona na etacie sekretarki, asystentki i korektorki naraz, siedziała nad korektą tekstu do najbliższego wydania. Naczelny zajął się odbieraniem telefonów, na przemian siniejąc i blednąc. Sądząc z półsłówek, jakie z siebie wyrzucał, dział grafików zdołał mu podnieść ciśnienie skuteczniej niż wypita kawa. Ania skorzystała z okazji i wymknęła się na korytarz. Szybko poinformowała Janka o projekcie i wróciła przed komputer. Zostały jej jeszcze dwa opowiadania do przeczytania.

Pośpij jeszcze trochę...

Dorota Pasek

*

Tamtego dnia obudziła mnie dłoń, sunąca leniwie po piersi w dół, dalej po brzuchu, wokół pępka i niżej. Mruknąłem, miło zaskoczony jej porannymi względami, ale co tu dużo mówić, jak każdy facet lubiłem takie pobudki.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie. Pomyślałam, że sprawdzę, jak to będzie z dwudziestodwuletnim starcem – zaszeptała mi wprost do ucha, a po plecach przebiegło mi truchtem stado mrówek.

Jakiś czas testowaliśmy, jak z pewnymi zadaniami radzą sobie starcy w moim wieku, po czym Lilusia wstała i poszła pod prysznic. Była szósta trzydzieści. Musiała zacząć się szykować, jeśli chciała zdążyć na uczelnię. Słuchałem miarowego plusku wody pod natryskiem, trzasku beznadziejnych drzwiczek kabiny prysznicowej, skrzypnięcia drzwi łazienki. Wiedziałem, że za chwilę włączy czajnik, wyjmie z szafki kubek z kotkiem i nasypie do niego dwie łyżeczki kawy. Specjalnej, niskodrażniącej. Potem zaleje ją wrzątkiem i pójdzie się malować. Wróci, wyjmie z lodówki karton mleka, doleje go do kawy, posłodzi i usiądzie w fotelu, podkulając nogi. Wypije kawę, patrząc w okno, na korony drzew w parku naprzeciwko. Wreszcie odstawi pusty kubek na półkę obok fotela i podejdzie do łóżka, by z plastikowego pudła z Ikei wyjąć stanik i majtki. Wróci z nimi do łazienki.

Zamknąłem oczy. Puknięcie kubka, trzask poręczy fotela, ciche kroki. Bielizna, łazienka. Skrzypnięcie drzwi szafy, szurnięcie suwaka. Szybko w myślach przebiegłem jej garderobę. Byłem pewien, że ubrała dżinsową sukienkę z zamkiem z przodu. Do tego buty na tej wąskiej, niewysokiej szpilce. Już nimi stukała.

– Idę – poinformowała mnie wreszcie. – Zobaczymy się wieczorem. Pracujesz do siódmej?

– Tak – mruknąłem niby sennie.

– Pośpij jeszcze trochę. Pa, kochanie.

Uwielbiałem to jej: „Pośpij jeszcze trochę”. Specjalnie zostawałem w łóżku, by usłyszeć te słowa, i ona o tym wiedziała. Poranny rytuał szykowania i żegnania kultywowaliśmy niezmiennie od pół roku, odkąd przyznałem się jej, jak bardzo go lubię. Jak nasłuchuję, co robi, jak czekam na jej kroki, na szept, że już idzie, i przede wszystkim na to: „Pośpij jeszcze trochę”. Zapytała wtedy o powody, a kiedy je usłyszała, patrzyła długo, nim przyrzekła, że będzie tak robić do końca swoich dni. Oczywiście wyśmiałem ten pomysł, ale ona potraktowała obietnicę bardzo poważnie i wypełniała ją skrupulatnie. Taka była.

Zerwałem się z łóżka, ledwo zamknęła za sobą drzwi. Czekała mnie kupa roboty. Od dwóch dni planowałem małą imprezkę z okazji naszej pierwszej rocznicy. Brakowało nam forsy, więc musiała być skromna, ale miła dla nas obojga.

Poznaliśmy się rok wcześniej, dokładnie w dniu moich urodzin. Stałem w klubie i gapiłem się na nią jak idiota, a ona spojrzała i, ku mojej radości, dosiadła się do mnie. Była nieźle wstawiona i troszkę plątał się jej język, a ja... Cóż, ja nie umiałem sklecić jednego normalnego zdania, ale jakoś przesiedzieliśmy pół nocy. Po dwóch miesiącach byliśmy razem, po czterech znaleźliśmy nędzne mieszkanie – jeden pokój z łazienką i aneksem kuchennym. Całkowity brak mebli. Kupiliśmy parę rzeczy na wyprzedażach w Ikei i jakoś szło. Zamieszkaliśmy wspólnie, mimo sprzeciwu jej rodziców.

Z okazji rocznicy miałem zamiar zrobić Lilce niespodziankę. Wyjąłem z szafki świąteczny obrus, wyprasowałem go i położyłem na stół. Posprzątawszy jako tako w pokoju, poszedłem do miasta. Należało zrobić zakupy i zdążyć na dziesiątą do pracy. Właściciel sklepu, w którym pracowałem, był cholernie drażliwy. Nie znosił spóźnialskich. Mojego poprzednika wywalił za zjawienie się dziesięć po dziesiątej, bo „sklep trzeba otwierać punktualnie!”. Zależało mi na tej robocie, więc starałem się, jak mogłem. I na ogół mi wychodziło. Dlaczego zależało mi na kijowej robocie w sklepie z odzieżą męską? Ano, jak się jest sierotą wychowaną w domu dziecka, z ukończoną nędzną handlówką, to się łapie, co jest. A ta robota była w porządku. Miewałem gorsze.

*

Dzień minął dość przyjemnie. Nie mam pojęcia dlaczego, ale zapamiętałem taki niby niewart uwagi szczegół – jeden gość kupił drogi garnitur z Wólczanki, dwie marynarki i białą koszulę w fioletowy rzucik, a do niej fioletowy krawat. Zestaw jak dla mnie okropny, ale facetowi się podobał. A wiadomo – klient nasz pan. Tym bardziej taki, który robi zakupy za trzech i nie marudzi.

Wróciłem do domu koło ósmej. Ku mojemu zadowoleniu Lilki jeszcze nie było. Przez cały czas w pracy wymyślałem, gdzie ją wysłać na godzinkę, a tu się okazało, że obejdzie się bez kombinowania. Szybko wyjąłem spod łóżka dwie butelki jej ulubionego miodowego piwa i wsadziłem do lodówki. Z piekarnika wygrzebałem zabunkrowany tam wcześniej słoik bigosu od pani Łapotowej. Lilka uwielbiała ten bigos. Ja, od biedy, też go zjadałem. Ale na dzisiejszą okazję miałem dla siebie inny specjał: spore pudełko sałatki krewetkowej. Przepadałem za nią, a z kolei Lilusia nie brała jej do ust.

Naszykowałem wszystko i czekałem. Koło dziewiątej zacząłem się denerwować. Wykręciłem do niej, ale włączyła się poczta głosowa. Wysłałem SMS-a: „Gdzie jesteś, Liluś?”. Nic, żadnej odpowiedzi. Minęło piętnaście minut, znowu zadzwoniłem. Poczta głosowa. Siedziałem w fotelu i dzwoniłem. Non stop. Przez godzinę. Wybierałem jej numer na okrągło. Wiem, wariowałem, ale nie mogłem się opanować. Przez godzinę naciskałem klawisz, pod którym była zapisana. A potem przyszło mi do głowy, że może telefon się jej popsuł, ukradli go albo zgubiła i próbuje się do mnie dodzwonić z innego, a nie może przez moją schizę. Położyłem aparat na oparciu fotela. Czekałem. Długo patrzyłem na czarny wyświetlacz. A potem – już tylko na miejsce, w którym leżał, bo noc się zrobiła, a ja nie wstałem nawet, by zapalić światło. Bałem się, że jeśli drgnę, to coś się stanie – nie zdążę odebrać telefonu, nie zdążę z nią pomówić. Wysyłałem w ciemność całą swoją energię, skumulowaną do wielkości pocisku przebijającego powietrze, mury, zasieki i wszystko, co by mnie od niej mogło odgradzać. Byłem wielkim czekaniem, błaganiem o jedno słowo na wyświetlaczu telefonu, o jeden dźwięk kretyńskiej muzyczki z dzwonka aparatu. Siedziałem sztywny, z napiętymi mięśniami, dłońmi miażdżonymi między udami i wargami pobielałymi od zaciskania.

Szeptałem do siebie i do niej jakieś zaklęcia, przywołania, słodko brzmiące obietnice i okrutne groźby. Czekałem.

Dzwonek podrzucił mnie w górę, rozbłysk wyświetlacza oślepił. Zerwałem się na równe nogi. Nie spojrzałem, kto dzwoni, odebrałem.

– Czekam i czekam, gdzie ty jesteś?!

– Nie czekaj. Nie dzwoń. Ona nie odbierze – usłyszałem w słuchawce głos jej matki.

*

Tydzień później wróciłem do domu koło ósmej wieczorem. Zdjąłem garnitur i wyjściowe buty. Schowałem wszystko do szafy i założyłem stare, wygodne dżinsy oraz koszulę. Jej ulubioną. W lodówce ciągle stało piwo, które dla niej kupiłem. Wyjąłem obie butelki. Postawiłem je na podłodze, tuż obok półlitrówki czystej. Normalnie nie piję, ale wtedy po prostu musiałem. Musiałem się urżnąć i w ten niewybredny sposób zakończyć pewien rozdział w moim życiu. Innego sposobu nie znalazłem. Chciałem, by bolało.

Po pierwszych dwóch kieliszkach i połowie piwa zachciało mi się oglądać nasze zdjęcia. Mieliśmy ich pełno. Całe wielkie pudło. Wysypałem je na środek pokoju i oglądałem jedno po drugim. Dziesiąte popiłem trzecim kieliszkiem. Była na nim Lilka w niebiesko-zielonej sukience, na plaży. Słońce prześwietlało jej włosy i wydawało się, że ma na głowie złoto. Przyniosłem sukienkę z szafy i położyłem na fotelu. Piłem i oglądałem. Oglądałem i płakałem. Gadałem do sukienki. Płakałem i piłem. A koło dziesiątej zacząłem rzygać.

Byłem abstynentem, bo mój organizm idiotycznie odmawiał jakiejkolwiek współpracy z alkoholem. Wyrzucał go z siebie zbyt szybko. Gdy inni spali ululani jego mocą, ja chorowałem. Więc na ogół nie piłem, ale wtedy chciałem, by moje rozstanie z Lilką bolało w ten nieprzyjemny, fizyczny sposób. Od tygodnia wyłem wewnątrz siebie, łkałem nieustannie, krzyczałem z bólu i w nieustającej niezgodzie. Jednocześnie chodziłem do pracy, kupowałem chleb, rozmawiałem z sąsiadami na klatce schodowej. W nocy kuliłem się na łóżku i spałem jak kamień. Ja umierałem. Moje ciało żyło. Chciałem więc, by i ono przyłączyło się do mojej rozpaczy.

Gdzieś między dwunastą a drugą oderwałem się od klozetu i powlokłem do łóżka. Usnąłem tuż obok zielonej plastikowej miski. Obudziłem się z

uczuciem déjà vu. Po mojej piersi, w dół po brzuchu, wokół pępka i jeszcze niżej sunęła dłoń. Otworzyłem oczy z uśmiechem i oczekiwaniem. Miska leżała na poduszce obok mnie.

– Kochanie? – usłyszałem znajomy głos.

Zemdliło mnie. Zwymiotowałem żółcią. Z nosa kapała mi krew. Całe ciało drżało. Czułem się tak, jakby przechodziły przeze mnie fale energii, a wszystko wokół płynęło. Powietrze, łóżko, a już szczególnie – moje flaki. Opuściłem głowę i czekałem, aż świat się uspokoi. Długo leżałem nieruchomo w jednej pozycji, z czołem na brzegu miski, bo kręciło mi się we łbie i było mi słabo. Usnąłem na ponad godzinę.

Kiedy się obudziłem i wreszcie odważyłem wstać, w domu oczywiście nie było nikogo. Pozbierałem zdjęcia, wypiłem nieco herbaty i połknąłem dwa Diphergany. Po tym specyfiku zawsze odpływam i żołądek się nie buntuje. Mogę spokojnie przeczekać choróbsko. Zawinięty w kołdrę przespałem niemal cały dzień. Zwlokłem się koło siódmej i poszedłem coś zjeść. Był tylko słoik bigosu i chleb, który kupiła mi wczoraj sąsiadka. Nie lubiłem bigosu, ale skoro nie było niczego innego...

*

Siedziałem przy stole i dziobałem widelcem stygnącą kapustę. Nienawidzę kapusty, więc przełknąłem może ze cztery kęsy. Do tego pół kromki chleba i kubek cienkiej herbaty. Znowu mi wszystko w środku drżało.

– Nie będziesz go jadł?

Zdrętwiałem, ale po chwili zebrałem się w sobie i odwróciłem. Lilka stała za mną. Nieco rozmazana, zamglona, jakby nierzeczywista, ale była. Oparta o szafkę kuchenną uśmiechała się tym swoim specjalnym uśmiechem. Przywoływała go, kiedy chciała mnie na coś naciągnąć.

– Mogę za ciebie? Przecież nie lubisz bigosu.

Podeszła i przejechała dłonią po moim ramieniu. Widziałem to, ale nie poczułem. Zemdliło mnie. Poleciałem do łazienki. Kiedy wróciłem, jej już nie było. Pomyślałem, że zatrułem się alkoholem i tym Diphergane m, dlatego mam omamy. Byłem pewien, że to minie, muszę tylko oczyścić organizm. Zrobiłem sobie ziołową herbatkę i poszedłem do łóżka. Zwaliłem się na pościel i usnąłem. Rano miałem déjà vu. To samo co wcześniej. Z tym, że teraz ręka zaszła do krańca swojej pierwotnej podróży. Zrobiło mi się zimno.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochanie.

Potrząsnąłem głową, ale dłoń nie zniknęła.

– Muszę już iść, ale pośpij jeszcze trochę.

Szelest pościeli i cisza. Leżałem nieruchomo ponad godzinę. Kiedy wstałem i obejrzałem pokój, nikogo w nim nie było. Poszedłem do pracy. W przerwie śniadaniowej zadzwoniłem do przychodni, by zapisać się do psychologa.

– Nie musi pan mieć skierowania od rodzinnego – powiedziała recepcjonistka. – Najbliższy wolny termin jest w listopadzie.

– Ale jest początek czerwca! Do listopada to ja oszaleję!

– Mogę pana zapisać na prywatną wizytę. Pojutrze o szesnastej.

– A ile kosztuje?

– Sto pięćdziesiąt.

– To dziękuję – powiedziałem i rozłączyłem się.

Wróciłem do domu i na szczęście nic dziwnego się nie stało. Rano nie dobierała się do mnie żadna zjawa. Odetchnąłem. Leżałem na boku z podkulonymi nogami i zamkniętymi oczami. Powietrze zafalowało. Drzwi szafy cicho skrzypnęły, a potem puknęły te od łazienki. Znieruchomiałem, kiedy tuż nad uchem usłyszałem jej cichy, czuły głos:

– Idę już, kochanie. Pośpij jeszcze trochę.

Pocałowała mnie. Czułem delikatne muśnięcie warg na płatku ucha. I zaraz potem sztywność policzka, jakby po znieczuleniu u dentysty. Odwróciłem głowę. Nic. Nikogo za mną nie było. Pusta, pomalowana na zielono ściana. A wokół cisza. Straszna, porażająca zmysły cisza.

Naciągnąłem kołdrę na głowę i zacząłem szlochać.

*

Byłem przekonany, że zwariowałem, kiedy w połowie lipca siadałem w gabinecie psychiatry. Wysłuchał uważnie moich opowieści o tym, co widzę i słyszę, a potem tłumaczył mi jak dziecku, że to trauma po utracie ukochanej osoby. I jeśli ten stan się utrzyma lub pogłębi, to najlepiej, bym poszedł na oddział zamknięty w naszym psychiatryku. I zaproponował, bym zmienił mieszkanie, bo w starym wszystko mi przypomina moją stratę. Dostałem plik recept, więc z apteki wyszedłem z torbą lekarstw. Rozłożyłem je w domu na stole. Patrzyłem na nie, na rozpiskę, co, jak, kiedy brać... Może połknąłem parę tabletek za dużo.

Leżałem na łóżku, kontemplowałem spokój, który rozlewał się we mnie coraz szerszym strumieniem. Myśli zwolniły, serce nie bolało, dłoń na brzuchu nic nie ważyła. Sen mną zawładnął, a może nie? Nie wiem. Ale następne, co pamiętam, to rozmowa kobiet. Otworzyłem oczy i omal nie wyszły mi na wierzch. W moim nędznym pokoiku zaroiło się od ludzi. Siedzieli wokół stołu i gadali. Ojciec, matka, mój przyjaciel sprzed lat – Łukasz, ta babka spod dwójki. Siedzieli i sobie rozmawiali. Znaczy, kobiety mówiły, Łukasz czasami wtrącał zdanie, a ojciec milczał. Wyglądali jak na proszonej herbatce. Usiadłem na łóżku, oparłem się o ścianę i gapiłem się nich. Zamilkli i patrzyliśmy tak na siebie.

– Cześć, stary! Niezła jazda, co? – odezwał się Łukasz. – Aleś się naćpał!

– Zdecydowanie za dużo połknąłeś tych tabletek, synku. Przecież one mogą zabić.

– Co? – zapytałem głupio.

Nie po raz pierwszy pomyślałem, że jestem wariatem – mam urojenia, widzę osoby, które dawno nie żyją. Mało tego – gadam z nimi.

– To przez Lilkę – wyjaśniłem. – Opuściła mnie, a ciągle przychodzi. Boję się ranków. Boję się, że znowu ją usłyszę, zobaczę, poczuję.

– Lilka... – mruknęła nieprzyjaźnie babka spod dwójki. – Ty z nią uważaj, ona wcale nie wie, kim jest. Powinieneś z nią pogadać.

– A o czym? – zapytałem i położyłem się na boku z głową wspartą na dłoni, bo było mi słabo.

Coś mi odpowiedziała, ale kiedy obudziłem się rano, nie pamiętałem jej słów. Byłem też przekonany, że rozmawiałem z matką i moim przyjacielem Łukaszem, który zabił się jakieś trzy lata wcześniej. Znaliśmy się z domu dziecka, przyjaźniliśmy się, ale ja mieszkałem tu, a on u dziewczyny w Łodzi. Jak go zostawiła, to ze sobą skończył. Napisał list, że ma dość. Założył pętlę na szyję i skoczył w dół klatki schodowej. Policjant powiedział, że fachowo to zrobił. Zaśmiałem się wtedy. Łukasz miał fioła na punkcie szybkiego odbierania życia. Twierdził, że najlepsze jest przerwanie rdzenia kręgowego. Napisał o tym rozprawkę w szkole i trafił do psychologa. Ścigali go za to całe lata.

A teraz mój martwy przyjaciel radził mi, bym trzymał się z daleka od Lilki. Moi martwi rodzice też radzili mi, bym trzymał się od niej z daleka. Posłałem ich do wszystkich diabłów. Tak mi się przynajmniej wydawało,

kiedy obudziłem się otępiały, z dziwną pustką w środku. Pomyślałem, że skoro mogłem rozmawiać z matką, która nie żyła od piętnastu lat, to mogę porozmawiać z Lilką, która umarła miesiąc wcześniej. W końcu, co mi się stanie? Większym wariatem już nie będę.

*

Kilka dni później obudziła mnie wędrówka jej palców po piersi. Przez kilka chwil byłem przekonany, że jest obok mnie, ale potem pamięć wróciła. Przerażony odkryłem, że elektryzował mnie nierealny dotyk nieistniejącej kobiety! „Jestem zboczonym świrem!” – wyłem w myśli. Drżałem z przerażenia, a jednocześnie pragnąłem jej!

Nie chciałem o niej pamiętać. Nie chciałem wracać do szczęśliwych chwil sprzed miesiąca. Wrzucałem je w najgłębsze otchłanie pamięci, za siedem wrót zapomnienia, ale i tak wyłaziły każdą szczeliną i mnie dopadały. Zatraciłem się na moment, ale przecież wcześniej zdecydowałem, że do niej zagadam. Chwyciłem więc dłoń na moim brzuchu. Byłem pewien, że kiedy wyciągnę po nią żywą, realną rękę, to ta wyimaginowana, utkana z moich chorych urojeń – zniknie. A tak się nie stało. Była materialna. Istniała. Miała gęstość, twardość, skóra miękko uginała się pod dotykiem moich palców. Odwracałem się z lękiem, trzymając cały czas jej dłoń.

Była jak zawsze. Niebieskie oczy, zadarty nos, pieprzyk przy prawym uchu. Sukienka, w której wyszła na uczelnię w dniu moich urodzin.

– Dziś twoje urodziny, może mała niespodziewana przyjemność z rana?

– Nie – jęknąłem.

Mimo to pochyliła się i pocałowała mnie. Chłodne usta poruszyły się na moich. Struchlałem. Nie oddałem pocałunku. Ona nie żyła od miesiąca. Nie mogła mnie całować. Była martwa. Skremowana. Pochowana. Nie istniała. Jak mogła mnie całować? Więc kiedy nasze usta się spotkały, wzdrygnąłem się, bo rozsądek nie potrafił pogodzić się z takim obrotem spraw. Leżałem sztywny i chyba zapomniałem oddychać. Słup soli. Kamienny posąg. Manekin. Zemdliło mnie z przejęcia. Z nagłej trwogi. Zamknąłem oczy, ale po chwili je otworzyłem. Ciągle leżała. Blisko mnie. Znowu mnie pocałowała. Na wargach pojawiło się osobliwe uczucie. Zaszczypało, jakbym dotknął językiem bateryjki.

– Jezu, nie – szepnąłem przerażony prosto w jej usta.

– Nie chcesz?! – Była zaskoczona. – Jak uważasz! – powiedziała urażona, wstała i wyszła do łazienki.

Zerwałem się i pobiegłem za nią. Łazienka była pusta. Zakręciło mi się w głowie. Żeby nie upaść, musiałem oprzeć się o ścianę.

– Lilka! Wracaj! – krzyknąłem niezbyt głośno, ale błagalnie.

– Oj, czego krzyczysz? Kawy nie można sobie zrobić? W ogóle to nie kupiliśmy mleka – powiedziała z kuchni. – I samo światło mamy w lodówce! Kupisz dziś coś? Mam masę roboty, ten doktorek od baroku dał dodatkowe ćwiczenia. Chyba nie wyjdę z biblioteki! – Marudziła jak zawsze, kiedy była zawalona pracą i bała się, że nie zdąży na czas. Ten sam ton, ten sam wyraz twarzy, układ warg. – Co tak nic nie mówisz, co?

– Liluś, ale jak to wszystko, skoro ty...

Zatkało mnie. Nie mogłem jej powiedzieć, no, po prostu nie chciało mi przejść przez gardło, że przecież nie żyje, że ją pochowałem. Byłem na stypie u jej rodziców. A teraz z nią rozmawiam, czuję jej ciało...

– Co ja? – zapytała zaintrygowana moim zachowaniem.

– Jak to wszystko ogarniesz? – odparłem, tchórząc.

– Pójdę dziś do czytelni, a gdy wrócisz, to uczcimy twoje urodziny. Okej?

– Jasne. – Pokiwałem głową.

– Pójdę już. Wracaj do łóżka. Pośpij jeszcze trochę.

Poszła do łazienki. Nie wróciła. Siedziałem pół dnia w fotelu w pustym mieszkaniu. Potem wstałem i poszedłem do szpitala. Nie przyjęli mnie. Odesłali do wszystkich diabłów.

*

Wziąłem pięć dni urlopu. Codziennie rano spotykałem się z Lilką. Oswoiłem się z myślą, że zwariowałem, że mam urojenia, że gadam z nieżyjącą narzeczoną. Oswoiłem się z tym, że mnie dotyka, że ją czuję, że czekam na jej pocałunki. Chłodne palce na ciele, jej usta na moich, na twarzy, piersi. Przytuliłem ją raz, objąłem i mocno przytuliłem. Była lekka, ale im dłużej trzymałem marę, tym bardziej realna mi się wydawała, tym trwalsze było jej ciało, jej piersi, jej biodra. Tak bardzo się denerwowałem, że kiedy była blisko, drżałem, serce ściskało się w bolesnych skurczach, płuca z trudem pompowały tlen. Trzymałem ją, czułem, całowałem, ale gdzieś w głowie ciągle mi grało, że jej nie ma. Nie ma. Nie ma.

Pewnego dnia chciała się kochać. Nie mogłem. No bo jak? Co innego gadać z kimś, kogo nie ma, a co innego uprawiać z nim seks. Kochać się ze zjawą? Postacią z chorych urojeń mojego mózgu? Fizycznie nieistniejącą?! Cały czas powtarzałem sobie, że Lilusia nie żyje, nie istnieje, a to, czego doświadczam, to tylko wytwór mojego chorego umysłu, nafaszerowanego lekarstwami. Przeszło mi przez myśl, że skoro jej nie ma, a ja bym się z nią kochał, to z kim bym to robił? Ze sobą? Leżałem w łóżku, rechotałem obleśnie i całkiem idiotycznie.

Zapytała mnie, dlaczego nie chcę. Patrzyła mi w oczy i pytała, czy już jej nie kocham, czy nie lubię jej cycuszków.

– Liluś, ja cię nie kocham?! Ja?! Przecież ja bym życie za ciebie oddał! Wszystko bym zrobił, żebyś ożyła, wszystko...

– Ożyła? Jak to ożyła? – Zaskoczenie na jej twarzy było przeogromne.

Nie wytrzymałem. Zerwałem się, zostawiając ją na łóżku. Słabo mi się zrobiło od nagłego ruchu, z nosa skapnęło kilka kropel krwi, na chwilę pociemniało mi w oczach, ale po chwili wyszeptałem całą prawdę najbardziej szalonym głosem, jaki kiedykolwiek dobył się z moich ust. Bardziej dziko rozmawiałem chyba tylko z matką Lilusi na stypie, kiedy poprosiła mnie, bym jej oddał rzeczy córki.

– Nie żyjesz! – szepnąłem i poczułem, jak mi włoski na ciele stają dęba. – Zabił cię facet w srebrnym audi. Weszłaś mu pod samochód. Śpieszyłaś się. Miałem urodziny. Była nasza rocznica. Siedziałaś w bibliotece do piątej. Powiedziałaś Violi, że lecisz, bo chcesz mi kupić sałatkę z krewetek. Szłaś do baru sałatkowego i weszłaś pod samochód. A ja od tamtego czasu ciągle wariuję. Ty nie żyjesz, a ciągle ze mną jesteś! Rozmawiam z tobą, śpię, całuję! Ale powiedz mi: jak można się kochać z kimś, kogo nie ma?! – Nie odpowiadała, patrzyła bez zrozumienia. – Zwariowałem jak mój stary! On był psychiczny! Co rusz zamykali go w szpitalu. Ledwo wyszedł, ledwo go przestali pilnować, żeby leki brał, to znowu mu odbijało. Wreszcie zabił matkę i się powiesił. I ja też oszalałem! Jak on oszalałem! Tyle że nie mam w domu żadnej liny. Żadnego mocnego sznurka. Niczego, na czym mógłbym się powiesić, jak on, jak Łukasz...

Groza mną taka wielka zawładnęła, przerażenie tak okrutne, że aż mnie zatkało. Bo ledwo o nich pomyślałem, ledwo wyrzekłem te słowa, to za tą moją Lilką stanęła matka. A za nią ojciec. I ta babka spod dwójki. Patrzyli na mnie. Chwyciłem się za głowę i zawyłem jak potępieniec. Kiedy

zacząłem krzyczeć, Lilka wstała i wpadła na ojca. Odwróciła się i krzyknęła ze zgrozą wymalowaną na twarzy. Za chwilę już jej nie było. Zniknęła, rozmyła się. Jęknąłem z wrażenia i usiadłem pod ścianą.

– Czego wy chcecie? – zaszlochałem. – W jakim zakamarku mojego popierdolonego mózgu się ukryliście, co? Przecież ja was wcale nie pamiętam! Nie pamiętam! To skąd teraz nagle się wzięliście? I skąd ja wiem, że wy to wy?

Krew z nosa znowu kapała. Było mi słabo. Od szaleństwa zmieniających się emocji rozbolała mnie głowa. Objąłem ją dłoniami i ścisnąłem. Szeptałem sam do siebie, wrzeszczałem na nich w sobie. A może nie? Nie wiem, wydawało mi się, że nie mówię głośno, że krzyczę w sobie.

Zabrakło mi sił. Patrzyłem na nich, spocony, zapluty, dyszący, na granicy wytrzymałości. Patrzyłem i czekałem, aż zdarzy się coś, co przywróci mi normalne życie. Ale się nie zdarzyło. Babka spod dwójki usiadła na krześle. Matka obok niej. Ojciec stanął po drugiej stronie łóżka pod ścianą łazienki.

– Poszła wreszcie – stwierdziła matka z wyraźną ulgą w głosie. – Uważaj, synku, uważaj z nią...

– Z nią? A z wami nie? Mam uważać z moimi urojeniami?

– Nie bądź głupi! – syknął ojciec. – Nie masz żadnych urojeń.

– To co? Kim jesteście?

– Duchami, dziecko – odpowiedziała spokojnie matka. – Duchami.

Mój śmiech brzmiał dziko, szaleńczo. Rechotałem jak wariat, a potem ten mój potępieńczy rechot przeszedł w szloch, bezsilny płacz. Łkałem z twarzą w dłoniach, opierając łokcie na udach. Byłem wymizerowany, wychudły, nieustannie zmęczony, a płacz, szok, niepojęta sytuacja jeszcze mnie osłabiały. Szeptałem coś o niedowierzaniu, pytałem: „Jak to, duchy? Skąd duchy? Jakie duchy?”. Odpłynąłem, straciłem poczucie bycia tu i teraz. Dosłownie jakbym się unosił, jakby moje ciało nie tkwiło zeszmacone na podłodze, tylko jakbym płynął nad nim, unosił się, fizycznie nie istniał. Nie czułem swoich kości, mięśni, skóry, byłem niematerialnym istnieniem, łkającym bólem i prośbą, by to wszystko się już skończyło. Kiedy się ocknąłem i wróciłem do świata, Lilka siedziała na łóżku i patrzyła na mnie.

– Jak to umarłam? Skoro mnie nie ma, to czemu jestem? – zapytała roztrzęsionym głosem i zniknęła.

Nie nagle, nie tak od razu, jakbym zdmuchnął zapałkę. Raczej tak, jakby się rozpłynęła, rozmyła. Robiła się coraz bledsza, coraz bardziej przejrzysta, a potem już jej wcale nie było. Po chwili jednak pojawiła się znowu. Siadła obok mnie. Wpakowała się w moje ramiona, zmusiła mnie, bym ją objął, przytulił. Pogłaskałem jej plecy, włosy. Podniosłem jej głowę, chwytając pod brodę. Pocałowałem ją i zamknąłem w tym pocałunku całego siebie, całą moją miłość do tej Lilki sprzed miesięcy, do tej ciepłej, słodkiej dziewczyny, która kochała takiego ponurego gościa bez przyszłości. Oddała pocałunek, wessała się w mój język, wpiła się w moje usta, we mnie całego, zagarniała mnie mocniej i mocniej...

Byłem coraz słabszy, coraz bardziej bezwładny. Sercem targnął ból, w głowie zalśniło, że to umieranie, odchodzenie, pocałunek śmiertelny, ostatni, że zaraz te słodkie usta wyciągną ze mnie resztę życia, zagarną ostatni błysk energii. Jeszcze miałem dość siły, by ją odepchnąć, by choć spróbować wykonać jakiś ruch, coś powiedzieć, ale już nie chciałem. Opuściłem ramiona. Mdlałem, obezwładniony jej zachłannością. Słabo mi było, miękko, coraz bardziej bezwładnie...

– Puść go, zdziro – usłyszałem głos pełen złości, nietłumionej furii.

Nacisk na mojej piersi zelżał, usta pozbawiające siły zniknęły. Rozchyliłem powieki. Twarz Lilusi, wykrzywiona w gniewie i bólu, odsuwała się. Ojciec, mój szalony, potępiony przez świat i ludzi ojciec, trzymał ją za włosy i odciągał ode mnie. Wysoki dźwięk, niczym skowyt pełen wściekłej niezgody, wydobywał się z jej ust. Wielkich i przerażających ust, które wyciągały się do mnie, chciały mnie znowu pochwycić i wchłonąć. Jednak ojciec, pełen determinacji i uporu, ciągnął ją za włosy po podłodze pokoju. Wiła się, kopała, próbowała go uderzyć, ale on nie puszczał. Trzymał ją mocno, ciągnął za sobą. Po kilku chwilach, kilku szarpnięciach, jej głos się zmienił. Była w nim już tylko cicha, bolesna skarga. Usta były normalne. Jednak ojciec nie zatrzymał się, nie puścił jej. Oboje rozmyli się, rozpłynęli w nieruchomym powietrzu kuchni.

Zamknąłem oczy i odpłynąłem w niebyt.

– Weź telefon – szeptał Łukasz. – Leży przy łóżku. Wezwij pomoc, wezwij pogotowie. Dalej! Weź telefon.

Nie drgnąłem. Było mi lekko, spokojnie, z rozchylonych ust płynęła cieniutka nitka śliny, rzęsy haczyły o wykładzinę... Odpłynąłem w nicość

bez snu, bez zjaw, bez myśli i uczuć. W otchłań pozbawioną czegokolwiek. Cicho tam było, dobrze.

– Dalej, szczeniaku! Rusz się, kurwa, bo jak cię złapię, gnoju jeden, to pożałujesz! – Wrzask ojca poderwał mnie z ziemi. – Wstawaj! Ile się będziesz, kurwa, wylegiwać, co? – Uderzył mnie, jak kiedyś, zanim zdechł na stryczku, jak w domu, gdzie noc zawsze kończyła się jego wrzaskiem i uderzeniem w głowę, w plecy, w cokolwiek, byle bolało, bylebym się obudził i zerwał, leciał do łazienki, wchodził pod zimny prysznic, szorował zęby, ubierał się w dres, robił przysiady, pompki, biegał wokół domu, piętnaście kółek wokół domu, a potem słał łóżko, równo, równiuśko, bo jak nie, to pilot i od nowa, wszystko od nowa, i uderzenie, i płacz, i znowu, bo nie wolno płakać, nie wolno się mazać, mężczyzna się nie maże, nie beczy jak baba, jak cipa jaka, jak ciota, co to ją wszyscy ruchają, a on cioty nie wychowa, tylko mężczyznę, co twardy będzie, musi być twardy, nie jak jakaś kurewska ciota...

*

Ocknąłem się w szpitalu. Najpierw z daleka dobiegał mnie nieprzyjemny, powtarzający się dźwięk. Gdzieś w głowie dopasował się do niego obraz – „maszyna, która robi ping”. Otworzyłem oczy i powiodłem wzrokiem po pokoju. Matka siedziała w nogach łóżka z prawej strony. Lilka z lewej. Szarpnął mną strach, ale one się uśmiechnęły. Matka wstała, podeszła i pogłaskała mnie po włosach.

– Nic się nie martw, ona już wie, nie dotknie cię więcej. Odpocznij.

A Lilka, moja kochana, martwa Lilka pokiwała do mnie swoją małą dłonią i dodała:

– Pośpij jeszcze trochę, kochanie. Taki jesteś słaby...

Zaśmiałem się. Idiotycznie, całkiem głupio. Śmiałem się i śmiałem, coraz bardziej histerycznie, aż ten mój nieokiełznany atak histerii ściągnął do sali pielęgniarza. Spojrzał na mnie, zapytał o coś, ale ja tylko śmiałem się dziko. Poleciał po lekarza.

*

Do domu wróciłem po miesiącu pobytu w szpitalu. Zdiagnozowano skrajne wyczerpanie i anemię. Depresję i załamanie nerwowe. Myśli samobójcze i manię natręctw. Trochę mnie postawili na nogi, ale i tak wyszedłem na

własne żądanie. Wróciłem do mieszkania. Było puste i ciche. Żadnych duchów czy zjaw. Ubłagałem je w szpitalu, by dały mi trochę czasu, trochę oddechu od ich nieustannego towarzystwa. Nie chciały odejść, szczególnie Lilka, ale wreszcie ustąpiły. Poszły sobie. Raz widziałem ojca. Stał pod oknem i patrzył na mnie. Całkiem bez słowa.

Dwa tygodnie leżałem na łóżku w swojej nędznej kawalerce i czekałem, czy nie przyjdą. Potem kupiłem „Ogłoszeniaka", znalazłem nową kawalerkę i nową pracę. W starej mnie nie chcieli. Właściciel „Magazynu dla panów" powiedział, że nie mam się po co pokazywać. Rozmowa kwalifikacyjna w centrum handlowym – pomyślna. Mieszkanie, znajdujące się nieopodal nowej pracy, było lepsze od starego.

Kiedy wracałem do domu, na klatce stała babka spod dwójki.

– Ja to bym chciała – wyznała cicho – żeby pan poszedł do mojego męża i powiedział mu, że dokumenty są w szafie, ale pod drugą półką. Tam jest podwójna deseczka i tam je schowałam. I niech mu pan powie, że lekarstwa na serce musi brać pół tabletki. Cała to za dużo.

Nie odpowiedziałem. Poszedłem do domu, spakowałem swoje rzeczy i siedziałem godzinę w fotelu. Wpatrywanie się w pokój, w którym zdarzyły się niepojęte rzeczy, dziwnie mnie uspokoiło. Wreszcie zarzuciłem torbę na ramię i zamknąłem za sobą drzwi. Na parterze stała babka spod dwójki. Patrzyła prosząco. Nacisnąłem dzwonek do drzwi jej dawnego mieszkania.

– Dzień dobry – powiedziałem bez uśmiechu do mężczyzny, który w nich stanął. – Jestem Jacek Tenar, spod ósemki. Pańska żona prosiła, żebym panu powiedział, że dokumenty są w szafie pod drugą półką, między dwoma deskami. Przypomina też, że ma pan brać pół tabletki na serce, nie całą. Miłego dnia życzę. – Skinąłem głową i poszedłem.

*

Przeprowadzałem się dwa razy, zanim znalazłem odpowiednie mieszkanko. Małe, przytulne, niedaleko pracy. Ledwo przywykłem, pojawiła się Lilka. Obejrzała wszystko i przyznała, że się jej podoba.

– Co z nami będzie? – zapytałem któregoś zimowego wieczora.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Próbowałam trzymać się od ciebie z daleka, ale słabo mi to wychodzi. – Opuściła głowę. – Nie mogę być z tobą, nie mogę bez ciebie... Nie chcę znowu zrobić ci krzywdy. – Głos brzmiał nad wyraz szczerze. – Twój ojciec odszedł. Poszedł sobie na zawsze.

Widziałam. Może ja też powinnam, ale nie wiem jak, którędy... I nie chcę cię zostawiać! Kocham cię!

Martwiła się. Byliśmy razem krótko, ale ten wyraz zagubienia i rozdarcia znałem doskonale. Widziałem go, ilekroć dzwoniła do niej matka z wyrzutami, że związała się ze mną, że ich nie odwiedza...

– Jak mogę jej pomóc? Sobie pomóc? Nie mam pojęcia. Dlatego zgłosiłem się do brata. – Uśmiechnąłem się. – Wiem, że ona cierpi. Zdaje sobie sprawę, że nie powinno jej tu być. Nie wie, co zrobić. Brat jej pomoże? – zapytałem i spojrzałem mu w oczy.

Były szare z plamkami zieleni. Słuchał mnie od kilku godzin. Snułem moją zadziwiającą opowieść, popijając herbatę. Ani razu nie dostrzegłem, by wątpił czy nie dowierzał. „Dobrze chociaż tyle!” – pomyślałem.

– Chciałby brat się z nią spotkać? – zapytałem.

Ledwo kiwnął głową, już była. Braciszek wpatrzył się w powietrze za mną, odruchowo zacisnął palce na poręczy fotela. Widział ją tak samo jak ja. Był pierwszym człowiekiem, który widział moją zmarłą ukochaną.

– Przyszliśmy, bo podobno zajmuje się brat egzorcyzmami – usłyszałem cichy głos. – Może nas ojciec od siebie uwolnić?

Obraz

Joanna Łukowska

Roznosiłam kanapki z kawiorem i lampki szampana. Pracowałam dorywczo w firmie cateringowej, która obsługiwała wernisaż. Gdy ukradkiem chłonęłam atmosferę artystycznego świata, ktoś inny pochłaniał mnie wzrokiem. Facet po czterdziestce z fularem pod szyją i różą w butonierce. Nie wiedziałam, jak się zachować, gdy nazwał mnie najpiękniejszym dziełem na sali.

– Niczego bym w pani nie zmienił... – Skłonił głowę z uznaniem. – Nie ośmieliłbym się, gdy twórcą jest sama natura.

Zaczerwieniłam się. Byłam naturalną brunetką o jasnoniebieskich oczach i niezłych wymiarach; jednak nie przywykłam do aż tak wyszukanych komplementów.

– Oto moja wizytówka. Jestem marszandem. Bazyli Maria Czarnecki.

– Bardzo mi miło, ale jak pan widzi... – Wskazałam głową tacę.

– Oczywiście. Ale może później dałaby się pani zaprosić na drinka?

Co mi szkodziło? Wyglądał i zachowywał się jak dżentelmen.

Łatwo nam się rozmawiało. Chętnie słuchał

– Mam dwadzieścia lat, studiuję i marzę o własnym kącie. Dlatego łapię się różnych zajęć i oszczędzam. Na razie uzbierałam na pół kuchni... – westchnęłam.

– Nie brałaś pod uwagę kariery modelki? – Sam zaproponował przejście na ty.

– Brałam, ale jestem za niska.

– Chodziło mi raczej o pozowanie malarzowi.

– Panu...? – Nagle zrobiłam się czujna i zapomniałam o komitywie.

– Ależ nie, dziecko – uspokoił mnie. – Myślałem o moim podopiecznym. Już wcześniej otaczałem patronatem zdolnych młodych

ludzi, ale Beni jest doprawdy niezwykły. Poznałem go zimą; zarabiał na rynku, rysując karykatury. Świetne, mimo zgrabiałych dłoni i młodego wieku. Zaoferowałem mu pomoc. Odmówił, dumny uparciuch. Nauczył się nie ufać nikomu. Ale nie poddawałem się. Zmarnować taki dar od Boga to grzech! W końcu zgodził się u mnie zamieszkać. Zima była sroga... Urządziłem mu pracownię i opłaciłem szkołę plastyczną. Wreszcie dojrzał do wystawy. Od pół roku nad nią pracujemy. Niestety, ma kryzys twórczy. Twierdzi, że modelki przywykłe do pozowania są za mało wyraziste, zbyt obojętne. A temat wystawy to emocje.

– Ja jestem bardziej wyrazista? – Zdziwiłam się, bo zawsze uważałam, że doskonale się kontroluję.

– Tak, dziecko... Każda twoja myśl objawia się w spojrzeniu, zmarszczeniu brwi, wygięciu ust, rumieńcu lub ułożeniu ciała. – Zmieszałam się. To też zauważył. – Bez obaw, po prostu umiem patrzeć. Taką mam pracę. Przemyśl propozycję. Za godzinę sesji jestem gotów zapłacić tyle... – Wyciągnął notes, zapisał liczbę i pokazał mi.

„Boże, tyle kasy! Sto godzin sesji wystarczyłoby, bym mogła wpłacić pierwszą ratę na wymarzoną kawalerkę!”.

Przez tydzień zmagałam się z wątpliwościami. Wizja własnego lokum wygrała. Zadzwoniłam i umówiliśmy się u Bazylego w domu. Otworzył mi ubrany w tużurek.

– Benjamin czeka w pracowni, zaprowadzę cię, przedstawię, a potem zniknę. Nie lubi, gdy patrzę mu na ręce. Artyści miewają swoje humory.

Nie tak wyobrażałam sobie młodego geniusza pędzla. Wyglądał jak młodociany przestępca. Krótko obcięte włosy, pogardliwe spojrzenie, dres i bujany krok.

– Cze, lalka – przywitał się.

– Cze, kolo – odparłam.

– Słyszę, że się dogadacie. Beni, bądź miły, proszę. Anna nigdy dotąd nie pozowała.

– Wreszcie trochę spokoju – mruknął Benjamin, gdy jego mecenas zniknął za drzwiami. – Gdy jest w pobliżu, wolę nie stawać do niego tyłem.

Chwila minęła, nim pojęłam. Więc stąd te stroje, wyszukane maniery i słownictwo, niemal kobieca wrażliwość...

– Świnia – wyrwało mi się.

– On?

– Ty. Nie wierzę w kit o utracie weny. Brak wyrazistości, phi!

– Jaka domyślna... – mruknął. – Cóż, każdy orze jak może. Kiedy ta cała wystawa zrobi klapę, a zrobi na bank, drogi Bazyli może już nie być taki gościnny. Ty też, laleczko, nie znalazłaś się tu bezinteresownie.

– Uwierzył w ciebie, a ty go zwyczajnie wykorzystujesz! – obruszyłam się.

– Cóż, różne rzeczy się robiło, by nie zdechnąć z głodu... – Skrzywił się. – Bardzo różne. Nie spodobałyby się takiej grzecznej, miłej panience, oj nie... – Tym razem uśmiechnął się niemal obleśnie.

Poczułam się niewyraźnie.

– Tak zostań! – Ożywił się, sięgając po ołówek i blok. – Chyba uda ci się utrzymać na pięknej buzi ten wyraz odrazy? Studentka, ukochana córeczka, dobra i niezbrukana, co? – zgadywał. – Taka, która nie wie, jak to jest przymarzać do ławki w parku albo udawać na dworcu, że czeka się na pociąg, który nigdy nie przyjdzie. Jednak mój się zjawił. Ekspres specjalny o nazwie Bazyli. Porobiłem go, jak chciałem, widzi we mnie drugiego Michała Anioła. Też był pedałem, wiedziałaś? – Prowokował mnie i... szkicował.

Po trzech godziny stwierdził:

– Przypasowałaś mi, lalka. Przyjdź pojutrze.

Nie chciałam, ale przyszłam, jak ćma wabiona światłem. Choć Benjamin miał w sobie więcej mroku niż jasności.

– Starego nie ma. Jesteśmy sami. – Powitał mnie odziany jedynie w poplamione farbą dżinsy. Miał szczupły, ale umięśniony tors i mnóstwo tatuaży.

– Większość z poprawczaka – pochwalił się. – Występuję topless, bo chciałem cię ośmielić. Skoro masz zdjąć z siebie szatki...

– Nie rozbiorę się, wybij to sobie z głowy!

– To spadaj. Nie chcę cię przelecieć, tylko namalować. Nie jesteś w moim typie, poprawi ci to humor? Wolę pustogłowe blondynki.

Nigdy nie pojmę, czemu udałam się za nim do pracowni. I czemu usłuchałam, gdy rzucił krótko:

– A teraz wyskakuj z bluzki.

Gdy moje piersi uwolniły się z objęć stanika, mruknął tylko:

– Cudnie. Siedź i nie ruszaj się.

Dziwne, ale nie czułam wstydu. Jakbym była na wizycie u lekarza. Benjamin zerkał na mnie, rysując w skupieniu. Moje myśli błądziły wokół matki. Urodziła trójkę dzieci, ale jej piersi wciąż były jędrne jak u młódki. Uśmiechnęłam się. Może i ja nie stracę tego atutu swojej urody...

– Ujmij je w dłonie – zażądał Benjamin. – O tak... właśnie, jak dziwka na wystawie. Miałabyś wzięcie, lalka. Zarobiłabyś na chatę raz dwa. Nie kusiło cię?

„Padalec! Za kogo on mnie ma?!" – rozzłościłam się, do reszty zapominając, że siedzę prawie goła przed typem, którego wychowała ulica.

– Nie uznaję seksu bez miłości. Ale jakie ty możesz mieć pojęcie o miłości...

– Dokładnie żadne – potwierdził.

Kolejne sesje zlewały się w ciąg milczących godziny, przerywanych krótkimi rozkazami lub intymnymi pytaniami, których sama sobie nie odważyłabym się zadać. Wszystko wykpiwał: Boga, rodzinę, wiarę w ideały. Celowo mnie peszył i wyprowadzał z równowagi, by potem kraść moje emocje i przelewać je na płótno. Jednak z czasem uzależniłam się od tych dziwnych, niepokojących pytań. Zmuszały mnie do myślenia, tropienia ukrytych pragnień, do określenia własnego „ja". Dni układały się w tygodnie, tygodnie w miesiące. Pozowanie wciągnęło mnie niczym nałóg. Moje konto rosło, ale nie dla pieniędzy stawiałam się na każde żądanie bezczelnego artysty. Bo był artystą. Bezosobowość i arogancja, z jaką mnie traktował, dowodziły tego najlepiej. Wbrew sobie i zdrowemu rozsądkowi zapragnęłam, by Benjamin dostrzegł we mnie kobietę, nie tylko modelkę; by spojrzał na mnie jak na żywego człowieka. W końcu otworzyłam się przed nim jak przed nikim wcześniej. Chciałam, by i on odwzajemnił się tym samym, ale zawsze chował się za maską cynizmu i ironii.

– Lepiej nie, lalka. Gdybyś wiedziała tyle, co ja, znowu musiałbym szukać nowej modelki.

Gdy dał mi wolne na dwa tygodnie, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Brakowało mi czegoś albo raczej... kogoś.

– Chciałem, by odzyskał wenę, ale teraz się martwię – powitał mnie od progu Bazyli. – Zamyka się na całe dnie i noce. Prawie nie śpi, odżywia się

głównie kawą i papierosami. Nie pokazał mi nawet skrawka płótna! Pytany, milczy albo warczy...

– Lalka, jak długo mam czekać?! – dobiegł nas z góry poirytowany głos.

Istotnie, wychudł i zmizerniał. Zaczerwienione, podpuchnięte oczy, ponure spojrzenie.

– Przebierz się w to. – Zdjął błękitną koszulę i podał mi.

Była jeszcze ciepła. Pachniała dymem, terpentyną i czymś jeszcze, czymś nieuchwytnym. Nim. Poczułam dreszcz, nakładając ją na siebie. Celowo nie zapięłam guzików. Choć okryta w ten sposób czułam się bardziej naga niż kiedykolwiek wcześniej podczas pozowania. Wyszłam zza parawanu z bijącym szybko sercem. Spojrzał na mnie i spochmurniał jeszcze bardziej. Przełknął ślinę.

– Cholera, mam już tego wszystkiego dosyć. Dobra, jedziemy z tym koksem.

Przez dwie godziny nie odezwał się ani słowem. Nie wyskoczył z żadną prowokacją. Mogłam skupić się na nim, nie na sobie. I nagle odkryłam, że uwielbiam patrzeć, jak pracuje. Jak zagryza wargę, przechyla głowę, mruży oczy...

– Przestań się na mnie gapić. To ty pozujesz, lalka, nie ja.

– Kiedy lubię na ciebie patrzeć. – Uśmiechnęłam się z przekorą. – Włosy ci odrosły i jesteś całkiem do rzeczy kolo.

– Okej, przerwa. Muszę się czegoś napić. Zaraz wracam. Tylko niczego nie dotykaj.

Na sztalugach w kącie stał osłonięty białą płachtą obraz. Nie mogłam się powstrzymać. Umierałam z ciekawości. „Tylko zerknę” – obiecałam sobie.

Zajrzałam za zasłonę i zamarłam. Niby ja i nie ja. Pogarda biła z każdego milimetra. Naprawdę umiał malować. I podkradać się się bezszelestnie jak wąż.

– Szpiegujesz! – Złapał mnie za ramię i obrócił w swoją stronę.

– Tak mnie widzisz? – nie mogłam uwierzyć.

– Widzę cię, jak chcę. – Szybko zasłonił obraz

– Ale to nie mogę być ja... – zaprotestowałam słabo.

– Nie cała ty – uściślił. – Trzeba jeszcze to i owo poprawić. Ale nie wiem, czy warto, nie znoszę szpiegów.

– Ale mnie znosisz? – zaryzykowałam pytanie. Położyłam dłoń na jego szorstkim od zarostu policzku. – Kazałeś mi założyć swoją koszulę. Wystarczyło poprosić. Zgodziłabym się, byś sam mnie dotknął.

– Nie jestem z drewna, lalka, nie prowokuj mnie.

– Nie mów do mnie „lalka”. Wiesz, jak mam na imię.

– Masz setki imion... – wychrypiał, mocniej ściskając moje ramię. – Ale nie potrzebuję litości.

– Boli... – szepnęłam.

Złagodził uścisk, przesunął dłoń z barku na szyję. Przyciągnął mnie do siebie. Koszula rozchyliła się, moje piersi przylgnęły do jego rozpalonego torsu. Jakby toczyła go gorączka. Zaklął brzydko.

– Miej pretensje do siebie – rzucił i pocałował mnie, bez pardonu, bez tkliwości. Mocno i gwałtownie. Oderwał się, dysząc ciężko. – Uciekaj, laluniu, dobrze ci radzę. Będziesz żałować. Mnie nie warto...

Ale było już za późno na rozsądek. Moje palce błądziły po jego skórze, odczytując hieroglify tatuaży. Zsunął spodnie, ujął moje pośladki i po chwili już był we mnie. Krzyknęłam. Nie z zaskoczenia. Z ulgi; tak długo czekałam... Usiadł na fotelu, w którym zwykle pozowałam. Nie wypuszczał mnie z rąk. Trzymał mocno, gdy poddałam się odwiecznemu rytmowi. Ktoś wszedł do pracowni, westchnął głęboko, wycofał się... Nieważne, bo... dreszcz przeszył mnie od korzeni włosów po koniuszki palców!

– Kocham cię – szepnęłam.

On cicho jęknął, jak skrzywdzone dziecko. Przytuliłam go. Wreszcie udało mi się przedrzeć przez dzielący nas mur.

– Czy teraz możemy wrócić do roboty? – Odsunął się. – Ulżyło ci?

Jakby oblał mnie kubłem zimnej wody.

Gdy wychodziłam, Bazyli wyraźnie unikał mojego wzroku. Co innego Benjamin. Patrzył mi prosto w oczy, gdy powiedział:

– Spisałaś się, lalka. Zasłużyłaś na premię. Więcej nie będziesz mi potrzebna.

Bazyli poczerwieniał, ja zbladłam. Siłą powstrzymałam łzy.

– Racja. Zasłużyłam. Bo twoje pojęcie o uczuciach naprawdę jest żadne. Jeśli wystawa zrobi klapę, to nie przeze mnie. I ustalmy jedno, nie żal mi ciebie, ale dziecka, które musiało radzić sobie samo. I nie ulżyło mi ani trochę. Bo... bo jesteś idiotą!

O sukcesie Benjamina dowiedziałam się z prasy. Krytycy piali z zachwytu nad nowo odkrytym talentem, potrafiącym dotrzeć do wnętrza duszy kobiety. Zabawne. Gdybym tak ochoczo go tam nie wpuściła, guzik by odkrył. Obrazy sprzedawały się na pniu. Największą furorę robiło płótno z wywieszką: *Nie na sprzedaż*. „Włosy jak skrzydła kruka, brwi niczym czarne kłosy pszenicy, przenikliwy błękit spojrzenia. Piękna i straszna zarazem” – pisano.

Obejrzałam go, gdy szał minął. Nie musiałam kryć się za ciemnymi okularami. Poznałam niebieską koszulę, ale postać na portrecie nie przypominała mnie ani trochę. Nikt nie mógł być aż tak piękny.

– Jesteś... – usłyszałam ciche słowa. Obróciłam się. Stał tam, jeszcze bardziej wychudzony, niż zapamiętałam. – Wciąż czekałem, liczyłem, że przyjdziesz, zrozumiesz... To czuję, gdy na ciebie patrzę. Zachwyt i przerażenie.

– Czego się boisz?

– Ciebie, Aniu. Jeszcze nigdy nikogo nie kochałem.

„Ci co przysyłają newsy nie mają lekkiego pióra”

Jan Siwmir

– Czy musimy drukować każde opowiadanie? – zapytała Kornelia, przebierając palcami po klawiaturze, bo czytając sceny erotyczne przypomniała sobie, że ma gdzieś w starych plikach rewelacyjną opowieść. Byłaby jak znalazł do tomiku.

– Skądże znowu. – Mroku popatrzył na nią zdegustowany. – Te już były wydrukowane, bo miały zasilić inną antologię. Wydawca zbankrutował, zatem mamy na początek cztery niezłe historie. Pozostałe przysyłajcie mi w wersji elektronicznej, na maila.

– Dobre są! – Ania oderwała się od lektury. – Będę musiała przeprosić się z kilkoma zawodowymi pisarzami. Ci co przysyłają newsy, nie mają takiego lekkiego pióra.

– Przepraszaj się, z kim chcesz – burknął Naczelny. – Równo za miesiąc ma być u mnie trzydzieści opowiadań!

– Swoją drogą... ten Benjamin. – Ania podparła brodę i popatrzyła na Zuzę. – Lubię niegrzecznych chłopców. Nie jakieś ciepłe, układne kluchy. Facet musi mieć charakter. Wiedzieć, czego chce i brać to bez cienia zażenowania.

– Bo ja wiem... Niegrzeczni zwykle źle kończą, albo źle kończą ich kobiety.

– Źle się zaraz dla was skończy, jeśli nadal będziecie gadały o farmazonach. Mało pracy mamy? Opowiadania napisane?

– Piszą się, piszą...

– W zasadzie... ja też mam opowieść do innego projektu. Zabiją mnie, ale może zanim to zrobią, zdążę napisać im drugie. – Ania zaczęła przeszukiwać komputer...

Powrót do Moskwy

Anna Pasikowska

I znowu tu była. W Moskwie, dziś stolicy Rosji, ale wtedy, dwadzieścia lat temu jeszcze Związku Radzieckiego. Instytut Puszkina właściwie ten sam co kiedyś, no może po lekkim liftingu, ale wewnątrz ta sama „naukowa” atmosfera.

Naprzeciw niej, po marmurowej posadzce, szła dość wysoka szatynka, ubrana w skórzaną kurtkę i dżinsy.

Katarzyna próbowała dopasować imię do niewątpliwie znajomej twarzy, ale kobieta ją ubiegła.

– Kaśka?! No nie, to naprawdę ty?!

Dopiero w tym momencie doznała olśnienia.

– Agata, matko droga, ile to lat?! – Kobiety objęły się i wycałowały.

– Ale się cieszę, że cię widzę! Jak ty to robisz? Nic się nie zmieniłaś! – Agata szczebiotała jakby w ataku histerii.

– A tam, nic, każda z nas ma na koncie dwadzieścia lat więcej – odpowiedziała Katarzyna, nadal nie mogąc uwierzyć w to, że stoi przed nią serdeczna przyjaciółka z dawnych czasów.

– Ale wiesz co? Powiem ci więcej. Wyglądasz nawet lepiej niż kiedyś! Dwadzieścia lat mówisz? Aż trudno uwierzyć. Instytut, jak widzisz, też prawie się nie zmienił. Spotkałaś kogoś jeszcze z tych, co wtedy tu byli? – Agata wyglądała na wyraźnie podekscytowaną.

Przyjaciółki stały pod ścianą długiego holu, obserwując, jak coraz to nowi uczestnicy zjazdu pojawiają się w drzwiach instytutu, nad którymi wisiał biały transparent, zapisany wielką cyrylicą: „Witamy uczestników światowego kongresu tłumaczy języka rosyjskiego”.

– Nie wiedziałam, że zajmujesz się tłumaczeniami – zdziwiła się Katarzyna.

– Od jakiegoś czasu, koleżanka prowadzi kancelarię adwokacką i ma dwie rosyjskie firmy w obsłudze, więc mnie poprosiła. Ale wiesz, nie miałam przysięgłego i musiałam jeszcze pozdawać egzaminy.

– No, to mnie się udało, zaraz po studiach zrobiłam tłumacza przysięgłego, wtedy wystarczyło złożyć wniosek w urzędzie i załatwione. Słyszałam, że te egzaminy teraz to masakra.

– Żebyś wiedziała, niczym doktorat albo jeszcze gorzej, ale zdałam i mam z głowy. Kochana, przed nami dwa tygodnie wakacji i to w Moskwie! Ty wiesz, jak ja marzyłam, żeby tu wrócić?! Znowu pochodzić po tych wszystkich miejscach, a GUM to teraz podobno jedno z najdroższych centrów handlowych na świecie! – Agata aż piszczała z radości.

– Nie dziwię się, same ekskluzywne sklepy, najlepszych światowych projektantów. A wtedy? Pamiętasz?

– Jasne, mydło i powidło.

– A te fińskie buty, pamiętasz? Te z czerwonej dziurkowanej skórki mam do dziś. – Kasia wspominała z rozrzewnieniem.

– Ależ ci ich zazdrościłam, chciałam takie same, ale już nie dostałam. Kaśka, tak się cieszę, że się spotkałyśmy, i to tutaj. Martwiłam się, co będę tu sama robiła, a tu proszę – niespodzianka!

– Ja też się cieszę, nawet nie wiesz jak.

Rozejrzała się po znajomych korytarzach i holu prowadzącym do wind. Tylko recepcja wydawała się nowa. Choć obecnie instytut przypominał raczej dobry hotel niż akademik. Bardziej światowo się zrobiło. Ale wtedy też nie było źle, obiekt stanowił miejsce rekreacji i wypoczynku dla sportowców, biorących udział w igrzyskach olimpijskich. Sprzyjało temu położenie na peryferiach miasta, gdzie stację końcową miała jedna z linii moskiewskiego metra – Jugozapadnaja, a potem jeszcze kilka przystanków autobusem na ulicę Wołgina.

Z czasem peryferia rozrosły się, a zabudowa przestała przypominać komunistyczne obskurne blokowiska, czekające jakby albo na dokończenie, albo na wyburzenie. Obok nich wykwitły strzeliste apartamentowce przypominające kaktusy na pustyni Sonora w Arizonie.

Wszyscy studiujący język rosyjski w tamtych czasach mieli zagwarantowany jeden semestr na trzecim roku właśnie w Moskwie. I na te pół roku w Kraju Rad wszyscy niecierpliwie czekali. Oczywiście nie chodziło o zgłębianie tajników języka, ale o całą resztę, całkowicie z

rusycystyką niezwiązaną. A więc zawieranie międzynarodowych znajomości, bo towarzystwo było bardzo międzynarodowe, z całego świata. No i imprezy, w przerwach których trudno było nawet znaleźć czas na zwiedzanie stolicy, ale Kasi i koleżankom mimo wszystko coś tam zobaczyć się udało.

Semestr w Moskwie kończył się jednak egzaminami, które panny studentki, niejednokrotnie z wielkim trudem, musiały zdać; dobrze, gdy choć na tróję z dwoma minusami, bo częściej niż na zajęciach bywały zupełnie gdzie indziej.

– Słuchaj, Kaśka, a może jakichś naszych Tunezyjczyków tu spotkamy? – Agata zapytała z nieskrywaną ekscytacją w głosie.

Katarzyna spojrzała na nią, ale nic nie odpowiedziała i zmieniła temat.

– Wiesz co? Musimy nadrobić zwiedzanie, bo wtedy nawet do Trzeciakowskiej Galerii nie dotarłam, o Teatrze Bolszoj już nie wspomnę. Mam nadzieję, że bilety można teraz łatwiej dostać, a nie tak jak wtedy zamawiać z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem.

– No jasne, Trietiakowka koniecznie, ja co prawda byłam, ale chętnie sobie przypomnę. A Bolszoj? Słyszałam, że dalej ciężko bilety dostać, ale może nam coś tutaj zorganizują.

Podszedł do nich jakiś mężczyzna i zapytał po rosyjsku, czy już się zakwaterowały. A ponieważ oczywiście się zagadały i o sprawach formalnych zapomniały całkowicie, więc zaraz skierowały się do recepcji. Udało im się zamieszkać w jednym pokoju na osiemnastym piętrze.

Gdy wjechały windą na górę i weszły do pokoju, znów zebrało im się na wspomnienia. Oglądały „apartament” i trajkotały jak papużki nierozłączki.

– No stara, normalnie szok. Niczym w Mariocie, nie to co kiedyś: dwa łóżka na krzyż i trzeszcząca szafa. A pamiętasz karaluchy? – Agata skrzywiła się.

– Wrrrr, mam nadzieję że już ich nie ma, wygląda czysto. – Kasia zajrzała do toalety. – W łazience też wszystko odnowione.

Wróciła do pokoju, podeszła do okna, na którym wisiały koronkowe białe firanki, a z boku oliwkowe zasłony.

– Wtedy nawet okna były gołe. Miło tu teraz. – Popatrzyła przez szybę. Tak jak przed laty rozpościerał się stąd widok na olbrzymi park. Korony drzew z tej wysokości wyglądały niczym wielki, pofałdowany, zielony dywan, sprawiający wrażenie, jakby zaraz miał odlecieć.

– Okej, rozpakujmy się. Za godzinę obiad. – Z Kasi opadły pierwsze emocje i nagle poczuła zmęczenie podróżą. Marzyła już tylko o prysznicu.

– Kaśka, a co ty właściwie robisz u siebie?

– Mam biuro tłumaczeń.

– Ale chyba nie tylko rosyjski?

– Nie, wiele innych języków, z rosyjskiego bym nie wyżyła.

– No ale biznes się kręci? – Agata nie dawała jej spokoju.

– A, jakoś daję radę, z głodu nie umieram, ale sama wiesz, jak teraz wszystko leci w dół, w internecie ceny bardzo pospadały.

– Tak, wiem, ja mam trochę inny układ i nie narzekam. A gdy się dowiedziałam o tym sympozjum, to koleżanka dała mi wolne i przyjechałam. Choć nie spodziewałam się, że spotkam kogoś znajomego, a że już ciebie, to w ogóle!

Zadzwonił telefon Katarzyny.

– Przepraszam, to syn.

Odebrała. Chłopak tylko zapytał, czy wszystko w porządku i wkrótce rozłączył się.

– Masz syna? – Agata zaciekawiła się.

– Tak, już dorosły, skończył dwadzieścia lat.

Agata spojrzała na koleżankę podejrzliwie.

– To ty zaraz po powrocie z Moskwy w ciążę zaszłaś? A taka byłaś zakochana, zaraz, jak mu było, czekaj no... przypomnij mi... – Agata szukała w pamięci imienia tunezyjskiego studenta po uszy zakochanego w Kaśce w czasie ich pobytu w Moskwie.

– Mounir – pomogła jej koleżanka.

– No właśnie, Mounir. Swoją drogą niezłe z niego ciacho było. Ten mój Mohammed przy nim to kapiszon taki, ale co tam, też fajny był. No ale pamiętam, że nie miałaś w Polsce chłopaka, więc skąd tak szybko to dziecko?

Bezpośredniość Agaty trochę zmieszała Kasię, ale postanowiła powiedzieć prawdę, bo i tak by się wydało.

– Cezary jest synem Mounira.

Zaległa cisza. Agata oniemiała, aż usiadła z wrażenia na łóżku.

– Ale zaraz, to ty jesteś żoną Mounira?! – krzyknęła zaskoczona przyjaciółka.

– Nie, on nawet nie wie, że ma syna – dość obojętnie powiedziała Katarzyna.

– Jak to, nie wie?! No co ty?! Nie zawiadomiłaś go?! Przecież miałaś z nim kontakt, pisywaliście do siebie. – Agata otworzyła oczy ze zdumienia i zrobiła taką minę, jakby zaraz miała wsiąść do statku kosmicznego i odlecieć do innej galaktyki. Ale też informacja tak nią wstrząsnęła, że nie mogła opanować emocji.

– Niby tak, ale ja potem zrozumiałam, że to nie ma sensu. On w Tunezji, ja w Polsce, poza tym sama wiesz, jak tam jest, inna kultura, w ogóle inny świat. Napisałam do niego, że kogoś poznałam, starałam się mu wszystko wytłumaczyć... a raczej dosadnie dać do zrozumienia, że to koniec, choć ciężko mi było, pisałam i płakałam, ale nie mogłam inaczej. To było beznadziejne, nie miałabym odwagi, żeby tam wyjechać, a nie sądzę, by on chciał zamieszkać w Polsce. Byłam zakochana i to bardzo, ale jednocześnie bałam się, przerosło mnie to uczucie. A Mounir nie napisał więcej. Wiesz, urażona męska duma, a jeszcze Arab. Pamiętasz, jacy oni są niezłomni, jak kochają, to na zabój, ale jak nienawidzą, to z całego serca. I tak pewnie było z jego miłością do mnie, obraził się, poczuł zlekceważony i tyle. Nie ukrywam, mimo wszystko liczyłam, że jednak odpisze, że może będzie chciał mnie przekonać, ale nie, nie on, przecież porzuciłam go, no więc nie zamierzał błagać. Zrozumiałam, że chyba aż tak bardzo mu na mnie nie zależało, skoro się nie odezwał.

– No ale jak się dowiedziałaś o ciąży, to nie próbowałaś jeszcze raz? – Agata nie mogła uwierzyć, że koleżanka tak się poddała.

– Próbowałam, napisałam do niego, ale nie odpisał. Nie liczyłam na wiele, jednak chciałam, żeby wiedział. No cóż, uznałam, że mnie znienawidził i postanowił ukarać, nawet wiadomość o dziecku nie zadziałała. To co, miałam jechać i go szukać? – Katarzyna mówiła zupełnie bez emocji.

– Ja bym chyba pojechała. – Agata zareagowała spontanicznie.

– Ale ja nie, nie miałam zamiaru o nic go prosić, nie ja. Urodziłam, wychowałam syna i już.

– A syn wie, kto jest jego ojcem?

– Tak, powiedziałam mu dwa lata temu, kiedy już był dorosły. Ale nie zrobiło to na nim zbyt wielkiego wrażenia, wychowywał go ktoś inny i to on jest dla niego ojcem.

– Czyli ułożyłaś sobie życie? – Agata nieco się uspokoiła.

– Można to tak nazwać, ale kilka lat temu rozwiedliśmy się i jestem teraz sama.

– Niesamowite... i mówisz o tym tak spokojnie? – Koleżanka sprzed dwudziestu lat nieustannie się dziwiła.

– A co mam robić? Nie wiesz? Życie to taki teatr, raz my rządzimy, a raz to nami się rządzi. Podobno każdy na tej scenie ma swój limit nieszczęść do wykorzystania... Może mój się wreszcie wyczerpał. – Kasia uśmiechnęła się i wyjęła z portfela zdjęcie Cezarego. – To mój syn. – Podała fotografię koleżance.

– Boże, to przecież cały Mounir, tylko cera mniej śniada.

– Wiem, czasami o nim myślę, gdy patrzę na Cezarego, coraz bardziej robi się do niego podobny.

– Jak to znosisz? – Agata była niezaspokojona w zadawaniu pytań.

– Przyzwyczaiłam się, ale myślę o jego ojcu, zwłaszcza od czasu gdy znowu jestem sama. Wiesz, ja go naprawdę kochałam. Ale mam syna i to jest najważniejsze.

– Jasne, nie ma co wracać do przeszłości, trzeba się cieszyć tym, co jest – zakończyła przesłuchanie Agata.

– No a ty? Długo utrzymywałaś kontakt z Mohammedem? – Katarzyna chciała zmienić temat.

– A wiesz, trochę pisaliśmy, potem on nawet przyjechał do mnie w wakacje, ale już nie iskrzyło i potem się rozmyło – wspominała Agata bez entuzjazmu.

– Naprawdę, przyjechał?

Tym razem to Kasia się zdziwiła.

– Tak, nawet się ucieszyłam. Ale w Polsce to już nie było to samo, taki jakiś mi się wydał... nie taki. Okej, to sobie powspominałyśmy. Idź do łazienki, a potem ruszamy na podbój sympozjum!

Po godzinie obie panie, odświeżone, nieco wypoczęte, zjechały windą w dół i udały się do restauracji na obiad. Sala restauracyjna też wyglądała inaczej niż kiedyś, odnowiona, ze zmienionym wystrojem i kolorystyką.

Podeszły do bufetu, gdzie zobaczyły dość bogaty repertuar dań przygotowany dla smakoszy z całego świata.

– A pamiętasz? – Uśmiechnęła się Agata. – Wtedy to tylko sosiski i jajka sadzone z groszkiem.

– Tak, parówek był ci dostatek. To co bierzemy? – Kasia poczuła, że zgłodniała.

– Popatrz, jest ucha, słynna zupa rybna; biorę! O, są też pielmieni, dawno nie jadłam takich prawdziwych. A ty?

– Ucha i kawior na bagietce. – Kasia od razu zdecydowała. – Pamiętasz bankiety w Kremlowskim Pałacu Zjazdów? Od razu mi się przypomniało, jak zobaczyłam ten kawior na bułce.

– No jasne, Kacha, to był dopiero szał! Tylko po to wszyscy tam chodzili, nie do teatru, tylko żeby w przerwie najeść się za darmo kawioru. Pamiętam, jak spróbowałam, ale to było ohydne, od tamtej pory nienawidzę kawioru.

– A ja polubiłam, ale też dawno nie jadłam, więc przypomnę sobie teraz. – I oprócz zupy, na tacy Katarzyny wylądowały cztery tartinki z pomarańczowymi kulkami ułożonymi fantazyjnie w stożek.

Przyjaciółki zabrały swoje tace i udały się do pierwszego z brzegu wolnego stolika.

Agata zaczęła się dyskretnie rozglądać. Przy pozostałych stolikach siedzieli mężczyźni i kobiety różnych ras i narodowości. Sporo było Murzynów, Arabów, Latynosów. Wokół unosił się wielojęzyczny gwar. Oczywiście nikt nie musiał się obawiać braku porozumienia, bo wszyscy świetnie mówili po rosyjsku.

– No nieźle, towarzystwo całkiem, całkiem. Może znów złamiesz komuś serce? – Agata popatrzyła na koleżankę tym swoim diabelskim spojrzeniem.

– Pewnie, o niczym innym nie marzę – Kasia odpowiedziała z ironią. – Jedz, bo ci wystygnie. Szyja cię jeszcze nie boli?

– Oj, przestań, muszę widzieć to i owo.

– Uważaj, bo ty się zakochasz – mruknęła żartobliwie Katarzyna.

– Wiesz, że bym chciała? Ale chyba jakaś nieudana jestem, nikt nie chciał się ze mną ożenić – kokieteryjnie odparła Agata.

– Zaraz nieudana. Nie wierzę! – śmiała się Kaśka.

– Wybredna się zrobiłam, czekam na swojego księcia na białym koniu. A że takich już dziś nie ma, więc się nie łudzę. Wolę być sama i dobrze mi z tym – pewnym głosem zaspokoiła ciekawość Kasi.

– I jak ucha?

– Super, wtedy to była sama woda, a teraz normalnie ekstra, dobrze przyprawiona, gęsta, sporo mięsa – Agata zachwalała rozanielona.

– Uhm, mnie też smakuje; ale to się wszystko pozmieniało! Już nie ten sam Puszkin.

Tak studenci nazywali instytut. Studiowanie w nim było o tyle wygodne, że wszystko znajdowało się na miejscu. Akademik, sale wykładowe, stołówki, bary, restauracje. Na zajęcia więc chodzić można było w przysłowiowych kapciach.

Kiedy obie panie skończyły jeść, wstały i udały się do wyjścia, wzbudzając po drodze spore zainteresowanie wśród osobników płci męskiej, którzy powiedli za nimi rozmarzonym wzrokiem.

Katarzyna, średniego wzrostu blondynka, zgrabna, ubrana w koszulową, czerwoną bluzkę oraz dżinsy dokładnie opinające pośladki i zgrabne uda, dumnie kroczyła w czerwonych półbutach na obcasie; a obok niej – Agata, dość wysoka, brązowowłosa kobieta, może nie piękność, ale mogąca się podobać, zadbana i pewna swoich wdzięków, również w wąskich czarnych spodniach, i skórzanej krótkiej oliwkowej kurtce.

Nic więc dziwnego, że przyjaciółki, opuszczając salę, powodowały, iż gorące rozmowy milkły w momencie, kiedy mijały kolejne stoliki. One zaś, świadome wywołanego wrażenia, dumnie wypięły pierś, jak to kiedyś miały w zwyczaju, jeszcze bardziej eksponując swoje wdzięki. Uśmiechały się niby od niechcenia, udając, że w ogóle nie zauważają spojrzeń mężczyzn, którzy zazwyczaj takie zainteresowanie okazują tylko piłce zmierzającej do bramki na boisku.

Gdy już znalazły się poza zasięgiem męskiej sfory, popatrzyły na siebie znacząco i wypuszczając powietrze z ust, niemal jednocześnie parsknęły śmiechem.

– Stara, nie jest z nami tak źle. A ja myślałam, że czas umierać! – Agata zareagowała w swoim dawnym stylu.

– Ja nie zamierzam umierać, zobaczysz, jeszcze nam Mendelssohna zagrają. – Kasi poprawił się wyraźnie humor.

– Dopiero co byłaś raczej w melancholijnym nastroju, a teraz, proszę, stara, dobra Kaśka. Taką cię pamiętam i lubię!

– Bo dobrze znowu poczuć na sobie męskie zaciekawione spojrzenia – westchnęła Katarzyna.

– Pewnie, że dobrze, oj, czuję, że jeszcze niejednemu serce złamiesz.

– W każdym razie na pewno nie mam takiego zamiaru, zresztą, Agata, to tylko dwa tygodnie. Pomyślmy lepiej, co zrobić z pozostałą częścią dnia. Do nocy jeszcze daleko, a pogoda piękna, ciepło. To co? – Popatrzyła filuternie na koleżankę, która, długo się nie namyślając, jednocześnie z Kaśką krzyknęła:

– Gum, Plac Czerwony!

Kiedyś to było ulubione miejsce ich wypadów. Namiętnie buszowały po sklepach dziewiętnastowiecznego, niespotykanej urody handlowego przybytku. Zawsze wracały z jakimś łupem, a to z butami, a to z dezodorantami, które w Polsce były wtedy tylko w Peweksach; a to coś ze złota upolowały, bo jak wiadomo z Moskwy przywoziło się głównie złoto.

– Słuchaj, a ty pamiętasz, jak tam dojechać? Do metra musimy się dostać autobusem, no i sprawdzić, na jakiej stacji się przesiąść i gdzie wysiąść... Ja nie pamiętam. Masz może plan metra? – Katarzyna za nic nie mogła sobie przypomnieć nazw stacji.

– Nie, ale zaraz coś załatwimy, poczekaj. – Podeszła do recepcji i zapytała po rosyjsku, gdzie można dostać plan Moskwy z zaznaczonymi liniami komunikacyjnymi. Okazało się, że organizatorzy przygotowali takowy dla wszystkich uczestników sympozjum. I po chwili, tkwiąc z nosami w mapie, przypominały sobie nazwy stacji moskiewskiego metropolitena.

– To tak, jedziemy na Jugozapadną, a potem prosto na Plac, czekaj, to będzie... no tak, stacja Biblioteka Lenina. Dobra, idziemy na górę, bierzemy, co trzeba i jedziemy – zarządziła Agata. – Masz gotówkę czy kartę?

– Trochę rubli mam, ale nie za wiele, sądziłam, że tu normalnie można kartą wszędzie płacić. – Kasia zaczęła wątpić, bo wiedziała, że w Rosji, nawet dzisiaj, wszystko było możliwe.

– Weź i to, i to, ja też tak zrobię, no wiesz, strzeżonego i tak dalej...

Jak postanowiły, tak zrobiły.

Kiedy stąd wyjeżdżały, panowała prawdziwa rosyjska zima, wszędzie zwały śniegu, trzaskający, w porywach trzydziestostopniowy mróz, a teraz trafiły w środek słonecznego lata. Na placu przed instytutem klomby pełne kolorowych kwiatów, krótko przystrzyżone trawniki, ławki, alejki, lampy. Jak w prawdziwym studenckim kampusie.

Ruszyły w kierunku przystanku autobusowego. Ulicą jechała akurat wolna taksówka, więc Agata pomachała i kierowca się zatrzymał. Kasia popatrzyła na koleżankę, nieco zdziwiona taką decyzją, ale nic nie powiedziała, tylko razem z nią wsiadła do samochodu.

– Do metra? – zapytała Kasia.

– Tak, nie będziemy się tłukły autobusem, teraz nas stać, no nie? – Agata uśmiechnęła się zawadiacko.

– Pewnie, jak szaleć to szaleć – nie oponowała zaskoczona przyjaciółka.

Bez problemu dotarły do metra, a pół godziny później znalazły się na Placu Czerwonym. Jedną z okalających go budowli był właśnie ów Gławnyj Uniwiersalnyj Magazin, czyli najpiękniejsze centrum handlowe Moskwy, rozciągające się wzdłuż całej długości słynnego placu, a dokładnie naprzeciw równie sławnego Mauzoleum Lenina, w którym do dziś spoczywały doczesne szczątki nieodżałowanego radzieckiego przywódcy.

Stanęły na skraju wielkiej, wybrukowanej pewnie jeszcze w średniowieczu przestrzeni i patrzyły.

– Po lewej GUM, pięknie odnowiony, na wprost najpiękniejsza i najbardziej kolorowa cerkiew, jaką widziałam, czekaj, jak się nazywa, bo zapomniałam? – Agata spojrzała na swoją towarzyszkę.

– Wasilija Błogosławionego.

– O, właśnie, no i czerwony mur Kremla po prawej. Popatrz, mauzoleum ciągle stoi, a wiecznie żywy Lenin w środku. Pamiętasz, jak tam byłyśmy?

– Pewnie, takich atrakcji się nie zapomina. Czarno w środku jak w grobie, tylko punktowe światło w narożnikach, i wchodziłyśmy, jak do pilnie strzeżonej twierdzy, jakby największy skarb tam był przechowywany.

Katarzyna przypomniała sobie wielce podniosły nastrój panujący w tej dziwacznej świątyni komunizmu. Pamiętała, że jak znalazła się tuż obok szklanej trumny z zabalsamowanymi zwłokami wodza, to ogarnął ja pusty śmiech, który musiała mocno tłumić, żeby nie urazić uczuć, prawie religijnych, do boga narodu radzieckiego. A snop intensywnego światła, padający wprost na woskowe ciało przywódcy sprawiał wrażenie, jakby jakaś kosmiczna siła zstępowała na zwłoki jednego z największych dyktatorów i wlewała w nie kolejne pokłady nadprzyrodzonych mocy.

Nie każdy przeciętny obywatel mógł wtedy dostąpić zaszczytu obcowania z tą wątpliwą świętością. Ale studenci, zwłaszcza zagraniczni, mieli to ułatwione. Najpewniej chodziło o to, żeby po powrocie do swoich krajów mogli opowiadać, że pamięć o wielkim Leninie jest nieustająca, cześć, jaką mu się oddaje, nie zmalała, a jego ideały tkwią w narodzie radzieckim głęboko i nieprzerwanie od 1918 roku.

– Już tyle razy słyszałam, że mieli go stamtąd zabrać, a on ciągle tam tkwi i zobacz, kolejka do niego długa jak kiedyś. – Kasia spojrzała w kierunku wężyka oczekujących na spotkanie z Leninem.

– To dla nich jak narkotyk, jak go zabraknie, to nawet pięciu Putinów nie pomoże, a tak – Lenin wiecznie żywy pomaga utrzymać ludzi w ryzach – od niechcenia spuentowała Agata, bo już ciągnęła koleżankę w stronę świątyni handlu.

– Popatrz, ale piękny, Harrods przy nim wysiada. – Agata miała na myśli okazały gmach GUM-u, zbudowany pod koniec XIX wieku, o szklano-żelaznej konstrukcji z elementami staroruskiej architektury.

Weszły do środka i dech im zaparło. Długie, dostojne pasaże handlowe, poprzecinane mostkami zdobionymi białymi kolumienkami. Drzewa, kwiaty, najdroższe światowe marki.

– Kochana, teraz to niepowtarzalny mariaż kiczu i luksusu. Ale światowo się zrobiło! – Agata reagowała jak mała dziewczynka.

– To co, pozwiedzamy czy pochodzimy po sklepach? – Kasia oprzytomniała.

– Sama nie wiem, ale tu bajkowo...

Do wieczora spędziły czas na buszowaniu po tej jedynej w swoim rodzaju galerii handlowej – do niedawna jeszcze zwykłym moskiewskim domu towarowym, a dziś super ekskluzywnym centrum handlowym na najwyższym światowym poziomie. Kupiły tylko jakieś drobiazgi, napiły się kawy w klimatycznej kawiarence, pooglądały wystawy, bo byle jaka apaszka kosztowała tutaj tyle, że ich zainteresowanie zakupami zmalało do zera. Wychodząc, uśmiechnęły się do siebie znacząco.

– Wiesz, ja wiedziałam, że tu się zmieniło, ale żeby aż tak? – Agata nie mogła się powstrzymać od komentarza.

– Tak, ale to tylko w stolicy.

Następny dzień rozpoczął się śniadaniem w stołówce, potem całe międzynarodowe towarzystwo miało się spotkać na pierwszych zajęciach.

Tuż przed dziewiątą tłumacze z niemal wszystkich krajów świata powoli zaczęli zapełniać salę wykładową i siadać w rzędach krzeseł ustawionych kaskadowo. Kasia z Agatą zjawiły się jako jedne z ostatnich. Prawie wszystkie miejsca były już zajęte, więc wdrapały się na samą górę i usiadły w rogu.

Po chwili weszło dwóch wykładowców; jeden z pewnością był Rosjaninem, drugi, śniady i przystojny, miał gęste, kręcone, lekko siwiejące włosy.

Zaległa cisza.

Aleksander Makarow, tak się przedstawił, zapoznał obecnych z planem zajęć, wyświetlił na ekranie zagadnienia i godziny poszczególnych bloków tematycznych, po czym z ujmującym z uśmiechem zaprosił wszystkich obecnych do udziału w spotkaniach. Lejtmotywem całego sympozjum były innowacje w systemie tłumaczeń, ze szczególnym naciskiem na cyfrowe możliwości pracy tłumacza, to znaczy odpowiednia umiejętność korzystania z najnowszych technologii jako dopełnienie pracy translatorskiej, a nie opieranie się na nich w całości. Krótko mówiąc, chodziło o to, żeby pokazać i udowodnić, że czynnik ludzki jest najdoskonalszy i niezastąpiony oraz że żadne gotowe formy przekładu nie zastąpią umiejętności i zdolności dobrego tłumacza.

Potem przedstawił wykładowcę, który miał ich zająć przez najbliższe dwie godziny.

Na tle wyłączonego już ekranu pojawił się wcześniej wspomniany mężczyzna o przydymionej cerze.

Katarzyna, która dotąd nie za bardzo zwracała uwagę na to, co się dzieje na sali, na dźwięk nazwiska owego nauczyciela zadrżała. Poderwała głowę, jakby ktoś z procy do niej strzelił, wybałuszyła oczy, a gorąco oblało ją całą.

Kilkanaście metrów przed nią stał Mounir Habib, jej wielka miłość sprzed dwudziestu lat. Ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że to on. Trochę starszy, lekko posiwiały na skroniach, co dodawało mu tylko uroku i atrakcyjności, ale to był on, ojciec jej syna.

– Agata, trzymaj mnie, czy ty widzisz to samo, co ja?

Przyjaciółka też była w szoku. Tak samo wpatrywała się w mężczyznę stojącego u podnóża sali wykładowej.

– To on! – prawie na głos krzyknęła, po czym zakryła usta dłońmi.

– Czyli to nie halucynacja? – zapytała nerwowo Kasia.

– Kaśka, to on, prawdziwy, stoi przed tobą. – Popatrzyła na koleżankę rozentuzjazmowanym wzrokiem. – Jak spojrzałam, to jeszcze przez chwilę się wahałam, ale gdy usłyszałam nazwisko, to już nie miałam wątpliwości. Kaśka i co ty teraz zrobisz?

Katarzynę zamurowało, patrzyła i nie była w stanie wydusić słowa. Schyliła głowę, przyłożyła dłoń do lewej piersi.

– Słabo mi, wyjdź ze mną.

Agata objęła przyjaciółkę ramieniem i pomogła jej wstać.

Starając się nie robić wielkiego zamieszania, w miarę szybko opuściły salę. Katarzyna zasłoniła twarz rękoma, a Agata wyjaśniła, że koleżanka źle się poczuła, ale to nic takiego. Makarow tylko skinął głową, wyszedł za nimi na korytarz i przyniósł wody.

Kasia usiadła na najbliższej ławce, napiła się wody.

– I szto? Uże wsio w poriadkie? – zapytał.

– Da, charaszo, dajtie nam piatć minut, ona uspokoitcja.

Katarzyna blada jak prześcieradło oparła głowę o ścianę. Makarow nieco wystraszony przyglądał się kobietom i jakby tego było mało, za chwilę drzwi się otworzyły i wyszedł Mounir zaniepokojony dłuższą nieobecnością trzech osób.

Katarzyna od razu się wyprostowała; łudziła się, że jej nie rozpozna. Ale on, gdy tylko na nią spojrzał, to zamarł. Stał jak wryty, nie mogąc oderwać od niej wzroku. Potem podszedł do kolegi, coś mu szepnął, a tamten zaraz wyjął telefon, zadzwonił i tylko kiwnął głową. Makarow zbliżył się do Agaty, ujął ją pod ramię i poprowadził z powrotem na salę. Kobieta, chcąc nie chcąc, podążyła za profesorem.

Mounir usiadł obok Katarzyny i patrzył na nią, wciąż nie wypowiadając ani jednego słowa. Ona też nie wiedziała, jak zareagować. Spuściła głowę, ale mężczyzna wyciągnął dłoń i podłożył ją pod brodę kobiety.

– Nie wierzę – odezwał się wreszcie po rosyjsku. – Wszystkiego bym się spodziewał, ale nie tego.

Patrzył na nią wzrokiem pełnym uwielbienia.

Nagle Katarzyna oprzytomniała, wyprostowała się, zrobiła pewną siebie minę i zapytała:

– Dlaczego nie odpisałeś na mój list?

Mężczyzna nabrał powietrza w usta i dopiero po chwili odpowiedział:

– Napisałaś, że mnie nie chcesz, że nigdy ze mną nie będziesz, bo to dla ciebie za trudne. Dla mnie to był cios, tak bardzo wierzyłem w naszą miłość, zrobiłbym dla ciebie wszystko. Ale po tym jak wyznałaś, że dla ciebie to była tylko zabawa, chciałem cię znienawidzić, dlatego spaliłem wszystkie twoje listy, zdjęcia, wyrzuciłem cię ze swojego życia. Upokorzyłaś mnie, a dla Araba to zniewaga, której się nie wybacza.

– Potem napisałam jeszcze jeden... – szepnęła.

– I po co? Spaliłem go, nie czytając, choć przyznam, że miałem wielką ochotę otworzyć. Nie mogłem zapomnieć, wariowałem, chciałem nawet do ciebie przyjechać, ale koledzy mnie powstrzymali; widzieli, co się dzieje, nigdy wcześniej tak się nie zachowywałem. Przekonali mnie, że gdybyś naprawdę mnie kochała, to nie napisałabyś takiego listu, uwierzyłem, że się mną zabawiłaś. Byłem dobry na Moskwę, ale za słaby na Polskę. Jak to, mąż Arab? Wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopiero koledzy uświadomili mnie, jak w Europie traktuje się kolorowych. Walczyłem ze sobą długo, ale w końcu przestałem. Poddałem się, jednak nigdy o tobie nie zapomniałem. Ożeniłem się nawet dwa razy, mam dwie córki, ale nigdy nie kochałem ich matek. To było złe, nie powinienem się z nimi żenić, skoro wciąż tęskniłem za tobą. Ale jestem tylko człowiekiem, ze wszystkich sił chciałem zabić tę miłość. Teraz widzę, że nie udało się. Katia, gdy cię zobaczyłem, wszystko wróciło, nigdy nie przestałem cię kochać – wyrzucił to z siebie na jednym wydechu.

Ona siedziała i patrzyła. Słuchała tego wszystkiego i nie wierzyła. Nawet nie otworzył listu z najważniejszą informacją w jego życiu. Ale czego się spodziewała? Że przyjedzie na białym koniu i stanie w drzwiach z wiadrem róż?

„Spalił – pomyślała – i nawet nie wie, że ma syna. A ja sądziłam, że po prostu go nie chce”.

Mounir patrzył na kobietę swojego życia ze łzami w oczach.

Na początku była zła, nawet wściekła, poczuła taki ból w piersiach, że prawie zemdlała. Dwadzieścia lat żyła w przekonaniu, że on nie chciał znać swojego syna, a on po prostu... nie przeczytał listu.

Zasady, duma, strach przed brakiem akceptacji zadecydowały o ludzkim szczęściu, podjęły decyzje za tych, którzy mogli go doświadczyć.

– Dlaczego los z nas tak zakpił? – Katarzyna zadała to pytanie nie wiadomo komu.

Ale jej miłość sprzed lat, jej Mounir, nie usłyszał pytania, tylko patrzył jak urzeczony w jej oczy, usta, delektując się upragnionym widokiem.

– Nawet nie wiesz, ile razy wyobrażałem sobie tę chwilę. Choć nie miałem żadnej, naprawdę żadnej nadziei, że kiedykolwiek nastąpi. To cud, rozumiesz? Cud, że cię spotkałem i to właśnie tutaj, w Moskwie.

– Chodźmy stąd. – Katarzyna wstała. Mężczyzna zrobił to samo.

– Dobrze się już czujesz? – zapytał drżącym głosem.

– Tak, teraz już dobrze. Ale wykład? – przypomniała sobie.

– Załatwione, przełożyłem na jutro, teraz nic innego się nie liczy, tylko ty. – Podniósł jej dłoń do swoich ust, pocałował.

Katarzyna poczuła się tak jak dwadzieścia lat temu – motyle w brzuchu, błogość, ciepło, a właściwie żar wypełniający ją całą od środka. Szła oparta o ramię mężczyzny, którego także nie przestała kochać, bo... jakby mogła? Miała z nim syna, który codziennie przypominał jej, jak bardzo kiedyś kochała i jak bardzo skrzywdziła samą siebie. Niestety, dowiedziała się o tym dopiero teraz, mając czterdzieści dwa lata. Cezary był dorosły i na dobrą sprawę nie potrzebował już ojca.

Tak była zajęta swoimi myślami, że nie zauważyła, jak znaleźli się w pokoju Mounira.

Rozejrzała się, usiadła na kanapie. On podszedł do niej, nachylił się i dotknął jej ust swoimi. Pocałował delikatnie, odsunął się i patrzył.

– Teraz już nie pozwolę ci odejść, nie pozwolę zniknąć, rozumiesz?

– Nawet nie zapytałeś, czy jestem wolna – powiedziała.

– Nie obchodzi mnie to, jeśli nie jesteś, to będziesz. Kocham cię i tylko to się liczy. Pokonam wszystkie przeszkody! – prawie krzyknął.

– Nie zapytałeś, czy ja chcę...

– Nie muszę o nic pytać, patrzę w twoje oczy i wiem. Dwadzieścia lat temu kłamałaś, ale nie teraz. Możesz mówić, że mnie nie chcesz, że mnie nienawidzisz, że mnie nie kochasz; i tak nie uwierzę. To byłyby tylko słowa, nie prawda. Teraz jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, wydoroślałaś, a jednocześnie masz w sobie cały czas tamten dziewczęcy urok, masz tę samą klasę i mądrość. Wierz mi, podziwiam nie tylko twoją urodę. Urzekła

mnie twoja osobowość, cała ty, a nie tylko twoja ładna buzia. Takich kobiet jak ty nie zapomina się, lecz wielbi przez całe życie. Masz w sobie coś, czego nie miała żadna inna, nie umiem tego nazwać, ale to coś rzadkiego i bezcennego.

– Masz żonę.

– Już nie mam, ty całe życie byłaś moją żoną, ciebie kochałem i o tobie śniłem.

– Ale... – próbowała jeszcze coś powiedzieć. Mounir już nie pozwolił, zamknął jej usta swoimi, całował do utraty tchu, a ona się nie opierała. Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko. Położył i patrzył. Uśmiechał się. Nie chciał niczego więcej, tylko być przy niej i patrzeć w jej piękne oczy w kształcie migdałów. Głaskał ją po policzkach, całował po szyi, biuście, upajał się jej widokiem.

– Chcę żebyś została moją żoną. Szybko się rozwiodę i przyjadę do Polski. Możemy zamieszkać w twoim mieście albo gdziekolwiek zechcesz. Powiedz tylko, że się zgadzasz.

Katarzyna usiadła. Już chciała opowiedzieć mu o synu, ale w ostatniej chwili powstrzymała się. „Niech to będzie dla niego niespodzianką” – pomyślała.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że kocha Mounira tak samo mocno jak on ją, że chce z nim być i cieszyć się życiem u jego boku.

– Muszę się zastanowić – zaczęła się z nim droczyć.

– Nie spodziewałem się innej odpowiedzi – uśmiechnął się zawadiacko – ale to nie będzie trwało długo, myślę, że do jutra dasz mi odpowiedź.

– Ale jesteś pewien.

– Jestem i nawet znam odpowiedź, ale pozwolę ci na ten manewr. Wy, kobiety, lubicie nas trzymać w niepewności. Ale tobie wolno wszystko, jesteś moją królową, więc dziel i rządź.

– I kto to mówi? – Zaśmiała się głośno. – Dumny Arab z zasadami.

– Nie ma zasad, jesteś ty i tylko ty się liczysz.

Słysząc te słowa, Katarzyna uwierzyła, że on naprawdę nigdy nie przestał jej kochać, mogła więc oddać mu całą siebie. Teraz świat wyglądał inaczej, granice nie istniały, ludzie byli wolni, a islamski mąż nie wzbudzał już żadnej sensacji. Świat się zmienił, ale ich uczucia pozostały te same, miłość pokonała wszystkie bariery, nawet te największe.

*

Samolot z Tunisu właśnie kołował po płycie lotniska. Katarzyna z Cezarym byli bardzo podekscytowani, bo za chwilę syn miał poznać ojca, który nic o nim nie wiedział.

– Mamo, dlaczego ty mu nie powiedziałaś? A jak dostanie tu zawału? – Cezary trochę się denerwował. – Minęły już trzy miesiące, a ty się nie wysypałaś, nie wiem, jak ci się to udało.

– Nie chciałam, żeby był ze mną ze względu na ciebie. Mówiłam ci już, a ty ciągle swoje.

– No dobra, rozumiem, ale nie wiesz, jak zareaguje, może ci tego nie wybaczyć. – Chłopak się denerwował, bo bał się, że matka znowu zapłaci za swoją tajemnicę.

– To będzie znaczyło, że mnie nie kocha. Zaufaj mi, będzie dobrze.

– Oj, wiem, że lubisz ostrą jazdę po bandzie, ale bez przesady. – Cezary się niecierpliwił.

Powoli zaczęli wychodzić pasażerowie rejsu z Tunezji; w końcu pojawił się Mounir i uśmiechnął się od ucha do ucha na widok swojej przyszłej żony.

Cezary odsunął się do tyłu. Chciał, żeby matka spokojnie przywitała się z mężczyzną swojego życia. Tak też się stało, objął ją wpół, przycisnął mocno do siebie, a potem długo nie mógł przestać całować. Widząc, jak wielką miłością darzy ów śniadolicy nieznajomy ojciec jego ukochaną mamę, Cezarego opuściły wszelkie obawy. Ich szczęście ze spotkania było tak wielkie, że mogliby nim obdarzyć jeszcze sto innych osób.

W pewnym momencie Katarzyna wyzwoliła się z uścisku Mounira, złapała go za rękę i poprowadziła w kierunku młodego mężczyzny, stojącego z boku.

Panowie spojrzeli na siebie, a że młodszy był niemal wierną kopią starszego, Mounir stanął jak wryty, myśląc, że wzrok płata mu figle.

Przeniósł pytające, zszokowane spojrzenie na kobietę swojego życia, zerknął znowu na Cezarego i nie wiedział, co ma zrobić.

Katarzyna podeszła i stanęła miedzy nimi.

– Mounir, this is your son – powiedziała po angielsku, bo, o ironio, ich syn nie znał rosyjskiego.

– Widzę, nie musisz mi go przedstawiać. – Podszedł do chłopaka, objął go i przytulił. Potem odsunął się i Cezary zobaczył, jak po policzkach

dorosłego mężczyzny leją się ciurkiem łzy.

Patrzył na swojego syna i nic nie mówił. A Cezary już wiedział, że dostał ojca, który do szaleństwa kochał jego matkę, więc i jego zaakceptował bez wahania.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – bez żadnego wyrzutu zapytał Mounir.

– O tym właśnie napisałam ci w liście, którego nie przeczytałeś. Myślałam, że nie chcesz naszego syna, tyle lat żyłam z takim właśnie przeświadczeniem.

– Nigdy sobie nie wybaczę, że byłem taki głupi. Dziękuję, że go wychowałaś, dziękuję, że zgodziłaś się za mnie wyjść mimo wszystko i dziękuję, że jesteście. Spełniło się moje drugie największe marzenie.

– Drugie? – zdziwiła się Kasia.

– Tak, pierwsze, żeby być z tobą, a drugie, żeby mieć syna. Ale nie myślałem, że to w ogóle jeszcze możliwe. Liczyłem, że może mi go jeszcze urodzisz, a tu, proszę, jest i to dorosły.

Objął Katarzynę, razem podeszli do Cezarego, którego też objął.

– Welcome, my son, jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Historia pewnego poczęcia

Kornelia Romanowska

Cholernie źle się czuję. Nie wiem dlaczego. Najzwyczajniej w świecie siedzę w łazience, okryta ciepłym pledem i płaczę, jakby to miało mi pomóc. Cholernie źle się czuję i nie potrafię tego zmienić. Mogłabym pójść do Kaśki i wyznać, co mi leży na wątrobie. Mogłabym też zadzwonić do Maćka i poprosić, by przyszedł mnie przytulić. Wtedy z pewnością powiedziałby, że wszystko będzie w porządku i nie powinnam się zamartwiać. Sęk w tym, że Maciek nie może się dowiedzieć, dlaczego jest mi źle. Co więc jeszcze mogę zrobić, oprócz martwienia się na zapas?

Właśnie. Też nie wiem. Dlatego nadal siedzę, opierając się o zimną ścianę, i wypatruję tych śmiesznych różowych linii, które miałam nadzieję zobaczyć. I nic. Absurdalność tej sceny powinna mnie rozśmieszyć.

– Znowu nic. Może jestem bezpłodna? Albo powinnam zacząć umawiać się z obcym? – powiedziałam do włączonego dyktafonu. – Kolejna próba. Ile jeszcze? Może to w nim tkwi problem? Hm... Może to jego mali przyjaciele nie mogą stanąć na wysokości zadania? Może... Tak!

Pełna wielkiej wiary postanowiłam zadzwonić do Maćka i czym prędzej zaprosić go do siebie. Szatański plan, który już na dobre zagościł w mojej głowie, z sekundy na sekundę stawał się bardziej realny. Mogłam napotkać tylko jedną, jedyną przeszkodę. Jedną, która mogła zniszczyć wszystko. Jak miałam to zrobić?

Im dłużej nad tym myślałam, tym nabierałam większej pewności, że będzie to trudniejsze, niż z początku założyłam. Maciek nie był głupi, ba, był niesamowicie inteligentny. Musiałam dobrze zastanowić się nad tym, jak go podejść, by się nie zorientował. Jak uśpić jego czujność?

Odrzuciłam pled, po czym wstałam, ostatni raz zerknęłam na brakujące różowe linie, które już widziałam w myślach, i wyrzuciłam pudełko wraz z zawartością do kosza.

– Dzisiaj albo nigdy – powiedziałam na głos, dodając sobie tym animuszu. Cóż, musiałam wierzyć, że mi się uda.

Maciek ochoczo zgodził się spędzić ze mną noc. Nie spodziewałam się innej odpowiedzi. Przez pięć lat związku odmówił mi może ze dwa razy, które do dzisiaj wspominam ze śmiechem.

Pierwszy zdarzył się na początku naszego bycia razem. Poszliśmy na urodziny do Kaśki i prawdę mówiąc, spiliśmy się jak dzikie bąki. Cóż, nie będę odkrywcza, jeśli powiem, że człowiek pod wpływem alkoholu wygaduje i robi różne, dziwne rzeczy, których za nic w świecie nie podjąłby się na trzeźwego. I właśnie to nas spotkało. Kaśka pełna dobrej wiary zaproponowała wszystkim grę, a ja niewiele myśląc, podłapałam jej ideę i próbowałam namówić Maćka, by rozebrał się do naga i przebiegł wzdłuż ulicy i z powrotem. Nie przerysuję specjalnie na potrzeby tej historii, jeśli powiem, że był to akurat okres karnawału, więc ludzie tłumnie opuszczali swoje domy, a na podwórzu Kaśki zawsze było wesoło.

Maciek przez chwilę zastanawiał się, jakby faktycznie rozważał moją prośbę, po czym z uśmiechem pocałował mnie w czoło i powiedział cicho:

– Zrobię wszystko, ale mojego przyjaciela masz prawo oglądać tylko ty.

I znowu nie przesadzę, twierdząc, że miał świętą rację. Tak więc był to pierwszy raz, gdy Maciek powiedział mi „nie” w niesamowicie urokliwy sposób.

Drugim razem znowu byliśmy na imprezie. Konkretnie na koncercie, szczerze powiedziawszy, nie pamiętam jakim. W każdym razie czuliśmy się niesamowicie podekscytowani; i to na tyle, że zainteresowaliśmy sobą policję. W ramach zademonstrowania siły swojej „miłości” do zespołu zdjęłam bluzkę, rzuciłam się na barierki i zaczęłam krzyczeć jak najgłośniej.

Maciek śmiał się, obserwując mnie, ale jego uśmiech zgasł, gdy dwóch rosłych policjantów zaczęło iść w moją stronę. Cóż, akurat tu nie jestem pewna, ile w tym wspomnieniu tkwi prawdy, a ile mojej osobistej przesady, ale pamiętam, że chciałam się na nich rzucić dla samej zasady. Z początku wydawali się nawet rozbawieni. Nie jestem dużą dziewczynką. Należę raczej do tych niskich. Niecałe metr sześćdziesiąt, burza brązowych włosów i jakieś dziwne, małe rączki. Nie stanowiłam dla nich wyzwania ani zagrożenia.

Patrzyli na mnie dłuższą chwilę, jacyś tacy zafascynowani, po czym jeden z nich wyciągnął w moją stronę swoje duże dłonie i podniósł mnie jak worek kartofli.

– Puszczaj!

Nic nie odpowiedział, tylko przeszedł ze mną kilka metrów, z dala od zgiełku, i dopiero postawił na ziemię.

– Następnym razem nie będziemy tacy uprzejmi. Proszę się właściwie zachowywać.

– Co się dzieje?

Zdyszany Maciek stanął przy mnie, oparł dłoń o moje ramię, jakby pokazywał, do kogo należę, i spojrzał wyzywająco na policjantów.

– Póki co tylko upominamy panią w kwestii jej niestosowanego zachowania w miejscu publicznym.

I w sumie na tym się skończyło. Zniknęli tak szybko, jak się pojawili. Nie ominęło mnie jednak długie kazanie Maćka i w rezultacie czułam się, jakbym zrobiła coś złego.

– Mogę cię o coś poprosić? – spytałam.

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Pewnie mi się to nie spodoba, ale strzelaj.

– Pocałuj mnie.

Roześmiał się na cały głos i przytulił się do mnie.

– Tego, skarbie, nie mogę teraz zrobić. Jestem zły z powodu twojego karygodnego postępowania i twoją karą będzie brak mych ust dzisiejszego wieczoru – oświadczył poważnie, wtulając głowę w moje włosy.

– Chyba żartujesz?!

– Jestem całkowicie poważny. A teraz chodź, mój nieznośny elfie.

I tak to właśnie wyglądało. Choć znowu nie mogę być do końca pewna, czy przedstawiłam fakty dokładnie, ale mniej więcej tak się to odbyło.

Wiedziałam więc, że Maciek za kilkanaście minut stanie w drzwiach. Mój szatański plan zostanie urzeczywistniony. Jedyne, co mi zaprzątało głowę, to niepewność, co zrobię później i jak to zrobię.

*

Zobaczyłam go w drzwiach. Nic nie mogłam poradzić na drżenie nóg. Nic nie mogłam poradzić na nic. Mogłam jedynie wpatrywać się w niego, z

lekko otwartymi ustami, czekając, aż weźmie mnie w ramiona, przytuli i powie, jak bardzo mnie kocha. Patetycznie. Może aż za bardzo.

Oparł się o ścianę i patrzył na mnie swoimi czekoladowymi oczami, jakby chciał wwiercić się w moją głowę i sprawdzić, o czym myślę. Kiedyś pewnie byłabym przerażona takim odkryciem. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj musiałam być pewna swego. Dzisiaj musiałam mieć czysty umysł.

– Cześć. – Uśmiechnęłam się zalotnie.

Maciek podszedł do mnie i pocałował mocno w usta.

– Jak się dzisiaj czuje moja urocza kobieta?

Bardzo dobrze, wiedząc, że w końcu pojawią się różowe linie – chciałam powiedzieć, ale powstrzymałam się.

Zaprowadziłam go do sypialni. Byłam całkowicie przygotowana na to, co miało nastąpić. Tak bardzo przygotowana, że aż obleciał mnie strach. Ale próbowałam sobie z nim poradzić.

Maciek nic nie zauważył. Może to i dobrze. Tak będzie najlepiej. Ułożyłam się na łóżku, spragniona jego dotyku. Spragniona życia, które tylko on był w stanie mi ofiarować.

Cholernie źle się czuję. Znowu. Tym razem nie nakrywam się pledem, tylko kołdrą, wsłuchuję się w odgłos jego oddechu. I myślę, że zachowałam się jak ostatnia idiotka. Cóż, wszystko było w porządku, ba, nawet plan był idealny do tego stopnia, że nawet przymuł by go nie spieprzył. No i go nie spieprzyłam, udało się. Sęk w tym, że wsłuchuje się teraz w jego spokojny oddech, a moje poczucie winy wwierca mi się w sumienie tak mocno, że aż boli.

Napisałam esemesa do Kasi, szukając porady i pomocy. Niemal zasypiałam, gdy usłyszałam cichy dźwięk nadchodzącej wiadomości.

„Pierdol ciążę, zostań ninja. A Maciek cię kocha, niemoto, i po prostu powiedz mu, czego chcesz”.

Pewnie miała rację. Przytuliłam się do Maćka i zasnęłam, a śniły mi się dzieci. Zaczęłam czuć się prześladowana.

Rano miałam moralnego kaca, którego za nic nie mogłam się pozbyć. Wstałam przed Maćkiem i wzięłam się za szykowanie śniadania, próbując nie myśleć o niczym więcej niż o jajecznicy, która przypalała mi się na patelni.

I z pewnością tak by się to ciągnęło, ale jak zwykle coś musiało pokrzyżować moje plany.

Bardziej poczułam, niż usłyszałam, jak się do mnie zbliża. Przytulił się do mnie, pocałował delikatnie w czoło i usiadł naprzeciwko, bacznie przypatrując się mojej twarzy.

– Zrobiłam ci kawę – powiedziałam jedynie, stawiając przed nim parujący kubek. Sama upiłam solidny łyk ze swojego.

– Kochanie, czy możesz mi powiedzieć, do czego potrzebne są ci moje plemniki? – spytał spokojnie.

Oplułam się, wylewając resztę kawy na podłogę. Maciek wyglądał na rozbawionego, ale nie uśmiechał się. Jedynie wodził za mną wzrokiem, gdy drżącymi rękami sprzątałam ten bałagan.

– Nie wiem, o co ci chodzi. – Próbowałam zaprzeczać, ale wyszło cholernie blado.

– Cóż, nie chcę wspominać o tym, co zostawiłaś na nocnej szafce. Ewidentny dowód. Po prostu zastanawiam się, czy opracowujesz jakiś tajny, rządowy plan mający na celu pozbawienie mnie czegoś? Analizę moich małych przyjaciół chcesz wysłać do obcych? A może myślałaś, że w nocy będą się świecić na zielono? Jak sama zauważyłaś, nic z tego. Jestem człowiekiem – powiedział, po czym podszedł do mnie, a jego twarz przypominała mi polującego tygrysa, który właśnie wybrał swoją ofiarę. Nogi miałam jak z waty. Cholera, cała trzęsłam się jak galareta. Oparłam się o blat, czekając na dalszy rozwój wypadków.

– Przykro mi, jeśli cię rozczarowałem. Jeśli miałaś nadzieję znaleźć we mnie coś wyjątkowego, trzeba było wyciąć mi serce, a nie zbierać plemniki, jakby były świątecznymi kartkami.

Przełknęłam głośno ślinę, myśląc, że to już koniec. Po czymś takim na pewno mnie zostawi, wyjdzie i nigdy nie wróci.

– Więc powiedz mi, kochanie, do czego ich potrzebujesz? – spytał cicho, wpatrując się prosto w moje oczy.

– Do dziecka.

Przytulił mnie z całej siły, po czym pocałował mocno w usta. Przez długą chwilę nie wiedziałam, gdzie jest góra, a gdzie dół. Byłam zszokowana jego reakcją.

– Co...?

– Trzeba było mi powiedzieć. Po prostu. Nie okradać mnie. Zresztą, muszę powiedzieć, że byłaś niesamowicie pomysłowa – szepnął tuż przy moim uchu, po czym się roześmiał, a ja zarumieniłam na samo wspomnienie tamtej sceny.

– Nie musisz się ze mnie nabijać.

– Nie bądź taka naburmuszona. To przecież ty zawiniłaś, nie ja. Masz szczęście, że jestem wyrozumiały. Inny facet pewnie przerzuciłby cię przez kolano i sprał na kwaśne jabłko.

– Tak, to czemu tego nie zrobisz? – spytałam zaczepnie.

– Bo mam inny pomysł.

W jego oczach pojawiły się dziwne iskierki.

– Maciek?

Nic nie odpowiedział, tylko podniósł mnie, przerzucił sobie przez ramię i wbiegł do sypialni.

– Chciałaś dziecko, to będziemy je robić. Tradycyjnie.

Patrzyłam na niego, nie rozumiejąc, co do mnie mówi.

– Ale... Nie jesteś na mnie zły?

Maciek pogładził mnie po policzku.

– O to się nie martw. Wymyślę ciekawą karę.

Gdy unieruchomił mi dłonie i zaczął wbijać palce w moje żebra, nie mogłam przestać się śmiać. Przez dłuższą chwilę znęcał się nade mną, po czym mocno przytulił.

– Kocham cię, ale czasami mam ochotę przetrzepać ci skórę.

*

Cholernie dobrze się czuję. Znowu siedzę w łazience. Znowu wpatruję się w różowe linie. Tym razem jednak się pojawiły. Piękne, jakby były pełne blasku. Uśmiechały się do mnie, albo zaczynałam mieć zwidy.

– W końcu nam się udało. Na szczęście nie musiałam swojego szalonego planu doprowadzać do końca i może dobrze się stało. Nie wiem, jak lekarz mógłby na to zareagować – powiedziałam do dyktafonu. – W każdym razie, mała dziecinko, kiedyś ci opowiem. No, może nie do końca wszystko. Ale coś na pewno. Tymczasem rośnij.

Czuję się dobrze. Świetnie. Niebanalnie. I co to było za poczęcie!

– Co zrobiłaś z moimi przyjaciółmi? – spytał Maciek pewnego dnia.

– Zamroziłam w tajnym laboratorium, by pewnego dnia zrobić z nich superszybkie dzieci z pełną gamą nieziemskich mocy – oświadczyłam poważnie.

Roześmiał się. Na cały głos. A ja pogładziłam się po widocznym już brzuchu.

„Ludzie mają parcie na szkło”

Jan Siwmir

– Cześć, Leń!

– Hejka! Co jesteście tacy ponurzy? Doda narozrabiała, a wy nie wiecie, jak to w kulturalnych a eleganckich słowach opisać? – Janek zamknął drzwi, uśmiechając się i puszczając oko do Zuzy.

– Wprowadźcie go w projekt. – Mroku dopił kolejną kawę, zdjął marynarkę z krzesła i ruszył do wyjścia. – Mnie na dziś skończyły się pokłady cierpliwości.

– A żałuj. – Janek poczekał, aż szef zniknie z pola widzenia. Po czym ruchem prestidigitatora wydobył z kieszeni pendrive'a i obwieścił triumfalnie: – Mam dwa opowiadania! Chcecie zobaczyć?

– Ty je napisałeś? – Zuza podejrzliwie spoglądała na Janka.

– Żartujesz? W kilka godzin? Jakbym nie miał lepszych rzeczy do zrobienia. – Ania w tym czasie wywróciła oczami. – Poderwałem pisarkę i omamiłem jednego z publicystów, oboje ochoczo wyrazili zgodę na zaistnienie w naszej antologii. Ludzie mają parcie na szkło...

– Skąd w ogóle wiesz o antologii? – zreflektowała się Zuza. – Przecież dopiero dziś Mroku o niej powiedział...

– A – Janek popatrzył na zaczerwienioną twarz Ani – a... przecież wiecie, że ja po matce mam zdolności jasnowidzenia... to co, chcecie przeczytać?

– Zaraz, chwileczkę – zaprotestowała Kornelia. – Najpierw moje! Znalazłam swój drugi tekst. Tylko bardzo proszę bez skojarzeń! Pisałam to, jeszcze nie znając Janka!

Garstka urywanych oddechów

Kornelia Romanowska

– Lepiej pozostańmy przy pseudonimach. Wiesz, stresuję się trochę, a to wcale nie sprawia, że jest mi łatwiej – zaczęła powoli, nerwowo przeczesując długie włosy. Niesforne kędziory nigdy nie układały się tak, jakby sobie tego życzyła. Jednak nie to było teraz ważne. Chwila, na którą czekała już długo, miała nadejść niebawem. Za parę minut, kilka sekund, jedno czy dwa uderzenia serca, garstka krótkich, urywanych wdechów i wydechów. Niepokoiła się. Nie wiedziała dlaczego. Po prostu. W myślach przywołała słowa Ani: idź na żywioł, a zobaczysz, że będzie fantastycznie.

Zastanawiała się, od czego zacząć. Jak mu wytłumaczyć to, czego nie potrafiła wytłumaczyć sobie?

– Ja będę Celest. Na dzisiejszy wieczór. A ty? – spytała, uważnie wpatrując się w siedzącego naprzeciwko mężczyznę.

Uśmiechnął się kącikiem ust, jakby skrywał jakąś mroczną tajemnicę. Nie mogła jednak przestać spoglądać w jego kocie oczy. Sprawiały wrażenie głębokiej otchłani, w której na dobre mogłaby utknąć. Pokręciła przecząco głową.

– Mogę być, kim zechcesz. Żołnierzem albo cywilem – zaczął, podchodząc do niej niczym lew do ofiary. Stanął tuż za krzesłem kobiety, po czym nachylił się do jej ucha, nie przerywając słodkiego szeptu. – Chyba że wolisz brutalnych wojowników.

Poczuła, jak jego język przesuwa się po płatkach uszu. Zadrżała. Ciepły oddech owionął jej szyję, kiedy jednym, powolnym ruchem uniósł loki w górę.

– Albo starożytnym gladiatorem, który nie boi się wyzwań.

Usilnie próbowała wpatrywać się przed siebie, za cel obierając chiński wazon. Nie mogła jednak skupić uwagi na niczym, prócz jego ust na swoim

ciele. „To nie tak miało być” – pomyślała w przypływie zdrowego rozsądku.

– Niech będzie Lestat. Zawsze lubiłem *Kroniki wampirów* – odparł, wplatając dłonie w jej włosy i masując skórę głowy.

Poczuła, jak ciało powoli się odpręża i poddaje temu zmysłowemu dotykowi. Odchrząknęła i nabrała pewności siebie.

– Wiem, że to trochę dziwna sytuacja. Jednakże nie miałam wyjścia. Potraktujmy to wszystko jako eksperyment. Nic ponadto. Ty jesteś doświadczony, a ja chcę z tego doświadczenia czerpać naukę.

– Oczywiście, jestem do twoich usług.

Uniosła się z krzesła i stanęła przodem do niego. Miał ostre rysy twarzy, które łagodniały, kiedy się uśmiechał. Był wyższy od niej co najmniej o głowę i odznaczał się nieprzeciętną urodą. Wszystko, czego szukała w mężczyźnie, on posiadał. To była wyjątkowo korzystna transakcja. Specjalnie na ten wieczór wynajęła pokój w ekskluzywnym hotelu w Warszawie. Tutaj była całkowicie anonimowa. A przecież o to w tym wszystkim chodziło.

– Dobrze. Więc skoro mamy ustalone szczegóły, oddaję się w twoje ręce – powiedziała ciszej, niż zamierzała. Zdziwiło ją to. Sądziła, że całkowicie nad sobą panuje. Minęło sporo czasu, od kiedy tak intensywnie odbierała bliskość mężczyzny. Niezbyt dobrze pamiętała tamto uczucie. Była wtedy młoda, niedoświadczona i całkowicie zdana na partnera. Chciała spróbować ponownie, chciała poczuć to, co jej przyjaciółki. Pragnęła znaleźć się w opisywanym tak często siódmym niebie.

Mężczyzna, nic nie mówiąc, wziął ją za rękę i poprowadził do przestronnej sypialni. Iście królewskie łoże nakryte było czerwoną kapą przetykaną złotymi nićmi. W pokoju panował półmrok, rozświetlany jedynie kilkoma palącymi się świeczkami. W tle sączyła się refleksyjna muzyka, która powoli ją odprężyła.

Po chwili stanął, puścił jej rękę i niedbale ściągnął marynarkę, rzucając ją na najbliższe krzesło. Usiadł na łóżku, patrząc w jej oczy, jakby czegoś oczekiwał. Nie wiedziała, co ma robić. Przez sekundę żałowała, że założyła specjalnie kupioną na tę okazję krótką sukienkę z odsłoniętymi ramionami. Tylko przez sekundę, bo on nagle uśmiechnął się i poprosił, by stanęła do niego tyłem, na lekko rozsuniętych nogach. Zrobiła, o co poprosił, czując na sobie jego palące spojrzenie.

– Celest... – szepnął gardłowo, stając za nią. Jego dłonie sunęły powoli po smukłej tali. Gorący oddech pieścił jej skórę. – Rozbierz się. Powoli. Zmysłowo. Jakbyś robiła to na oczach ukochanego mężczyzny.

Wrócił na swoje miejsce, a ona odwróciła się w jego stronę. Uświadomiła sobie, że w świetle świec jego twarz wygląda bardziej zmysłowo, niż mogła przypuszczać. W rytm nastrojowej muzyki uniosła w górę dłonie, po czym powoli zsuwała je po swoim ciele, jakby pieściła ukochanego. Wędrowała wzdłuż odsłoniętej linii szyi, przez obojczyk, piersi aż do brzucha. W końcu uśmiechając się leciutko, odpięła pierwszy guzik sukienki, za nim drugi, trzeci i czwarty, aż ciuszek znalazł się na ziemi. Wyeksponowane smukłe ciało odziane było jedynie w niebieskie figi i delikatny koronkowy stanik w tym samym kolorze.

Stała tak, prawie naga, wpatrując się w te hipnotyzujące oczy, bez cienia wstydu i zażenowania, bo widziała w nich pragnienie. Widziała, że jest pożądana. Leniwie podeszła do niego, zrzucając po drodze szpilki.

– Co teraz? – szepnęła.

– Oprzyj się o ścianę.

Jego dłonie były wszędzie, w tym samym czasie. Błądził po piersiach i brzuchu, znacząc dotykiem palący ślad na jej ciele. Czuła, jak dotyka jej łydek, najpierw dłonią, później ustami, sunąc powoli w górę. Zadrżała i cicho jęknęła. Nie zorientowała się, że jego usta na krótką chwilę zaniechały wędrówki, po czym wrócił i odwrócił ją twarzą do siebie.

Szybko zdjął stanik, uwalniając nabrzmiałe od pożądania piersi.

Uśmiechnął się do siebie.

– Pokaż mi się – szepnął cicho, kładąc silną męską dłoń na mlecznobiałą pierś, spragnioną dotyku. Masował je, ugniatał i znowu masował, aż poczuła jak gorące usta zamykają się na sutku.

Krzyknęła cicho, oniemiała falą doznań. Elektryzujące ciarki przeszły po całym ciele, sprawiając cudowne dreszcze.

Po chwili długiej jak wieczność poczuła zimne kostki lodu spływające małym strumykiem po jej szyi, wzdłuż piersi i brzucha, a następnie podążające ich śladem wargi.

– Proszę... – wyjęczała, wplatając dłonie w jego blond włosy.

– O co, Celest?

Patrząc w jej oczy, zdjął z siebie spodnie i koszulę. Przysunął ją do swojego ciepłego ciała, całując namiętnie. Nie wiedziała, kiedy znalazła się

na łóżku, a on górował nad nią niczym anioł, który został zesłany na ziemię, by dręczyć jej ciało.

Drżała z pożądania. Nie mogła czekać ani chwili dłużej. Mężczyzna, jakby wyczuwając jej napięcie, zsunął figi i położył dłoń na kwintesencji kobiecości. Jęknęła przeciągle, gdy jego palec zagłębił się w jej wnętrzu. Oplotła dłońmi jego szyję i mocno pocałowała, próbując ukryć okrzyki rozkoszy, wydobywające się z jej gardła. Nie sądziła, że jest do tego zdolna. Bezwstydna, ogarnięta żądzą kobieta, która z niej wychodziła, w niczym nie przypominała Magdy sprzed godziny.

Pieścił ją, wpatrując się w orzechowe oczy.

– Jesteś piękna – wyszeptał, przyspieszając ruchy. Wiedział, że za chwilę uniesie ją na szczyt. Wiedział, że będzie krzyczeć i błagać o więcej. Wiedział, że jest spragniona równie mocno jak on. Pragnął jej. Cholernie mocno. Gdy do niego przyszła, sam nie wiedział, czy dobrze robi. Stanie się jego kobietą. Wiedział o tym. Zakocha się, a on będzie musiał złamać jej serce. Chciał jednak dać jej coś, czego sam nie zaznał – bliskość.

Jej biodra zaczęły się rytmicznie unosić i opadać, jakby próbowała powiedzieć, że chce więcej, mocniej, szybciej.

Dłońmi masowała jego umięśnione plecy. Wpatrując się w te kocie oczy, tonęła w bezmiarze rozkoszy, jaką jej dawał.

– Lestacie – prosiła cicho, sunąc palcami po delikatnym meszku na brzuchu. Uśmiechnęła się zalotnie.

– Dotknij mnie – rozkazał gardłowym tonem, a ona usłuchała, pieszcząc jego penis, który stawał się twardszy. Na twarzy mężczyzny widziała odbicie własnego pożądania.

Nie przerywając, błądziła ustami po jego szyi, smakując jego ciała. Był przepyszny i pachniał czystym seksem.

Przewrócił się na plecy i posadził ją na sobie, zanurzając się w niej mocno i głęboko. Przymknęła powieki i jęknęła przeciągle, czując, jak wypełnia ją po brzegi, jakby przeszywał ją całą, jakby zawładnął każdą komórką jej ciała.

Po chwili zaczęła unosić się i opadać w rytm pragnień, które ją obezwładniły. Oparła dłonie na jego klatce piersiowej i wpatrywała się w jego lekko przymknięte oczy, pełna satysfakcji i siły.

– Dobrze, Celest, ujeźdź mnie.

I tym razem wypełniła słodki rozkaz, który jej wydał się rozkoszą i przyjemnością. Napierała, a on wychodził jej na spotkanie, pieszcząc falujące piersi. Jęczała, a on przytrzymywał jej biodra.

– O tak... – szeptała przy następnych ruchach, czując jak słodka eksplozja zmysłów majaczy przed jej oczami. Po chwili trwającej wieczność krzyknęła przeciągle, gdy jej ciało przeszły prądy, o sile których nie miała dotąd pojęcia.

Mężczyzna uśmiechnął się uwodzicielsko i kazał jej klęknąć, po czym zanurzył się w niej znowu, obserwując wdzięczną linię pleców i opadające na nie włosy. Miał ogromną chęć złapać za te kędziory, zamknąć je w dłoni i nie wypuszczać.

Jego ruchy były mocne i głębokie, wolne i szybkie, delikatne i zmysłowe. Przyciągał ją do siebie, napawając się jękami rozkoszy. Była ciepła, wąska i wilgotna. Cudowna i niewinna. Pragnął jej. Pragnął jej ciała. Pragnął jej. Nie wiedział czemu.

Walczył sam ze sobą w z góry przegranej walce. Z jego gardła wydobył się chrapliwy jęk. Przegrał. Złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie, nie przerywając mocnych pchnięć. Położył dłonie na jej piersiach, a ustami błądził po szyi.

– Celest, Celest... – szeptał między pocałunkami.

– Magda – odparła szybko, bez zastanowienia. Chciała usłyszeć z jego ust własne imię. Nie wymyślony na poczekaniu pseudonim. Swoje imię. W jego ustach będzie brzmiało niczym najsłodsza melodia.

– Magda...

Nie myliła się. Wymawiał je gardłowym szeptem, który przyprawiał ją o dreszcze.

– Jestem twoja – odparła, czując, jak zbliża się kolejna eksplozja.

Jego ruchy nagle stały się szybsze i mocniejsze, pchnięcia dotykały jej jestestwa. Pragnęła tego jak niczego innego na świecie. Pragnęła rozkoszy, którą jej dawał.

Po chwili świat stanął, a w pokoju słychać było tylko ich złączone krzyki.

Magda opadła na poduszkę, oddychając ciężko. Obserwowała jego twarz, osnutą mgłą zaspokojenia. Uśmiechnął się leniwie i ułożył obok niej. Mimowolnie wyciągnęła dłoń i pogładziła jego klatkę piersiową, po czym przysunęła się i położyła głowę w zgłębieniu jego szyi.

– Janek – powiedział cicho. – Nazywam się Janek.

Nie chciała nic mówić, by nie zburzyć nastroju. Świeczki dogasały.

Miała go przy sobie. W końcu. Pragnęła tego od dawna. Dłużej niż była w stanie określić. A teraz leżał tuż obok niej, gładził jej plecy i całował włosy. Nagi i umięśniony. Ociekający seksem i zmysłowością.

Pragnęła go, od kiedy była mała, a on sprowadził się do domu obok. Pamiętała jego zawadiacki uśmiech. On jednak jej nie zauważał. Dopiero teraz. Ale to nic. Cieszyła się z tego, co los jej podarował, a dostała najpiękniejszy prezent – niezapomniane chwile z mężczyzną, którego kochała.

Zasnęła wtulona w jego gorące ciało, ale gdy otworzyła oczy, czując pierwsze promienie słońca, jego już nie było. Zostało jedynie wspomnienie wczorajszej nocy i unoszący się w powietrzu zapach rozkoszy. Zamknęła oczy, czując cisnące się pod powieki łzy. Położyła dłoń na miejscu, które zajmował, i znalazła krótki liścik wraz z dołączoną do niego różą.

Przepraszam. Zostawiam cię, myśląc, że robię dobrze. Muszę odetchnąć, zastanowić się. Jeśli na mnie poczekasz, to cię odnajdę.

Janek

Uśmiechnęła się leciutko.

– Będę czekać – szepnęła w przestrzeń.

Może tydzień, dzień, kilka minut, parę sekund albo uderzenie serca, może garstkę urywanych oddechów. Poczekam.

Prawie Święty Walenty

Maciej Ślużyński

Jak na osobę wierzącą, moja mama dziwnie spokojnie przyjmuje fakt, że od lat nie chodzę do kościoła. Pewnie dlatego, że ma w sobie wiary i nadziei za nas obie. Na przykład nie pojmuje, czemu taka miła, inteligentna i dowcipna istota – czyli ja – wciąż jest sama. Wini za to moją pracę. Nie przyjmuje do wiadomości, że jej genialna córka jest po prostu brzydulą. Rudą, co gorsza. Amerykanie o osobach mojego pokroju mówią, że stanowimy „estetyczną odrębność”, a brat z politowaniem kwituje: „ładna jak z politechniki”. Natomiast mama uparcie rai mi kawalerów, tusząc, że w końcu któryś się na mnie pozna; po paru żałośnie nieudanych randkach – kazałam jej przestać. Efekt? Z racji moich trzydziestych urodzin zaprosiła mnie na babski wieczór. Opychałyśmy się popcornem, oglądając komedie romantyczne. Takie, w których po wielu zabawnych perypetiach wszystko dobrze się kończyło, czyli miłością po grób i ślubem. Niezbyt subtelna aluzja.

– Zasłodziłam się na amen – powiedziałam po ostatnim seansie. – Następnym razem wymyśl coś innego.

Wymyśliła. Na imieniny zażyczyła sobie dramat z Banderasem „Pytanie do Boga”.

– Hm, znaczący tytuł... – mruknęłam czujnie. – Teraz dla odmiany zaczniesz mnie nawracać?

– Ależ skąd, Kasieńko. Po prostu chcę zobaczyć pięknego Antonia w roli księdza. Jest boski, czyż nie?

Roześmiałam się z ulgą. Chodziło jej o aktora, nie o moją duszę.

Kiedy człowiek chce kupić prezent, to po prostu idzie do sklepu. Ale kiedy człowiek jest wyjątkowo zapracowanym informatykiem – wtedy kupuje przez internet. W wolnej chwili wklepałam w wyszukiwarkę tytuł filmu i odruchowo kliknęłam na pierwszy link od góry. Zamiast witryny

sklepu internetowego otworzył się jakiś blog. Nieco zirytowana chciałam nacisnąć „wstecz”, ale wtedy moją uwagę przykuła... fotografia wielkiego burego kota. Patrzył na mnie z leniwym zadowoleniem. Uśmiechnęłam się mimowolnie. Koty potrafią podnosić nudę do rangi sztuki. Coś wiedziałam na ten temat. Niestety, zdjęcie przecinał w narożniku gruby czarny pasek z podpisem „Aleks odszedł na zawsze”. Było w tych słowach coś tak ostatecznego, pełnego żalu i rezygnacji, że pożałowałam swojego braku wiary w życie po życiu. Zaczęłam czytać wpis.

„Wczoraj umarł Aleks. Miał dopiero siedem lat, mógł się lenić jeszcze kolejnych tyle, ale nie dane mu było. Wykończyła go mocznica. Weterynarz, który skrócił jego cierpienie, powiedział, że to nie moja wina; uremia często się kastratom przytrafia, zwłaszcza tym nieruchawym a żarłocznym. Już wiem, co mnie czeka, bo mam to samo... – Niby co? Nie rozumiałam. Jest łakomy, brak mu ruchy czy stracił męskość? Coraz bardziej zaintrygowana czytałam dalej to oryginalne epitafium. – *Nie ośmielę się powiedzieć, że Aleks był moim kotem, bo koty należą tylko do siebie. Lecz czasami wybierają kogoś i obdarzają swoją kapryśną miłością. Miałem to szczęście, przywilej i zaszczyt, że Aleks wybrał mnie...* – Racja. Kitkę, małego kociaka, przyniósł do domu mój brat. Karmił ją mlekiem ze strzykawki, uczył korzystać z kuwety, ale do pieszczot i kochania wybrała sobie mnie. – *W ostatnich latach Aleks był moim najlepszym i, co tu kryć, jedynym przyjacielem. Nie zliczę, ile razy żaliłem się w jego gęste futro, a on mruczał: „Nie łam się, starrry...” Wczoraj zasnął na moich rękach i zostałem sam. Chociaż mam 27 lat, ryczałem jak bóbr. I wciąż mi się zbiera, gdy o nim pomyślę. Wystarczy, że spojrzę na parapet albo telewizor, gdzie lubił się wylegiwać... Boże, czy ten żal kiedyś minie, czy coś go ukoi? To moje 222 pytanie do Ciebie. Teraz nastąpi 223: czy w raju spotkam Aleksa? Bo jeśli tak – to wszystko w porządku. Ale jeśli nie – to ja to chrzanię i nie chcę tam iść”*.

Tekst był podpisany „Prawie Święty Walenty”.

Oczy mi się zaszkliły, bo znowu sobie przypomniałam, jak straciłam Kitkę. Niewiele myśląc, wpisałam swój komentarz:

„Doskonale rozumiem, co czujesz. Kilka lat temu nasza kotka zapędziła się za gołębiem i wypadła z okna dziesiątego piętra. Musieliśmy ją uśpić. Niby byłam dorosła, studiowałam, ale szlochałam jak dziecko. Sądziłam, że nigdy nie przestanę. Gdyby nie mama... Pamiętam, jak mnie objęła i

powiedziała, że Kitka odeszła, by łowić myszy na niebieskich łąkach, i kiedyś ją spotkam. Pomogło, choć jestem sceptykiem. Ale im bliżej śmierci, tym bliżej Boga, mawia moja mama. Ona wierzy, tak jak ty. Chyba że twoje pytania są czysto retoryczne. Niemniej, jeżeli raj istnieje, to na pewno spotkamy tam naszych czworonożnych przyjaciół. Inaczej, zgadzam się, taki raj byłby bez sensu...”

I podpis – tu się chwilę wahałam – aż wreszcie wystukałam „Gruba Kaśka”. Z przekory, bo jestem bardzo szczupła. Chuda, ruda i śliczna jak z politechniki, którą skończyłam z wyróżnieniem, ale ten szczegół podniecił wyłącznie mojego pracodawcę. Podsumowując, mam trzydziestkę, jest bardzo zajętym administratorem sieci komputerowej w sporym banku, mieszkam i sypiam samotnie od lat pięciu, a porządny obiad jem raz w tygodniu, w niedzielę, u mamy. Proza życia pracoholiczki. I w te prozę wdarł się nieznajomy bloger. Odpisał mi tego samego dnia.

„Dzięki za zrozumienie. Pomogło. Masz fajną mamę, zazdroszczę. Co do retoryki, to wierzę w Niego z wygody i egoizmu. By mieć Kogo winić za swój podły, samotny los. Nie żebym się użalał. Może troszeczkę...”

Niby nic, kilka zdań, ale była to moja pierwsza niesłużbowa korespondencja od kiedy skończyłam studia. Do tego wielce intrygująca. Przejrzałam historię bloga. Pierwsze „pytanie do Boga” brzmiało krótko i wyzywająco: „Czemu?!”. O co konkretnie chodziło, nie wyjaśniał. Zawierał w blogu przemyślenia i spostrzeżenia, ale o sobie niewiele zdradzał. Zręcznie ukrywał się za autoironią, czarnym humorem, czasem złością. Skądś to znałam. Trafiłam na bratnią duszę. Szybko założyłam konto pocztowe na darmowym serwerze, bo nie chciałam i nie za bardzo mogłam podawać adres do banku. Jeszcze przed końcem pracy odebrałam pierwszego maila z tematem „kontakt nawiązany”. I zaczęliśmy flirtować... Gdy zapytałam, czego tyczył tekst, że skończy jak swój wykastrowany kot, odpisał:

„Od razu o seks zagajasz? Ekstra! Czuję, że będą z tego dzieci”.

Sprytnie. Enigmatycznie. Wciąż nic nie wiedziałam, a bardzo chciałam. Poprosiłam, żeby przesłał mi swoją fotkę. W załączniku dostałam zdjęcie... milutkiego szympansa w tyrolskich spodenkach i z lizakiem w łapie. W rewanżu odesłałam mu znalezioną kiedyś w sieci fotografię sportsmenki z NRD: pulchnej babeczki z wąsem, w stroju gimnastycznym i bujnymi kępami włosów pod pachami. Ze mną łączyło ją tyle, że też była ruda.

Odpisał, że włochate są ponoć namiętne, rudzielce tym bardziej, więc spędził przeze mnie bezsenną noc. Niespecjalnie kłamałam, wyznając:

„Dopiero jedną? Od kiedy cię poznałam, mam nieprzyzwoite myśli na sam widok komputera!”

I tak to trwało. Przerzucaliśmy się żartami, aluzjami, docinkami, a w każdym mailu było coraz więcej ognia. Ja podrywałam jego, on mnie, miłość wirtualna kwitła, uczucia – choć niewyrażane wprost – też. Tak mi się zdawało. Więc odważyłam się posunąć krok dalej. Zaszarżowałam, pisząc:

„Okej, skoro tak ci zależy, możesz mnie zaprosić na dobrą kolację do jakiejś knajpki, niekoniecznie ze śniadaniem...”

I zapadła cisza. Odpowiedział dopiero po dwóch dniach.

„Jestem na diecie. Musi ci wystarczyć strawa duchowa”.

Czyżby sugerował, że mu się narzucam? Zrobiło mi się głupio. Ale brnęłam dalej.

„W porządku, zadowolę się spacerem po parku, byle pachniały jaśminy lub inne kwiecie”.

Tym razem nie odpisywał trzy dni. Aż wreszcie nadeszła lakoniczna wiadomość.

„Spacer po parku niemożliwy z przyczyn obiektywnych. Nie nalegaj”.

Zmroził mnie. Bardziej dosadny nie mógł być. Wyraźnie nie chciał się spotkać. Flirtować w internecie proszę bardzo, ale randka w realu – dziękuję, nie. Nawet mnie nie widział, a i tak odrzucił. W życiu nie czułam się bardziej nieatrakcyjna pod każdym możliwym względem. Wkradło się między nas skrępowanie. Korespondencja zaczęła kuleć, wreszcie ustała. Tyle że po tygodniach mailowania brakowało mi wiadomości od niego. Kombinowałam, jak naprawić swój błąd, jak sprawić, by było jak dawniej, nim swoją natarczywością wszystko zepsułam. Przecież nie musieliśmy być parą, jeżeli tego się przestraszył! Schowałam dumę do kieszeni i wysłałam przepraszającego maila.

„Sorry, wygłupiłam się. Za dużo komedii romantycznych. Ale happy end wciąż jest możliwy. Wybacz, jak na Świętego przystało, i zostańmy przyjaciółmi”.

Zapomniałam o swoim sceptycyzmie. Pełna wiary i nadziei czekałam na odpowiedź. By zabić czas, postanowiłam go wytropić, ale skończyło się na ustaleniu adresu IP jego komputera. Dostawca usług internetowych

odmówił podania adresu użytkownika, powołując się na ustawę o ochronie danych osobowych. Pat. A raczej szach i mat, bo Walenty milczał jak zaklęty. Po dwóch tygodniach już prawie pogodziłam się z klęską, gdy zdarzył się cud.

Czasami przy wysyłaniu maila do mojego banku ktoś źle wpisze adres; na przykład przestawi literki w nazwisku, czy wstawi kropkę tam, gdzie nie trzeba. System komputerowy automatycznie przekierowuje taki mail do administratora sieci, czyli do mnie. Dalej sprawy idą zgodnie z procedurą; najpierw list sprawdza się pod kątem zawartości ewentualnych wirusów, potem weryfikuje się nadawcę po numerze IP, wreszcie czyta się list i jeśli to możliwe, przekierowuje do rzeczywistego adresata. Takie pomyłki zdarzają się dość często, więc na zakończenie tygodnia pracy robię z nimi porządek. Ten piątek nie był wyjątkiem. Szło mi szybko; weryfikacja danych, odszukanie właściwego adresata, przekierowanie maila – banalna robota. Nagle... moją informatyczną uwagę przykuł znajomy numer IP. To on, „prawie święty”! Prosił o historię rachunku w celu uzyskania kredytu w innym banku, ale przestawił literki w adresie i list trafił do mnie.

Dyskretnie rozejrzałam się wokół. To, co zamierzałam zrobić, nie było do końca legalne, ale ciekawość zwyciężyła. Po numerze rachunku doszłam do nazwiska klienta i znalazłam jego adres. Mieszkał tylko dwie ulice dalej! Trochę się zdziwiłam, że nie przyszedł osobiście, bo takie rzeczy jak historia rachunku załatwiamy od ręki. Z drugiej strony, dzięki jego lenistwu wreszcie wpadłam na trop.

Z pustymi rękami w gości – nie wypada. Kupiłam pizzę; w jednym z maili wspominał, że uwielbia wegetariańską, ale koniecznie z dodatkiem szynki. Po drodze obiecywałam sobie, że zapytam, co to za dziwna dieta. Mieszkał na parterze. Zadzwoniłam dwa razy. I nic. Może go nie ma? Albo siedzi w słuchawkach? Przycisnęłam guzik dłużej.

– Zaraz! Pali się, czy co.... – usłyszałam burkliwy głos. Potem drzwi się uchyliły, a ja oniemiałam, widząc młodego mężczyznę na... wózku inwalidzkim. – Pani do mnie? Nie zamawiałam pizzy... – Gapiłam się na niego, nie potrafiąc wydusić słowa. On czy nie on? Może nie te drzwi? – Już, napatrzyłaś się? – warknął nieprzyjaźnie.

– Przepraszam, chyba... pomyliłam adres.

– No, nie wiem... – Taksował mnie spojrzeniem. Zatrzymał wzrok na moich rudych włosach. Zmarszczył brwi, w jego oczach pojawił się błysk.

– Z czym ta pizza? – zapytał.

– Wegetariańska z dodatkową szynką, twoja ulubiona – odparłam odruchowo. Błąd. Momentalnie skojarzył. I jego twarz stężała. Zacisnął dłonie na kółkach wózkach.

– Aleś ty namolna! – syknął. Wycofał się i zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Wstyd się przyznać, ale poczułam ulgę. Wybiegałam na dwór, na słońce i... zachichotałam nerwowo. Taki tik. Sądziłam, że z niego wyrosłam. Ale wrócił w obliczu sytuacji, która kompletnie mnie przerosła. Powinnam się cofnąć, porozmawiać z nim, ale... co niby miałam powiedzieć, kolejne przepraszam? To stawało się nudne. I mocno niewystarczające. Teraz wszytko nabrało właściwego znaczenia. Jego uniki, niechęć do spotkań i wychodzenia z domu, pełne smutku i goryczy pytania do Boga. Zwłaszcza to pierwsze, wyzywające „Czemu?!”. Zrobiło mi się wstyd. Od lat użalałam się nad sobą, że chuda, ruda, brzydka i samotna. Boże, czy potrzebowałam zestawienia z prawdziwą tragedią, by docenić własne szczęście? I proszę, oto zadałam Bogu moje pierwsze pytanie, choć niby w niego nie wierzyłam. Mama miałaby używanie. Wróciłam do domu i czym prędzej odpaliłam komputer.

Już tam był, na łączach, i czekał.

To ty, prawda? Chudy rudzielec z moją ulubioną pizzą. Gruba Kaśka, enerdowski babochłop z rudym wąsem to tylko przykrywka. Zachowałem się jak cham, sorry, ale zaskoczyłaś mnie, więc odruchowo przywdziałem zbroję. Już mi się zdarzyło, że na widok wózka dziewczyny robiły w tym zwrot, wolałem uprzedzić nieuniknione. A może nie...? Mam nadzieję, że wzniesiesz się na wyżyny, wybaczysz mi i zostaniemy... tymi przyjaciółmi. Innych nie mam, bo albo się wystraszyli mojego kalectwa, albo sam ich zraziłam. Nie mogłem znieść litości. Wcześniej należałem do bardzo aktywnych osób. Skończyłem AWF, byłem trenerem i instruktorem żeglarstwa. Trzy lata temu podczas regat miałem wypadek – młody chłopak wypadł za burtę swojego Kadeta. Bez wahania skoczyłem do wody. Doholowałem smarkacza do pomostu, ale nagły szkwał zepchnął nas między dwie części pływającej konstrukcji. Jemu udało się wyjść cało, ale ja... skończyłem z paraliżem nóg. W nagrodę za poświęcenie zamiast aureoli dostałem wózek. Stąd prawie święty. I stąd mój blog – wylewałem tu swoje żale. I nie liczyłem na odpowiedź. Aż pojawiłaś się ty. Pierwszy raz

uznałem, że moje kalectwo ma jakąś dobrą stronę. Nie spodobałbym ci się taki, jaki byłem wcześniej; zarozumiały i płytki niczym kałuża. Ja też bym cię przeoczył, unikałem bystrych, ładnych dziewcząt, wymagających czegoś od życia i partnera. Zmieniłem się. Wiem, że umiałabyś to docenić. I choć umieram ze strachu, zapytam – nie Boga, Ciebie – czy istnieje bodaj cień szansy na coś więcej między nami?

No, poryczałam się. Z żalu, współczucia, tkliwości, podziwu i... ulgi. Nie wymyśliłam sobie uczucia między nami. Czy będą z tego dzieci? Nie miałam pojęcia. Ale warto spróbować. Najwyżej adoptujemy. I już biegłam z powrotem. Nie bawiłam się w takie subtelności jak dzwonienie – od razu zaczęłam walić pięściami w drzwi.

– Walenty, otwieraj! – darłam się na całe gardło.

Moje następne uderzenie trafiło w próżnię. Straciłam równowagę i... wylądowałam mu wprost na kolanach. Zanim zdążyłam coś powiedzieć, pocałował mnie namiętnie w usta. Odpowiedziałam nie mniej ochoczo. Oboje byliśmy bardzo spragnieni, a w jego przypadku, hm... sprawa była wręcz mocno nabrzmiała...

Szczęście Ewy

Katarzyna Woźniak

Ewa była prawdziwie szczęśliwa. Można powiedzieć, że szczęście zawsze pozostaje szczęściem. Grzechem byłoby je burzyć. Jest pozytywne. Wszyscy go pragną. Jednocześnie wszyscy wiedzą, że ten „czysty i piękny" stan można osiągnąć „brudnymi" sposobami. Czy zatem szczęście osiągnięte kosztem cudzego cierpienia, kosztem cudzego nieszczęścia, nie zasługuje na potępienie? Wolimy nawet nie myśleć, że nasza pomyślność może bazować na czyjejś stracie. Tym bardziej, kiedy sprawa dotyczy miłości. Uniesieni euforią osobistych przeżyć, upojeni narkotykiem głębokiego wzajemnego kochania, nie widzimy cierpień wokół siebie ani tego, że możemy być ich przyczyną. Niechcianej miłości należy pozbyć się szybko i ostatecznie. Miłość pożądana wymaga natomiast wzmożonej uwagi i pielęgnacji. To uczucie nie uznaje kompromisów, nie jest instytucją charytatywną. Kiedy więc znajdujemy wzajemność afektu, staramy się trzymać go kurczowo, za wszelką cenę.

Jechała z Markiem do ślubu limuzyną długą na dziesięć metrów. W ich umysłach kreowały się obrazy bajecznej ceremonii, która miała się odbyć za pół godziny. Trzymali się czule za ręce. Byli prawdziwie zachwyceni sobą nawzajem. Marek nigdy dotąd nie wydawał się Ewie taki przystojny jak tego dnia. Wyglądał nawet na wyższego niż zwykle. Ewa natomiast, w oczach Marka, była nimfą. Biała, koronkowa suknia wyszczuplała jej kibić, a ciemne włosy wydawały się czarniejsze niż zazwyczaj. Jakby w tym szczególnym dniu żyli w sferze złudzeń, a ich zmysły zostały oszukane przez miłość i wzniosłość chwili... W tym właśnie tkwi zarówno piękno, jak i przekleństwo miłości. Każdy kiedyś tego doświadcza.

Ewa i Marek poznali się dwa lata temu. Zakochali się w sobie od pierwszego spojrzenia. Później nastąpiła reakcja łańcuchowa, w której każda wymiana zdań czy muśnięcie dłoni jedynie pogłębiały ich świeże

uczucie. Ewa znów tętniła życiem, czuła gorącą krew płynącą w żyłach. Tęskniła za podobnymi doznaniami. Jej poprzedni związek był już „za” – za mało żywy, za bardzo przewidywalny, za długi, za nudny. Wprawdzie jeszcze trwał, kiedy poznała Marka, ale Ewa czuła, że ma go już za sobą. Pozostawało jedynie poinformować o tym przyszłego byłego. Postanowiła, że zrobi to szybko i bez ogródek. Nie było przecież o czym dyskutować, skoro podjęła już decyzję. Do miłości potrzeba dwojga. Ona w pojedynkę nie istnieje. Kiedy pojawiło się uczucie pomiędzy Ewą a Markiem, reszta świata musiała się z tym pogodzić, po prostu zaakceptować i tyle.

Może miała lekkie wyrzuty sumienia. Lekkie. Nieco żałowała tego, co wypracowała z byłym w ciągu siedmiu lat życia razem. Przecież przez tyle lat można zbudować całkiem udany związek. „Związek” w sensie podstawowym, pozbawiony głębszych uczuć, jak związek zawodowy albo chemiczny... Związek opierający się na współpracy, niezawracaniu sobie niepotrzebnie głowy, pozbawiony gierek, udawania, starania się i tego wszystkiego, co zazwyczaj pojawia się na początku „związku” w sensie miłosnym. Ewie było wygodnie w tej prostocie i przewidywalności tak bardzo, że nawet tego nie zauważała. Ugrzęzła w życiu jak łyżka grzęźnie w starym budyniu. Moment zwrotny nastąpił kilka lat temu. Niespodziewanie.

Przekleństwo miłości dało się we znaki Julianowi dokładnie dwa lata, trzy tygodnie i pięć dni temu. Kochał swoją nimfę w sposób nie do wypowiedzenia; niemniej mówił jej to codziennie. Słowa: „kocham cię” wychodziły z jego ust w różnych sytuacjach; kiedy dzwonił do ukochanej, kiedy podawał jej herbatę, kiedy wysmarkiwała nos, kiedy patrzyła na niego rozczulona lub kiedy nie chciała na niego patrzeć w ogóle, kiedy stękała, krzyczała, płakała... Ona zdawała się prawdziwie odwzajemniać głębię jego uczuć, jednak pewnego dnia coś się zmieniło. Wróciła do domu z pracy. Zmęczona i rozczarowana zbyt niskim wynagrodzeniem za trudy związane z pełnieniem funkcji menadżera sklepu z dżinsami. Wiedziała, że w mieszkaniu czeka już na nią Julian – również zmęczony i nieusatysfakcjonowany wynagrodzeniem. Weszła i zobaczyła go, siedzącego przy stole w kuchni. Pił herbatę z cytryną i dwiema łyżkami cukru. Spojrzała na niego i zrozumiała, że tak samo wyglądał ten obraz wczoraj i przedwczoraj, i przed przedwczoraj... Wstał, ucałował ją w

policzek, powiedział, że ją kocha i zaproponował herbatę. Nie wiadomo skąd w jej umyśle pojawiła się silna potrzeba zapytania Juliana:

– Ile posłodziłeś? – To pytanie było jak mina przeciwpiechotna, jak sidła czekające na nieświadome niczego zwierzę. Julian wdepnął w sam ich środek.

– Dlaczego pytasz, kochanie? Wiesz, że zawsze słodzę dwie łyżeczki.

Tego było już dla niej za wiele! Słowo „łyżeczki”, wypowiedziane przez Juliana, zabrzmiało w jej uszach obrzydliwie znajomo i nie pierwszy raz odrażająco. Rozstali się tego wieczoru. Julian nie mógł zrozumieć, co się stało. Prawdę mówiąc, kto by zrozumiał?

Nieprzewidywalne zachowanie ukochanej zaprzeczało naturalnemu tokowi myślenia i postępowania. Byli ze sobą tak długo i wszystko wydawało się proste! Powinni się raczej pobrać, niż rozstać! Nie można jednego dnia powiedzieć komuś, że się go kocha, a drugiego odejść! A może można... Julian czuł się odpowiedzialny za dwa serca, nimfa – najwyraźniej za jedno.

Poczuł się oszukany. Nie tylko przez nią. Przez wszystkich. Przez cały świat. Kłamała ona, gdy całowała go na dobranoc; kłamali przyjaciele, którzy mówili, że Julian i nimfa wyglądają, jakby byli dla siebie stworzeni; kłamali poeci, opiewający piękno miłości; kłamali kapłani, twierdząc, że miłość jest drogą zbawienia; kłamała matka, zapewniająca, że kiedyś Julian znajdzie uczciwą kobietę, która pokocha go prawdziwie i uczyni szczęśliwym. Kiedy się poznali, Julian czuł, że cały świat jest po ich stronie, że każdy zakątek lasu, najmniejsze źdźbło trawy cieszy się ich radością. Po rozstaniu wydawało mu się, że wszystko było przeciw jego sercu. A może to jego serce było przeciw światu? Może jego serce nie potrafiło się dostosować do rzeczywistości?

Upłynęły dwa lata, kiedy zaczęło mu się wydawać, że wreszcie się pozbierał, że uniósł swój krzyż dzielnie, choć z trudem. Mylił się. Cierpienie powróciło nagle, pewnego dnia, gdy zobaczył na ulicy parę trwającą w miłosnym uścisku. Scena wydała mu się jednocześnie piękna, bolesna i nienaturalna, jak film. Wiedział, że zakochani, kiedy już dojdzie do pocałunku, usłyszą za plecami okrzyk: „Cięcie!” i wrócą do pozbawionej empatii rzeczywistości, gdzie spojrzą na siebie obojętnymi oczyma.

Julian wciąż kochał i mężnie starał się oddalać od siebie myśli o ukochanej nimfie. Zawsze, gdy nachodziło go wspomnienie upojnych chwil spędzonych w objęciach tej jedynej, otrząsał się gwałtownie i rozpoczynał snuć poważne rozważania na temat składu jutrzejszego śniadania lub zabierał się za zmywanie naczyń z pedantyczną dokładnością, śpiewając przy tym pieśni patriotyczne.

Nie próbował się z nią skontaktować ani dowiedzieć się, jak wygląda jej życie po rozstaniu. „Mam swój honor!" – twierdził, ale honor nie zapewniał mu spokoju wewnętrznego. Truł się rozpamiętywaniem – nie jadł, nie pił, nie mył się, papieros nie smakował mu tak samo, wódka, zamiast zapomnienia, gwarantowała jedynie wymioty. W pierwszym roku swoich cierpień, próbował życia hedonisty. Szukał ekwiwalentu nimfy w innych waginach, pocieszenia między innymi piersiami, jednak wszystkie oferowały mu jedynie orgazm – przyjemny, aczkolwiek efemeryczny.

Któregoś ranka, przemierzając ulice w towarzystwie cierpienia, przystanął przy osiedlowym kiosku, by kupić „malboro i wyborczą". „Pani z kiosku" momentalnie rozszyfrowała zamówienie na paczkę papierosów Marlboro i dziennik „Gazeta Wyborcza". Jej sklepik nie był zwykłym kioskiem. Pretendował do miana marketu, takiego prawdziwego, który może zaspokoić wszystkie potrzeby, zaczynając od papieru toaletowego, a kończąc na karcie do telefonu. Komórki wprawdzie Julian nie miał, ale gdyby miał, strach pomyśleć, ile wiadomości wysłałby do swojej eks, będąc w stanie upojenia alkoholowego. Kioskarka wydała mu kilka brudnych, śmierdzących kapitalizmem monet. Z papierosami w kieszeni i gazetą pod pachą, Julian powrócił do domu, aby kontynuować daremne zapominanie.

Kuchnię wypełniało blade światło. Blade i ciche – jakie światło w kuchni zazwyczaj bywa. Julian przerzucał strony gazety, błądząc bezmyślnie bo słowach pozbawionych znaczenia. Polityka, ekonomia, polityka, kultura, polityka, społeczeństwo, polityka, nimfa, polityka... Nimfa? Nagle zdał sobie sprawę, że jego oczy przesłały do mózgu bliskie mu i istotne dla niego znaczenie. Ktoś wykupił w gazecie kilka cennych liter, aby życzyć nimfie mnóstwo miłości i radości na nowej drodze życia. Nimfie i jakiemuś tam... komuś... o kim Julian nigdy wcześniej nie słyszał. Jego serce zabiło jak zdesperowany bokser. „Jak to się mogło stać?" – myślał. Kiedy on zadręczał się wspomnieniami, ona żyła sobie dalej, jak gdyby nigdy nic, jak gdyby między nimi niczego nie było, żadnych rozstań,

żalów żadnych. Zdradziła pamięć o nich, zdradziła Juliana. On pozostawał jej wierny i cierpiący, ona – zdradliwa i radosna, wychodzi za mąż... Będzie żoną. Czyjąś. Będzie rodzić dzieci. Czyjeś. Będzie wracała z pracy do domu. Do kogoś innego. Żołądek palił go kwasem. Wzrok, zniewolony przez gazetę, przesyłał do mózgu kolejne informacje. Dzień ślubu. Znał dobrze swoją nimfę – wiedział, gdzie była chrzczona, bierzmowana, gdzie chciała wziąć wymarzony ślub. To nie będzie ceremonia z jej snów. Nie będzie. Nie może być. Nikt nie może być szczęśliwy, kiedy ktoś inny cierpi z tego powodu tak bardzo jak Julian.

Limuzyna zbliżała się do kościoła. Ewa spoglądała to na ukochanego Marka, to za okno, dając się ponieść wspomnieniom i wyobrażeniom. Jak zazdroszczą jej koleżanki z dawnych lat. Jak wiele stracili mężczyźni, którzy złamali jej serce. Ona teraz ich nie potrzebuje. Tak naprawdę nigdy ich nie potrzebowała, nigdy nikogo z nich nie kochała prawdziwie, tak jak kocha Marka. Czuła, że dobry Bóg pobłogosławił całe jej życie, zsyłając w nie Marka. Czuła, jakby wszystko, co robiła do tej pory, zmierzało właśnie do punktu, w którym ona i on, siedząc wspólnie w białej limuzynie przyozdobionej kwiatami, podjadą pod bramy kościoła.

Ostatni zakręt przed świątynią. Ostatnia prosta. Serce Ewy zaczyna bić nieco szybciej. Nagle kierowca zatrzymuje pojazd. To jeszcze nie kościół. Coś jest nie tak. Dlaczego stoją? Ewa szybko odkręca szybę i wystawia głowę przez okno. Przed limuzyną stoi człowiek. Mężczyzna o spuchniętych oczach i przygarbionej sylwetce. Ona rozpoznaje go od razu. I on rozpoznaje ją momentalnie. Julian. Ewa. Kiedyś ich oczy patrzyły na siebie z miłością i pożądaniem. Teraz z żalem i nienawiścią. Kierowca trąbi klaksonem. Dłoń Juliana, spoczywająca wcześniej w kieszeni płaszcza, unosi się do skroni. Drżące palce trzymają pistolet. Srebrna kula przeciska się przez mózg Juliana w akompaniamencie huku i kościelnych dzwonów. Ciało osuwa się na ziemię, znikając z oczu Ewy. Ciemna szyba limuzyny zamyka się szczelnie. Mrok wypełnia wnętrze kabiny.

– Marku, zadzwoń po karetkę i jedźmy dalej – zarządziła Ewa. Przeszłość pozostawała przeszłością. Biedny był ten człowiek, który odebrał sobie życie. Kiedyś miał na imię Julian i Ewa znała go bardzo dobrze. Za dobrze. Lecz już od paru lat, jej życie biegnie innym torem i musi biec nim dalej.

Biała limuzyna ruszyła, zataczając niewielki łuk. Ewa rozglądała się wokoło, próbując odnaleźć weselny bukiet pośród wewnętrznych ciemności.

„Na uczucia nie ma wzoru, metody ani przelicznika”

Jan Siwmir

– U la la. – Ania wstała i zaczęła spacerować po pokoju. – Janek, a nie możesz poprosić tych dwoje o napisanie jeszcze czegoś? Penisa Kornelii już wcześniej widziałam... – urwała, bo Janek spadł z krzesła, a reszta redakcji zaczęła pokładać się ze śmiechu. – No co? – Ania nawet nie zauważyła, że zastosowała skrót myślowy. Obie z Kornelią porozumiewały się dawno wypracowanym kodem, co niekiedy mocno bulwersowało otoczenie.

– Nic, nic... – Zuza zbierała się z podłogi, łapiąc oddech. – Kontynuuj, dobrze ci idzie streszczanie opowiadań... Co to mówiłaś?

– Pytałam, czy ci autorzy mogą napisać coś więcej? Janek?

– Hm... zapytam. – Janek próbował spoważnieć. – Ale Mroku się wścieknie jeśli i my czegoś nie stworzymy. Proponuję, żeby wraz z tekstami obcych ludzi dawać od czasu do czasu nasze.

– Przecież dajemy!

– Ja też mam. Z archiwum. Nawet z Archiwum X! – Zuza roześmiała się. – Na jutro przygotuję, bo trochę jednak... cóż... chyba muszę ocenzurować. Za dużo tam seksu...

– Wow! A czy ja na maila mogę dostać wersję nieocenzurowaną? – Janek zamruczał jak kot.

– Ja też!

– I ja!

– Okej. Pati, też chcesz?

– Co? – Nieobecna duchem dziewczyna wzdrygnęła się nerwowo. – A o co chodzi?

– O nic, o nic. – Ania przez dłuższy czas przypatrywała się rozmarzonej Patrycji. Tak, oczy miała piękne, duże, orzechowe. Włosy czarne, upięte w koński ogon i bardzo dziewczęcą figurę. W dodatku nie dawało się na nią o cokolwiek gniewać, była bowiem niezwykle uczynna, niekonfliktowa. Samym swoim istnieniem przepraszała, że żyje. A co jeśli Mroku lubi dorodne, pyskate blondynki?

– Jeśli o nic, to może ja już mogłabym iść? – nieśmiało zapytała Pati. – Skończyłam korektę.

– Idź, jasne – Kornelia i Zuza łaskawie przyzwoliły.

– Coś mnie ominęło? – Janek zmarszczył brwi.

– Pati kocha się w naszym Jaśnie Panującym. Nie dziw się, na uczucia nie ma wzoru, metody ani przelicznika. Można kochać Ghandiego, a można i Stalina.

– Czekajcie, czekajcie, zapiszę sobie. – Zuza dopadła do kartki. – Coś mi przyszło do głowy... chwila... już.

– Ja się niczemu nie dziwię. Właściwie – stwierdził Janek, wzruszając ramionami – nasz szef nie taki ostatni. Prezencję ma, z władzą mu do twarzy, rządzić lubi, bogaty z domu.

– Sam widzisz, dziewczyna miała prawo zgłupieć. Tylko, broń Boże, nie ironizuj i nie szydź z niej, ona jest chyba bardzo wrażliwa. Jak jej kiedyś zwróciłam uwagę, że ma plamę na spódnicy, to pół dnia beczała. – Ania przejrzała się w lustrze, spięła swoje długie, jasne włosy i zaczęła się ubierać. – Jadę taksówką na Bemowo. Janek, zabierasz się ze mną?

– Innym razem, o Królowo! – Mężczyzna wydawał się nieco rozkojarzony. – Dziś muszę co nieco załatwić w zupełnie innej części miasta. I rzecz jasna czekam na tego maila z rozpustą. – Uśmiechnął się do Zuzy.

– Nie ma sprawy. – Zuza też już była gotowa do wyjścia. – Poproszę także tę dziewczynę, której opowiadanie Mroczysko przyniósł na wzór, żeby coś podesłała.

– To ja uderzę do publicysty... – mruknął Janek. Zdecydowanie wolał stracić wieczór namawiając kogoś do pisania, niż samemu tworzyć.

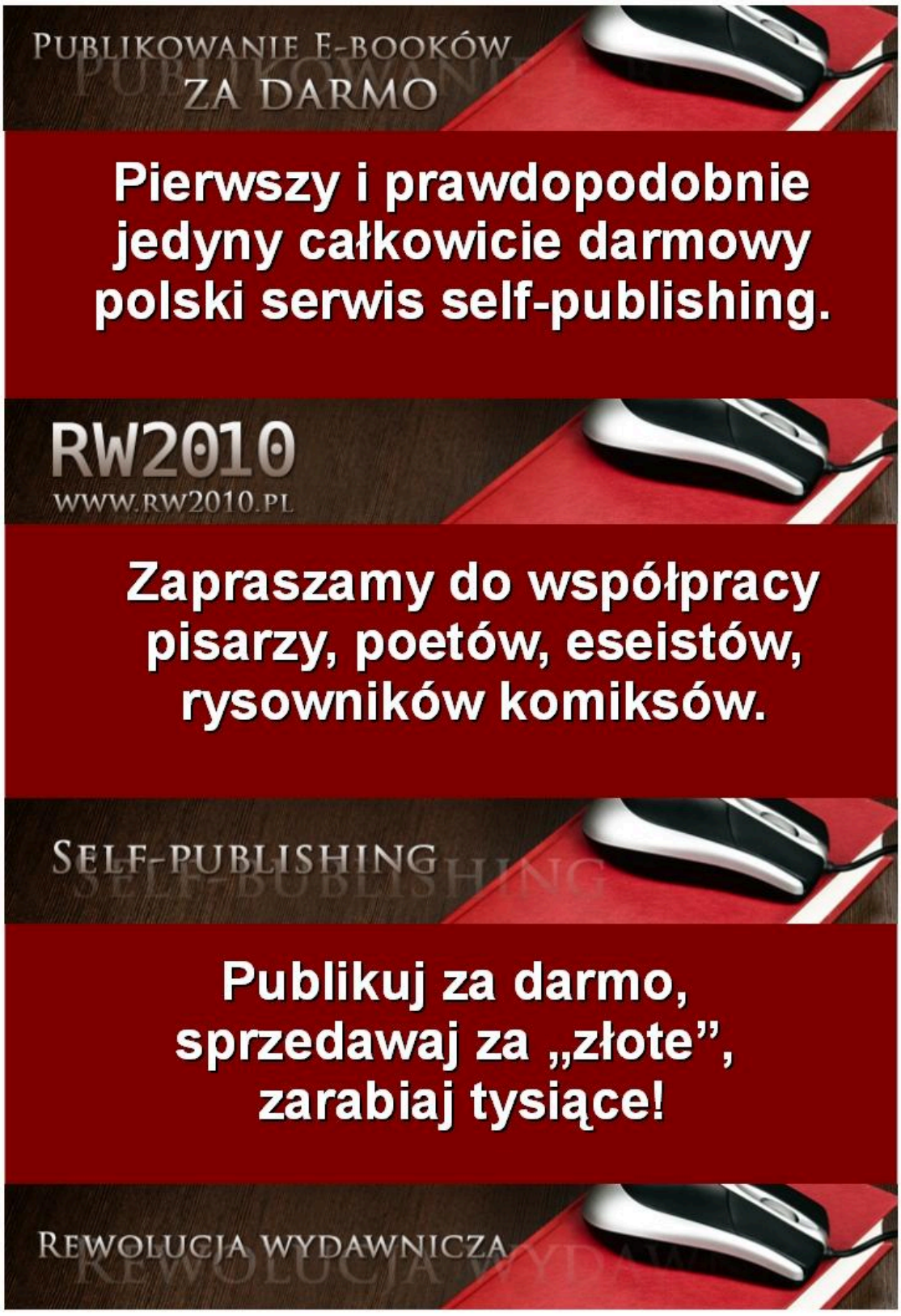
PUBLIKOWANIE E-BOOKÓW
ZA DARMO
Pierwszy i prawdopodobnie jedyny całkowicie darmowy polski serwis self-publishing.
RW2010
WWW.RW2010.PL
Zapraszamy do współpracy pisarzy, poetów, eseistów, rysowników komiksów.
SELF-PUBLISHING
Publikuj za darmo, sprzedawaj za „złote”, zarabiaj tysiące!
REWOLUCJA WYDAWNICZA

Incydent w męskiej ubikacji

Maciej Ślużyński

Blisko rok temu wydarzył się incydent, który odmienił całe moje życie. Wiem, że słowo „incydent” w odniesieniu do faktu, który wywraca wszystko do góry nogami, to z pewnością zbyt słabe określenia, ale z drugiej strony... No, właśnie dla owej „drugiej strony” był to zaledwie incydent, rzecz bez żadnego istotnego znaczenia; anonimowe zdarzenie w całym ciągu tysiąca innych zdarzeń, niewielka stacyjka rzeczywistości, przez którą ekspres życia przemyka, nie zwalniając biegu, że posłużę się bardziej wyszukaną metaforą. Ale do rzeczy. Darujmy sobie poetyckie przenośnie i przejdźmy do szarej codzienności.

„Mężczyzna musi być silny”. Mój ojciec powtarzał mi to przez całe życie. Póki nie umarł, ma się rozumieć. Ja żyłem dalej. Niestety, ojcowska maksyma, że prawdziwy mężczyzna jest silny, nigdy nie płacze i zawsze ustępuje miejsca kobiecie w tramwaju – żyła również. We mnie. Gorzej, że ja uważałem się za prawdziwego mężczyznę zaledwie w jednej trzeciej: tylko ustępowałem kobietom miejsca w tramwaju. Nie ma nic gorszego niż głębokie wewnętrzne przekonanie, że jest się do bani. W końcu inni też zaczynają w to wierzyć...

I oto taki trzeciorzędny mężczyzna jak ja – zakompleksiony dwudziestopięciolatek bez śladu zarostu na twarzy i choćby jednej przygody na koncie – kochał się w skrytości ducha w najbardziej kobiecej kobiecie pod słońcem. Kobiecie pierwszorzędnej! Pewnej siebie, zadziornej, zawsze otoczonej wianuszkiem facetów. Nic w tym dziwnego. Aldona Mieczyk (tak się nazywała moja bogdanka) była po prostu piękna. Cudna! Jak wschód słońca. Taka świeża, niewinna, porywająca... W każdym razie takie sprawiała wrażenie. Bo doskonale wiem – a pracowaliśmy razem w Urzędzie Miejskim, więc wiem – że jak ktoś tak często chodzi na dyskoteki, to nie może być do końca niewinny. Nie żebym

miał coś przeciwko dyskotekom w ogóle; ale w szczególe – już po jednym razie – miałem ich serdecznie dosyć. Przede wszystkim było za głośno; potem za gorąco i za tłoczno, a od ilości dymu tytoniowego mało nie dostałem napadu astmy; ale najgorzej działał na mnie unoszący się w powietrzu zapach... rui; inaczej nie umiem tego określić. Czułem się kompletnie nie na swoim miejscu, jak ryba na targu mięsnym.

Mimo tylu wad nie jestem na szczęście pruderyjny i doskonale rozumiem, że niektórym taka atmosfera może odpowiadać. Na przykład Aldonie... Przysięgam, nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia! Opierałem się uczuciu do tej dziewczyny nie z powodu zasad. Po prostu zadziałał mój instynkt samozachowawczy. Ludzie, nie jestem samobójcą! Kiedy Aldona zaczęła przyciągać moje myśli i spojrzenia, byłem nie tyle zdumiony, co wręcz przerażony! Rękami i nogami broniłem się przed zadurzeniem, które mogło mnie zniszczyć. Tak, tak, dokładnie: zniszczyć. Gdyby się, nie daj Boże, wydało, w kim się podkochuję, nie tylko Aldona, ale wszyscy w pracy mieliby ubaw po pachy. Nabijaliby się ze mnie do upadłego! I mieliby rację. Bo to tak, jakby kurczak zakochał się w orlicy.

Jak diabeł święconej wody unikałem więc sytuacji, w których zostałbym z nią sam na sam. Być może jestem beznadziejnym facetem, ale jednak facetem. Trudno mi upilnować rozbiegany wzrok, a na odruchowe reakcje organizmu też nic nie poradzę. Wiem jednak, że umarłbym ze wstydu, gdyby Aldona przyłapała mnie, jak gapię się w jej biust albo zapytała, czemu tak się... pocę.

Oczywiście moje chowanie się po kątach było kompletnie bez sensu. Mógłbym paradować po Urzędzie w stroju Świętego Mikołaja czy wręcz nago, Aldona i tak nie zwróciłaby na mnie najmniejszej uwagi. Nie byłem w jej typie. Ona preferowała wysokich smagłych brunetów; ja miałem zaledwie metr siedemdziesiąt wzrostu, jasne, niemal białe włosy i skórę, której absolutnie nie mogłem opalać. Raz spróbowałem i wyglądałem potem jak gotowany rak w peruce z waty. Przez dwa tygodnie nosa z domu nie wytknąłem, żeby dzieci nie straszyć.

Wracając do sedna. Z jednaj strony Aldona z zasady mnie nie zauważała, z drugiej – ja robiłem wszystko, byle tylko przypadkiem nie rzucić się jej w oczy. Moja miłość była więc uczuciem beznadziejnym i nie rokującym najmniejszych szans na... cokolwiek. Nawet w myślach. Bo, niestety, nawet w swoich fantazjach, mniej lub bardziej erotycznych, nie

posunąłem się dalej niż do pocałunku, położenia ręki na aksamitnym udzie czy rozpięcia górnego guziczka jej bluzki... Dalej nie śmiałem, choć serce mało mi z piersi nie wyskoczyło, a żądza nie rozsadziła rozporka. Jednak nie śmiałem sięgnąć wyobraźnią... głębiej, że tak się wyrażę. Z szacunku i z braku inwencji. Bo, prawdę powiedziawszy, niby skąd miałem wiedzieć, co jest dalej? Z filmów? Może pornograficznych? Ludzie, ja z matką staruszką mieszkałem! A ojciec by się w grobie przewracał z prawa na lewo, gdyby jego syn oglądał takie świństwa.

Toteż pewnie jeszcze lata cała kochałbym Aldonę nieśmiało i platonicznie, gdyby nie fakt, że pewnego dnia złamała rękę. Dla mnie nawet w gipsie wyglądała uroczo, ale nie wiedzieć czemu inni zaczęli sobie z niej pokpiwać.

– Hej, Aldonka, a gdzieś ty sobie tę rękę złamała? Gdzie i... z kim? Ha, ha, ha! – rechotał kierownik. – Powiedz, nie wstydź się.

– Bez obaw, szefie, wstydu nasza Aldonka na pewno nie ma na składzie, he, he, he! – wtórowali mu podwładni. – Dawno zapomniała, co to takiego. Lepiej niech zdradzi, z czego albo... z kogo spadła, hi, hi, hi!

I różne takie, jeszcze gorsze i bardziej złośliwe teksty. Byłem oburzony, ale nie dość odważny, by ruszyć jej z pomocą. Cały się w środku gotowałem ze złości i współczucia, ale jak na rasowego ciamajdę przystało milczałam, zagryzając wargi do krwi.

Aldona broniła się sama: wyniosłym spojrzeniem, ostrym słowem, płaczem... I właśnie płaczącą znalazłem ją kiedyś w męskiej ubikacji. Czemu akurat w męskiej...? Możliwe, że damska była zajęta. Ale coś mi się wydaje, że wygoniły ją stamtąd uwagi o wiele bardziej zgryźliwe od tych, którymi raczyli ją mężczyźni. Kobiety, zwłaszcza zazdrosne o urodę i powodzenie innej, potrafią być naprawdę wredne i okrutne. A w publicznej ubikacji człowiek jest bezbronny wobec ataku bardziej niż w jakimkolwiek innym miejscu.

Mimo zapuchniętych oczu i rozmazanego tuszu Aldona nadal wydawała mi się najśliczniejszą istotą pod słońcem.

– Czy ty też nabijasz się ze mnie, Gwidi? – zapytała, pociągając nosem.

– Ja?!... Skąd! – zaprzeczyłem. – Ja ciebie... bardzo szanuję. Nigdy bym się nie ośmielił...

– Ale inni się ośmielają. Są podli! – parsknęła ze złością; potem uniosła dumnie głowę, ale z nosa jej pociekło i zamiast wyniośle, wypadło to raczej żałośnie. Rozczuliłem się.

– Tak, tak, podli, bardzo podli – potaknąłem gorliwie i podałem jej chusteczkę. Jak dobrze, że mama dała mi dzisiaj świeżą.

Dziewczyna otarła łzy i wysmarkała się. Potem spojrzała na mnie... Pracowaliśmy razem od pięciu lat, ale dopiero teraz po raz pierwszy naprawdę mnie zauważyła. Mnie, Gwidona Śliwę. Do tej pory przesuwała po mnie nieuważnym wzrokiem, jak po meblu albo nudnych aktach. Toteż niemal wstrzymałem oddech, żeby jej nie spłoszyć, nie zrazić, gdy przyglądała mi się tak uważnie, jakby podobało jej się to, co widzi, jakbym coś dla niej znaczył, jakby nagle czegoś ode mnie chciała...

– Kochaj się ze mną – poprosiła. – Ty jesteś taki... miły. Nie jak te... samce! Nie potrzebuję ich. Kochaj się ze mną – powtórzyła. – Potrzebuję tego.

– Teraz, zaraz...?! – Trochę spanikowałem i natychmiast przypomniała mi się jedna z sentencji mojego ojca: „uważaj z marzeniami, bo mogą się spełnić”.

– Tak, teraz, zaraz! – wyszeptała gorączkowo. – Jesteś taki milutki, jeszcze nigdy nie kochałam się z takim różowym blondynem jak ty. Czy wszędzie jesteś taki jasny?

Spociły mi się dłonie i górna warga, tętno gwałtownie przyspieszyło, poczułem smak adrenaliny w ustach. Bałem się, bałem się jak... jakby mi ktoś przystawił pistolet do głowy, ale pomyślałem, że jeżeli mam stracić dziewictwo w wieku dwudziestu pięciu lat, to tylko z nią, z moją ukochaną Aldoną!

Nie zdążyłem wyrazić ani zgody, ani ewentualnych wątpliwości; dziewczyna nie zamierzała czekać. Nie będę kryć, jej niecierpliwość mi pochlebiała, choć z drugiej strony w takim pośpiechu mój brak wprawy... okej, moja całkowita ignorancja w sprawach seksu będzie widoczna jak na dłoni. Jeszcze ją zniechęcę...

Mogłem się nie obawiać. Miałem do czynienia z prawdziwym fachowcem. Przejęła inicjatywę tak, jak stary morski wyga przejmuje ster z rąk rzygającego przez burtę szczura lądowego.

Oparła się o ścianę i przyciągnęła mnie do siebie. Poczułem zimny dotyk gipsu na szyi. Wprawnym ruchem zdrowej ręki rozpięła mi koszulę,

przesunęła dłonią po moim brzuchu; trochę łaskotało, ale gdy dotarła do rozporka...

Znowu wstrzymałem oddech, w skroniach mi dudniło, byłem pewien, że zaraz zemdleję!

Oplotła mnie nogami w pasie, odchyliła głowę do tyłu, wygięła szyję i wzięła mnie, po prostu wzięła mnie sobie...

Podtrzymywałem ją za jędrne pośladki i... myślałem o ojcu oraz jego powiedzonkach. Myślałem o mojej matce staruszce, o tym jak prasuje tę chustkę do nosa, jak wygładza rogi, a potem składa ją starannie... ale i tak nim się zorientowałem, było po wszystkim. Przy czym ona uwinęła się jeszcze szybciej niż ja.

Z trudem stałem. Oparłem się czołem i dłońmi o kafelki. Dyszałem jak po ciężkim biegu. Boże, co to było?! Jakieś szaleństwo... Zerknąłem pod ramieniem do tyłu. Aldona poprawiała pas i pończochy. Chryste, nawet nie zauważyłem, że miała na sobie pończochy!

– Wiesz, myślę, że powinieneś się zainteresować tą małą Halinką z mojego działu, taką rudawą, w okularach. – Obciągnęła spódnicę, przeczesała palcami włosy, pochyliła się do lustra, starła rozmazany tusz. – Mówiła o tobie, chyba jej się podobasz, pasowalibyście do siebie, ona też jest taka blada i... – wyciągnęła pomadkę i przejechała czerwienią po ustach – ...taka jasna jak ty. Wszędzie. Karol mi mówił. Ponoć jest niczego sobie, choć trochę sztywna. No to idę – powiedziała i wyszła.

Następnego dnia znowu nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Mówiłem, incydent, dla niej to był tylko incydent. Ale nie dla mnie. Rozmyślałem o zdarzeniu w męskiej ubikacji wciąż i wciąż. Wymyślałem nowe sytuacje. Moja wyobraźnia wzbogacała ów incydent. Już nie zatrzymywałem ręki na smukłym udzie, już nie poprzestawałem na jednym pocałunku i rozpięciu jednego guziczka... Co ciekawe, w moich fantazjach zaczęły się pojawić inne kobiety, inne niż Aldona. Bo skoro sprawdziłem się przy takiej super kobiecie, czemuż nie miałbym spróbować z tymi bardziej zwyczajnymi?

Poczułem, dotąd zupełnie mi obcy, przypływ wiary we własne siły. Był jak narkotyk! Możliwe, że Aldona potraktowała mnie jak rodzaj pocieszenia. Możliwe, że najnormalniej w świecie mnie wykorzystała, że napatoczyłem się w odpowiednim momencie i bęc! – padło na mnie.

Nieistotne! Mogła uciec z krzykiem od takiej bladoróżowej ofiary losu, ale nie uciekła; wybrała mnie i co najważniejsze, sprawdziłem się. Dałem radę!

„Mężczyzna musi być silny” – bumerangiem wróciła do mnie maksyma ojca. I po raz pierwszy mnie nie zdołowała. Nagle zrozumiałam, że wcale nie miał na myśli faceta, który jedną ręką podnosi sto kilo, a oponentom wybija zęby. Mówił o pewności siebie, odwadze w dążeniu do celu i nie poddawaniu się w obliczu trudności. Tam, w ubikacji, z Aldoną, nie poddałem się. Sprostałem wyzwaniu, choć sam najlepiej wiem, jak bliski byłem poniżającej rejterady.

Po tygodniu przypadkowo zetknąłem się na korytarzu z tą małą Halinką z działu miejskiego. „Naprawdę niczego sobie...” – pomyślałem i pod wpływem impulsu zaprosiłem ją do kina. Liczyłem się z odmową, ale nie obawiałem się jej. Nie wycofałem się tchórzliwie, jakbym to zrobił jeszcze tydzień temu, ale zaatakowałem i... nie zdziwiłem się ani trochę, gdy wyraziła zgodę; nie żebym sobie pochlebiał, ale chyba wręcz ochoczo.

Po filmie poszliśmy na kawę i lody – oczywiście ja stawiałam, tata mawiał, że inaczej nie uchodzi – a jeszcze potem wylądowaliśmy u niej na kanapie. Na ten temat tata się nie wypowiadał, to znaczy, czy wypada, czy nie wypada iść do łóżka na pierwszej randce. Odszedł z tego świata, nim skończyłem piętnaście lat, więc może po prostu nie zdążył.

Co do samego seksu, trwał zdecydowanie dłużej niż incydent w pamiętnej męskiej ubikacji. Nie musiałem też myśleć o chustkach do nosa ani aforyzmach mojego ojca nieboszczyka, żeby przedłużyć sprawę. Może Halinka nie była tak porywająca jak Aldona; może to był tylko seks, bo przecież Aldonę kochałem (bo przecież kochałem, prawda?); a może jeden raz wystarczył, by nabrać wprawy... Kto wie? W każdym razie od tamtego czasu minął rok, a ja poznałem kanapę Zosi z księgowości, Krysi z nadzoru, Gosi od komputerów...

Czym to wyjaśnić?

Jeden z moich kolegów, który przyciąga dziewczyny niczym magnes, choć żaden z niego adonis, powiedział mi kiedyś, jakieś sto lat temu:

– Stary, nieważne, czy jesteś przystojny i czy masz wielkie bary. Nawet forsa się nie liczy tak bardzo, jak wewnętrzne przekonanie, że jesteś świetny. Bądź sobą, bądź z siebie dumny, a nie będziesz się mógł od bab opędzić.

Wtedy mu nie wierzyłem, bo nie wierzyłem nawet w samego siebie, ale teraz wiem, że miał cholerną rację. Pewność siebie jest najlepszym afrodyzjakiem, jakim mężczyzna może oczarować kobietę.

Edukacja Renaty

Joanna Łukowska

Przed naszą kamienicą zaparkowała srebrna limuzyna. Cicho i dystyngowanie. Była prowadzona ręką doświadczonego kierowcy, który nie musi udowadniać swej męskości piskiem opon przy hamowaniu. Leniwy krajobraz naszej uliczki wzbogacił się o nowy intrygujący element. Przyglądałam mu się kątem oka, siedząc na parapecie i paląc papierosa.

– Ale bryka... – Dmuchnęłam dymem na zewnątrz. – Ale facet! – Zagwizdałam po chwili.

Dziewczyny rzuciły się do okna.

– Ja cię kręcę! – jęknęła Mariolka.

– Wysoki, dobrze ostrzyżony, świetny garnitur. Ma klasę – skomentowała Iga zza naszych pleców.

– Nie moja liga – mruknęłam z żalem. – Za porządny. Ja zawsze trafiam na oszołomów.

– Uwaga, idzie tu! – syknęła Mariolka.

„Ciekawe, czegóż taki facet może szukać w skromnych progach naszego Biura Ogłoszeń?” – zastanawiałam się, pospiesznie gasząc papierosa w puszce po coli.

Jak się okazało, zamierzał sprzedać samochód.

– Taka wspaniała limuzyna, po prostu piękna! – zachwycała się Mariolka. – Nie będzie panu żal się z nią rozstać?

Od kiedy wszedł, robiła co mogła, by go oczarować. Z mizernym skutkiem.

– Bynajmniej – odparł z nieznacznym uśmiechem. – Mam zasadę, że po dwóch latach wybieram nowszy model.

– Z kobietami też pan tak postępuje? – Zatrzepotała zalotnie rzęsami.

Nie odpowiedział. Poprzestał na zdawkowym uśmiechu. Im bardziej starała się go poderwać, tym większy zachowywał dystans, grzecznie dając do zrozumienia, że nie jest zainteresowany. Celowo upuściłam długopis i skryłam się pod blatem, żeby nie parsknąć śmiechem na widok jej miny, gdy wreszcie to pojęła.

Uniosłam głowę i ujrzałam wpatrzone w siebie ciemne oczy. Byłam pewna, że mężczyzna zaraz przesunie wzrok dalej. W wieku dwudziestu trzech lat przywykłam, że faceci nie znajdowali w moim wyglądzie niczego ciekawego. Jednak sekundy mijały, a on wciąż patrzył. Z rosnącym zdumieniem i oszołomieniem. Jakby właśnie odkrył, że się we mnie zakochał!

Bzdura. Coś takiego nie przytrafia się zwykłej dziewczynie z sąsiedztwa. Nie lubiłam się stroić ani malować, najchętniej chodziłam w dżinsach, a włosy ściągałam w koński ogon. Gdy ktoś chciał mnie bliżej poznać, odkrywał rubaszną pogodę ducha i lojalność. Niestety te zalety, dzięki którym zyskałam sporo przyjaciół, w życiu uczuciowym tylko mi przeszkadzały. Niczym magnes przyciągałam do siebie różnych dziwaków i smutasów.

Ale ten tutaj nie wyglądał na anarchistę z wyrokiem w zawieszeniu. Był elegancki, pewny siebie, uprzejmy. Cóż takiego we mnie zobaczył, że wstał od biurka Mariolki, podszedł bliżej i spytał niskim matowym głosem:

– Czy my się przypadkiem już nie spotkaliśmy?

– Ha, chyba w innym wcieleniu! – parsknęłam dowcipnie.

– Teraz rozumiem, skąd to wrażenie, jakbym znał panią od zawsze... – odparł najzupełniej poważnie. I znowu patrzył w taki sposób, że zdało mi się, jakby czas stanął w miejscu...

Kiedy ruszył ponownie, Inga w zamyśleniu stukała paznokciami po blacie, a Mariola prychała jak rozeźlona kotka, że podebrałam jej klienta. I wtedy do mnie dotarło – umówiłam się na randkę! Krzysztof Radke, właściciel srebrnej limuzyny, miał przyjechać po mnie o ósmej. Pracę kończyłam o szóstej. Powinnam zdążyć się uszykować.

– Renata, on jest jakiś dziwny. I nie pasuje mi do ciebie. Proszę cię, uważaj...

Słowa Ingi dochodziły do mnie jak zza szyby. Była z nas najstarsza. Znała mnie i znała życie. Powinnam zaufać jej intuicji, ale w danym momencie dużo bardziej martwił mnie inny fakt...

„W co ja się, do diabła, ubiorę?”

Po powrocie do domu przetrząsnęłam całą szafę, by stwierdzić oczywiste.

– Nie mam co na siebie włożyć!

Mama przybyła z odsieczą.

Kiedy punkt ósma odezwał się dzwonek, byłam w pełni wyszykowana. Odczekałam trzy sekundy i otworzyłam mu drzwi. Matce wręczył kwiaty, ojcu uścisnął prawicę, mnie zaś podał ramię ze słowami:

– Ślicznie pani wygląda.

– Przejdźmy na ty – zaproponowałam szybko. – Nadmiar grzeczności mnie peszy.

– Jak sobie życzysz. – Skłonił się.

W ogóle był ujmujący; otwierał drzwi, pomagał wysiąść z auta, zabawiał rozmową, żartował. Spostrzegł, że elegancka restauracja z kryształowymi żyrandolami to nie moja bajka i postarał się rozluźnić atmosferę. Chwała mu za to! Bo kiedy na stół wyjechały karczochy, a potem ślimaki, bez większego wstydu mogłam się przyznać, że nigdy czegoś takiego nie jadłam. Krzysztof był stworzony do udzielania dyskretnych rad. Tłumaczył mi francuskie nazwy z menu, a jego barwne opowieści o winach oszałamiały równie mocno, co same trunki. Kolacja udała się wyśmienicie. Jednak...

Nie patrzył już na mnie tak jak wcześniej. Tylko raz, gdy walczyłam z niesfornym kosmykiem wymykającym się z upiętego koka, powiedział coś zaskakującego i mile osobistego:

– Powinnaś zacząć rozpuszczać włosy. Założę się, że są piękne. Zwłaszcza latem, gdy prześwitują w nich jaśniejsze pasemka...

Zasadniczo jednak traktował mnie jak młodszą siostrę. Pod koniec randki myśl, że Krzysztof mógłby zakochać się we mnie od pierwszego wejrzenia, uznałam za kompletny absurd. Nie miałam kompleksów, ale czułam, że jestem nieco zbyt prostolinijna jak dla niego.

– Rozczarowałeś się, prawda? – zapytałam przy pożegnaniu. – Mało wiem o świecie, nie znam się na winach, wykwintnych daniach...

– Wszystkiego można się nauczyć. – Ujął i pocałował moją dłoń. Nie puścił jej od razu, a ja nie zabierałam ręki; skoro chciał ją trzymać, proszę bardzo, choćby do rana.

– Daleko mi do tych pięknych, eleganckich kobiet, z którymi zwykle się spotykasz... – westchnęłam.

– Wcale nie. – Przesunął palcami po moich paznokciach; z jednego odchodził lakier. – Jesteś jak diament, który potrzebuje szlifu, by stać się brylantem...

– Czy to znaczy, że chcesz się nadal ze mną spotykać? – Wolałam się upewnić. – Pomimo... moich niedociągnięć?

– Oczywiście. Na przykład w sobotę? Postaram się o bilety do opery.

Opera? Do tej pory oglądałam ją tylko z zewnątrz; bardzo ładny budynek. Ale trzy godziny egzaltowanych śpiewów? Bałam się, że umrę z nudów. Dzięki Krzysztofowi jakoś przeżyłam. Nie powiem, nawet uroniłam łzę nad losem nieszczęsnej Tosci. Nie stałam się jednak z dnia na dzień fanką opery. Większy entuzjazm wykazałam, gdy tydzień później zaprosił mnie na premierę do teatru.

Wzięta na spytki, niechętnie przyznałam się dziewczynom, gdzie ostatnio bywam.

– Dotąd kino, cola i popcorn w zupełności ci wystarczały – ironizowała Mariolka.

– Czy to źle, że chce mnie trochę odchamić? – broniłam się.

– Nie, ale on coś za bardzo się stara... – Inga nie kryła podejrzliwości. – Przerabia cię na swoją modłę.

Ale mnie pochlebiało, że poświęca mi tyle czasu i uwagi. Kolacje w drogich restauracjach, bilety do teatru i opery, zaproszenia na wystawy, recitale, pokazy – nie mój świat, ale u jego boku nic nie było mi straszne. Wkrótce początkowy brak pewności siebie ustąpił pod naporem wrodzonej ciekawości. Nie kryję, spodobało mi się takie życie, od imprezy do imprezy. Dyskretny urok burżuazji ogarnął i moją proletariacką duszą...

Co do Krzysztofa, rozpieszczał mnie, niczego nie żądając w zamian. Mariolka sugerowała złośliwe, że może robię za zasłonę dymną, bo on woli facetów albo ma jakiś inny wstydliwy problem. Głupia. Nie chciała zrozumieć, że trafił mi się prawdziwy dżentelmen. Jeden na milion! Na każdym kroku podkreślał, że przede wszystkim zależy mu na moim dobrym samopoczuciu. Podtrzymywał je przy pomocy drobnych prezentów: bombonierka, maskotka, srebrny łańcuszek na kostkę, jedwabna sukienka...

Wtedy mama pierwszy raz się sprzeciwiła.

– Chyba jej nie przyjmiesz? – spytała surowo, gdy przeglądałam się w lustrze.

– Niby dlaczego? – obruszyłam się. – Wyglądam rewelacyjne, jakby na mnie szyta, mamo... – Przybrałam błagalny ton. Z reguły działał.

– Jesteś dorosła. Zrobisz, jak uważasz. Ale.... – Pokręciła głową, wciąż nieprzekonana.

– Gdyby kupił mi tonę czekolady, nie protestowałabyś. Liczy się intencja, nie cena.

– Otóż to. Właśnie o owe intencje się martwię.

Zgadały się z Ingą, czy co? Moja przyjaciółka w kółko powtarzała, że na mózg mi padło, a mężczyzna, który niczego nie chce, w rzeczywistości chce za dużo. Ot, pokrętna logika. A matki martwią się na zapas. Dlatego zbagatelizowałam ich opory i przyjęłam prezent. Chciałam, by Krzysztof był ze mnie zadowolony. Do tej pory nie pomylił się. Idąc za jego delikatną sugestią, wybrałam się do fryzjera, który ścieniował mi włosy i zrobił w nich jaśniejsze pasemka. Kosmetyczka wymodelowała mi brwi, wydepilowała nogi i pokazała, jak się malować. Krawcowa nie okazała się konieczna. Krzysztof bez pudła wybierał mi garderobę, która najlepiej podkreślała moje atuty. Co do minusów, zapisałam się na fitness i siłownię. Na francuski – też. W kwestii szkieł kontaktowych, wahałam się. Minus pół w prawym oku to żadna wada...

– Zmieniłaś się – zauważyła Inga.

– Prawda? – ucieszyłam się. – Wystarczyło kilka miesięcy edukacji pod okiem Krzysztofa, bym nabrała ogłady. Faceci oglądają się za mną na ulicy! Schudłam trzy kilo, nauczyłam się malować, ubierać, chodzić...

– Nie mówię o twoim wyglądzie. – Inga otaksowała mnie wzrokiem. – Nowa fryzura, makijaż, manicure, garsonka zamiast dżinsów, ekstra. Tylko szkoda, że nie masz już czasu dla starych kumpli, a wypad do pubu na piwo jest poniżej twojej nowej godności. Wolałam tamtą Renatę. Choć klęła jak szewc, za dużo paliła i za głośno się śmiała, to przynajmniej była sobą.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Z jednej strony zrobiło mi się głupio, bo faktycznie trzymałam Krzysztofa z dala od moich dawnych znajomych. Nie spodobaliby mu się. Z drugiej – uważałam, że zmieniłam się za mało. Dlatego mój związek z Krzysztofem nie ewoluował. W sprawach intymnych nie posunęliśmy się dalej niż do czułych, delikatnych

pocałunków na dobranoc. Wciąż powtarzał, że cierpliwie poczeka, aż będę w pełni gotowa.

Byłam gotowa! Bałam się, że jeszcze trochę czekania, a wybuchnę. Zaczęłam się obawiać, że coś ze mną nie tak, że nigdy nie będę dość doskonała. I zdecydowałam się na barwione szkła kontaktowe. Krzysztof nie naciskał. Po prostu powiedział, że natura popełniła błąd, obdarzając mnie niebieską tęczówką i spojrzał tak tęsknie... Musiałam ulec.

Wzrok specjalnie mi się nie wyostrzył, ale z zielonym odcieniem oczu wyglądałam zdecydowanie bardziej tajemniczo. Krzysztof nie mógł się napatrzeć. Było jak pierwszego dnia naszej znajomości. Oszołomienie, niedowierzanie, jakby właśnie spotkał miłość swego życia.

Ucieszyłam się, gdy zaproponował mi wyjazd nad morze. Czekałam na to od chwili, gdy się dowiedziałam o jego domku w Juracie. Wreszcie zasłużyłam, by mnie tam zabrał...

Nie bałam się spartańskiego wystroju w stylu męskiej samotni. Krzysztof lubił wygodę. Kiedy jednak ujrzałam wnętrze wyraźnie urządzone damską ręką, poczułam się nieswojo. Spodziewałam się skóry przed kominkiem, a trafiłam do oazy subtelności i wysublimowanego smaku. Obrazy, antyczny sekretarzyk, sypialnia cała w bieli, kolekcja filiżanek z porcelany, zasuszone kwiaty... I system alarmowy. Równie trudno było wejść do środka, jak wyjść na zewnątrz.

– Rozpakuj się, rozejrzyj, a ja podłączę gaz, prąd i wodę.

Nie paliło mi się do zwiedzania domu obcej kobiety. Kim ona jest, do diabła? Nie łudziłam się, że siostrą. Usiadłam przy sekretarzyku. Otworzyłam jedną z szufladek. Plik wizytówek. W drugiej znalazłam jakieś listy. W trzeciej – fotografie. Machinalnie wyciągnęłam kilka. Dom, plaża, morze, las, a na ich tle młoda kobieta, pełna smutku i melancholii. Miała długie włosy z jaśniejszymi pasemkami, zwiewną jedwabną sukienkę i zielone oczy. Była tak podobna do mnie, że... mogłaby być mną. Ja mogłabym być nią... Poczułam lęk.

– Zostaw! – padły ostre słowa. – I nie pytaj. Nigdy!

Nie pytałam i nie zamierzałam zostać sekundy dłużej w tym muzeum czyjejś pamięci. Nie zasnęłabym w domu kobiety, której ukradłam twarz, fryzurę, ulubioną sukienkę i kolor oczu. To ją we mnie dostrzegł. Założę się, że kochała operę, piła wyłącznie szampana i umiała jeść karczochy. Wszystko zaczęło się układać. Cała moja edukacja zmierzała w jednym

kierunku. Chciał mnie zmienić w nią! Nie wiem i nie chcę wiedzieć, czy umarła, czy uciekła od niego tak jak ja...

Z wolna uczę się siebie do nowa. Do palenia nie wrócę, teatr polubiłam, a francuski się przydaje. Za to obcięłam włosy i przeprosiłam się z dżinsami. Z przyjaciółmi też. I śmieję się coraz odważniej. Tak jak kiedyś.

„Zaprawdę dziwne są ludzkie zachowania”

Jan Siwmir

– O rany! – nie wytrzymała Kornelia. – Mojej koleżance przytrafiła się podobna historia jak tej Renacie. Facet lepił ją na obraz własnych upodobań. Nawet operację plastyczną brzucha jej zafundował, bo rzekomo talii nie miała. Ja bym gnoja zabiła. Gołymi rękami!

– Wiersz mi się przypomniał à propos takich historii. – Ania przeszukiwała internetową przeglądarkę. – Posłuchajcie:

Ja, Eliza

możesz mnie pytać o losy tybetańskich dzieci
o ceny na stacji benzynowej
o to jak robi się tiramisu imbirowe
z bezami

patrząc w moje oczy wyczytasz wdzięczność dla Pigmaliona

lecz kiedy już
bez szeptów
bez tajemnic
rozbierzesz mnie na kawałki
rozrzucisz po pokoju jak zbędne części garderoby
i zajmiesz kimś innym

postaram się z lustra własnych książek
odzyskać prawdziwą twarz

– „Lustro własnych książek” – powtórzyła melancholijnie Kornelia. – To mi się podoba! Może dlatego, że jestem uzależniona od czytania. – Swoją drogą wygląda na to, że samcze pigmalionowanie jest dość częste, nie sądzicie?

– Zaprawdę dziwne są ludzkie zachowania. – Janek nieoczekiwanie wpadł w ton biblijny. – Nie mógł sobie znaleźć takiej, która by spełniała jego wyobrażenia?

– Aha, aha, Janeczek nie przeczytał opowiadań, tak? – rzuciła złośliwie Zuza. – Jakbyś przeczytał, to byś wiedział, dlaczego nie mógł znaleźć.

– Ja o tym znajomym Kornelii mówiłem – chłopak cicho zaprotestował i położył uszy po sobie. Rzeczywiście, opowiadań nie przeczytał. – A właściwie dlaczego kobiety się na to zgadzają? – zmienił temat.

– Kto zrozumie żeńską faunę? – filozoficznie posumował Mrok, od kilku minut przysłuchujący się rozmowie z zainteresowaniem. – Ponieważ widzę u niektórych – tu Naczelny znacząco spojrzał na Janka – brak zainteresowania naszym projektem, zmuszony jestem zastosować sankcje gospodarcze. Każdy, kto nie przeczyta w ciągu trzech dni kolejnej partii i nie oceni ich w skali od 1 do 10, pozbawiony będzie możliwości głosowania nad projektem okładki.

– Uśśś, ty, szefie, jak coś wymyślisz... – Janek prychnął z obrzydzeniem.

– Nie lekceważ szefa. – Zuza popatrzyła przeciągle na Mroka. – Jak go znam, ma w zanadrzu jakąś niespodziankę, prawda?

– Dowiecie się w swoim czasie. Teraz proszę zajrzeć do skrzynek mailowych. Opowiadania przyszły.

– Same przyszły? – mamrotał pod nosem Janek. – Na pięknych, owłosionych nóżkach w garniturze?...

Zapatrzenie

Anna Rybkowska

Siedzieli na ławce i patrzyli sobie w oczy. Obok chłopaka stała, przy nodze w podkutym buciorze, butelka po piwie. Dziewczyna miała na ramionach kurtkę typu moro, z kapturem i licznymi suwakami. Coś do siebie szeptali w sobie znanym narzeczu i co jakiś czas wybuchali śmiechem. Pomyślałam, że miłość to taki ładny obrazek. Wszystko wokół przestaje istnieć, traci znaczenie. Zakochanych absorbuje wyłącznie ta druga osoba, jedyna i wybrana. Słońce może zachodzić lub wschodzić, burzowe chmury nadciągać żwawo... Oni patrzą sobie w oczy i olewają świat. Wszystko jedno, kto wygra wybory albo zda w tym roku maturę. Nie jest ważne, jakim samochodem jeździ sąsiad albo szef. Absolutnie obojętne staje się im to, co zjedzą dzisiaj na obiad. Wszystko smakuje jak wymarzone usta, pachnie jak ukochane włosy i dźwięczy jak ten jeden jedyny w świecie głos.

Pomyślałam, jaka miłość potrafi być prosta... Dlaczego ją komplikujemy? Wystawiłam twarz do resztek listopadowego słońca, dosyć łaskawego tego roku; odwlekałam, jak długo się dało, moment wyjścia z parku, gdzie spędziłam już godzinę pod pozorem, że niby mam dużo czasu. Nic bardziej mylnego! Wieczorem przychodzi do mnie mój eks. Porozmawiać o warunkach widywania się z dziećmi. Wyobrażałam sobie, że powinno być to spotkanie przyjaciół, na gruncie cierpliwości i wzajemnego zrozumienia, bez tych idiotycznych utarczek słownych o byle co. Planowałam pyszną kolację i powinnam, zamiast tu bezproduktywnie podglądać młodych, udać się na zakupy do marketu, by kupić co trzeba i przemyśleć to i owo. Przemyśleć... A co tu jest do przemyślenia?! Drań! Zdradzał mnie przez dwa lata z moją najlepszą przyjaciółką, tylko dlatego że, jak twierdził, wyjeżdżałam i zaczęłam go zaniedbywać! Dobre sobie! Opiekowałam się ciężko chorą matką, którą próbowałam ściągnąć do nas,

do Warszawy. A skoro mój małżonek wspaniałomyślnie nie wyraził na to zgody, musiałam jeździć do matki, pod Poznań i... Nie ma nawet co wspominać! Wiem, że miałam rację. Robiłam, co do mnie należało. Ktoś musiał to robić. Nie umiałam jej oddać pod opiekę obcym ludziom. Jak... Przecież to była moja matka! Nawet nie próbował mnie zrozumieć, od razu wskoczył chyłkiem do cudzego ogródka. Nie zadał sobie specjalnego trudu z wyborem, wziął co było pod ręką! A teraz ma do mnie żal, że go izoluję od dzieci, oczerniam i wymyślam jakieś komplikacje. Szkoda, że wtedy się nad tym nie zastanowił, nie raczył przewidzieć efektów swego skoku w bok. W porządku, ustąpię, dla dobra dzieci, ale niech sobie nie wyobraża, że może mi dyktować warunki!

*

Specjalnie wybrałam te dżinsy, które najlepiej podkreślały, że wciąż mam zgrabny tyłek. I założyłam bluzkę z dużym dekoltem. Niech wie, co stracił, wybierając Stellę. Wprawdzie była młodsza, ale za to dużo gorzej wyposażona przez matkę naturę. Przyszedł punktualnie i w korytarzu wręczył mi bukiet kwiatów, w bardzo drogiej oprawie, która wcale nie przypadła mi do gustu.

– Mam nadzieję, że jesteś przy forsie, bo ostatnio zwlekałeś z alimentami aż dwa dni – zauważyłam zgryźliwie, szukając odpowiedniego wazonu. Doskonale wiedział, że nie znoszę takich snobistycznych bukietów, mimo to...

– Skarbie, przychodzę z otwartą przyłbicą i niosę od progu fajkę pokoju. Liczę, że to docenisz.

– Doprawdy – powiedziałam, lekko udobruchana – przecież wiesz, że nie palę.

Roześmiał się, jak mi się zdawało, z przymusem. Może jednak szczerze?

– Brakuje mi twojej swady – wyznał otwarcie i tak jakoś wzruszająco bezradnie, jakby chciał w ślad za tymi słowami zaśpiewać: „Zaopiekuj się mną...”.

Udałam, że mnie to nie bierze, chociaż poczułam ukłucie w żołądku, kiedy zobaczyłam błękitną koszulę i krawat, który mu kupiłam na ostatnie wspólne święta. Był taki przystojny... Nadal rwał mi oczy, jak pierwszego dnia, gdy los nas ze sobą zetknął. Dzisiaj pomyślałam, że to mimo wszystko nie były lata stracone.

Od razu chciał wraz ze mną zakrzątnąć się przy kuchni. W pierwszym odruchu wypędziłam go, żeby umył ręce. Niezrażony, uśmiechnął się i posłusznie wykonał rozkaz. Wychodząc z łazienki, podwinął rękawy koszuli i z zapałem zabrał się do odcedzania makaronu. W tym czasie kończyłam doprawiać sałatę. Otwarł zręcznie wino i znowu poczułam ukłucie... zazdrości, że nie jest już moim mężem. Rozwód przeprowadziliśmy błyskawicznie, bez orzekania o winie, gdyż byliśmy zgodni co do tego, że nie warto publicznie prać wspólnych brudów. Kiedy delikatnie mieszałam w szklanej misce, podszedł, wziął ode mnie łyżkę i skosztował.

– Dodałbym jeszcze oliwy... Mogę? – Wskazał na butelkę.

Ogarnęło mnie dziwne wzruszenie. Jakby czas się zatrzymał, a raczej cofnął. Oto byliśmy razem... Trwaliśmy w przyjaznym milczeniu, od czasu do czasu dzieląc się jakimś wrażeniem. Kucharzyliśmy z zapałem, o jaki już dawno nas nie podejrzewałam. Przypomniało mi to nasze wspólne erotyczno-kulinarne wieczory, kiedy najpierw coś przyrządzaliśmy, na przemian śmiejąc się i próbując potraw a potem... konsumowaliśmy. Zazwyczaj przekształcaliśmy te czynności w maraton seksu. Zaczynaliśmy na stole, w kuchni, posilając się w trakcie ulubionymi owocami, wbijając zęby w soczysty miąższ i zlizując z naszych ciał spływające krople nektaru. To było narastające szaleństwo! Pożądania i intrygującej gry miłosnej, zabawy i pikanterii. Czerpaliśmy wzory od mistrzów, wspominając jeden z ulubionych filmów; staraliśmy się naśladować bohaterów, jednak zawsze wzbogacaliśmy te sceny o własne pomysły. Nasze łzy szczęścia i rozkoszy mieszały się ze smakami. Musztardy, bitej śmietany czy miodu, w zależności od tego, co znajdowało się pod ręką, jako składnik szykowanej potrawy. Oczywiście lądowaliśmy pod wspólnym prysznicem lub w wannie... gdzie przesyłaliśmy do siebie miłosne liściki w postaci przypraw, najczęściej korzennych. Laliśmy je do wody lub sypaliśmy na nasze ciała, nacieraliśmy się sokiem z cytryny lub masłem... i... kiedy nasz głód od nowa się wzmagał i... narastał... kończyliśmy sesją w obfitej pianie, która ma to do siebie, że każde ciało czyni śliskim i pachnącym... Biegliśmy potem nadzy do łóżka. To jeszcze nie był finał. Zaczynaliśmy jeść od nowa albo tylko kosztować z upodobaniem drobiazgów, mieszać je ze smakiem naszych ciał i zapachem pasji...

– O czym tak dumasz?

Jakbym się nagle przebudziła ze snu. Spojrzałam nieprzytomnie.

– Od jakiegoś czasu w ogóle mnie nie słuchasz...

– Przepraszam.

– Możesz zdradzić, co tak odmieniło twoją twarz?

Poczułam, że się rumienię jak pensjonarka. Spojrzał na mnie, nie kryjąc rozbawienia.

– To jakaś tajemnica? – Uśmiechnął się, skubaniec, zupełnie „jak dawniej", a ja szybkim ruchem głowy odpędziłam tamto wspomnienie.

– Nie myśl, że się złapię na tanie sztuczki!

Czar tamtego dawnego czasu odpłynął, zniknął. Pozostawił po sobie żal i przejmujące uczucie pustki. Zajrzałam do piekarnika. Polędwica w borowikach powoli dochodziła do stanu doskonałości, polałam wszystko roztopionym masłem, z wprawą i udaną obojętnością. Sypnęłam nonszalancko rozmarynem.

– Zanieś sztućce i talerze do jadalnego – rozkazałam, siląc się na spokojny ton. Myślałam, że to wystarczy, by mnie otrzeźwić i otrząsnąć z marzeń. Mój eks podszedł do mnie od tyłu, położył dłonie na moich biodrach, przesunął na piersi, poczułam jego gorący oddech na szyi...

– Co robisz? Zwariowałeś?!

– Założę się, że pomyślałaś o tym samym co ja.

– Daj spokój. Zapatrzyłam się tylko, jestem... być może jestem zmęczona tym wszystkim. Tylko tyle!

– Mnie nie oszukasz. Znam cię. Lepiej niż ty sama siebie znasz. Poza tym zawsze uważałem, że jedzenie jest jak seks, zbliża ludzi i cholernie podnieca, nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo. Fizjologia robi z nami, co chce.

Miej tu człowieku męża lekarza! Jeszcze chwila i zrobi mi wykład. Muszę zadziałać natychmiast. I skutecznie!

– A Stella? – Odtrąciłam jego dłonie, wyzwoliłam się z ramion i uchyliłam od pocałunków.

Jego oczy wyrażały najszczersze zdumienie.

– To się już dawno skończyło. Nawet porządnie nie zaczęło. Gdybyś nie wyjeżdżała bez końca... Jak możesz myśleć, że tamto miało jakieś znaczenie?!

– Dla mnie miało. Poczułam się oszukana i...

– Proszę cię, nie zaczynajmy kłótni, nim siądziemy do posiłku, mam ostatnio kłopoty z trawieniem i... – zaczął szukać po kieszeniach – moje tabletki! Czyżbym ich nie zabrał?

Złośliwie roześmiałam mu się prosto w twarz.

– Zaszkodziła ci pikantna kuchnia! Widocznie przeholowaliście ze świństewkami. Nie martw się, mam ziółka, zaparzę filiżankę, nim pojedziesz do domu.

– Nie mam teraz domu. Mieszkam z ojcem.

– Biedaku. Wykopała cię? Ją też zdradziłeś?

Wyraz jego twarzy kazał mi się zastanowić. Nie wydawał się zwycięski. Był raczej przygnębiony. Może w końcu zaczął się starzeć, jak tylu innych. A ja? Czy ten czas po rozwodzie niósł ze sobą jakieś pozytywy? Czy odnalazłam bez Mikołaja lepsze życie? Byłam sama, moja egzystencja karmiła się dopieszczaniem straconych złudzeń i dozowaniem złośliwości, którymi raczyłam byłego męża. Znajdowałam radość w dręczeniu go. W dostarczaniu coraz to nowych pretekstów do sprzeczek. Unikaliśmy się, tylko dzieci stanowiły ogniwa łączące. Chociaż... czy aby na pewno? Ten moment wspomnień uświadomił mi, jak byliśmy sobie bliscy. Nadal. Bezwstydni, spragnieni siebie... Nieprzytomni z zazdrości, wpadający w pułapki podejrzeń. Po każdej ostrej wymianie zdań następował rozejm. A potem... pertraktowaliśmy warunki pokoju. I zawieraliśmy go. Dlaczego ten jeden raz okazało się to niemożliwe? A może... jednak nie? Warto spróbować?

– Wciąż wydajesz mi się tak samo pociągająca i... pachniesz... zniewalająco – owionął mnie jego szept, tak dawno nie słyszany pomruk zadowolenia.

Może z nas dwojga to ja powinnam zdobyć się na rozsądek? Tak, powinnam odtrącić go i zacząć przemawiać zgodnie z niepisanym regulaminem byłych małżeństw, które łączą wyłącznie wspólne interesy.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo tęskniłam przez te wszystkie noce, z jakąś potwornie nudną książką do towarzystwa, w pustym łóżku... – ze zdumieniem dotarły do mnie moje własne słowa. Wydawało mi się, że stoję obok i nie panuję nad własnymi emocjami, nie potrafię ich kontrolować. Mignęła mi przez moment tamta para młodych, z parku. Zupełnie tak, jakbym zaczęła przejmować ich zauroczenie.

Mikołaj spojrzał na mnie z czułością i poczułam, że roztapiam się jak ser na toście. Moje wnętrzności ruszyły windą w dół i zjechały na parter, ściśnięte razem, jak gołąbki w sosie pomidorowym. I ogarnęła mnie nagła fala pożądania. Przygarnęłam go do siebie, sekundę wcześniej lokując się na blacie stołu, obok obranych warzyw i sparzonych skórek pomidora w szklanej salaterce. Zdecydowanym ruchem poluźniłam mu krawat i po chwili oboje zdejmowaliśmy mu przez głowę nierozpiętą do końca koszulę.

Rzuciłam okiem na obnażony tors. Bożeńciuuuu... Nie mogłam pozostać obojętna na te muskularne ramiona i wysklepioną klatkę piersiową, na zwarty opalony brzuch i ciemnowłosą ścieżkę rozkoszy, zmierzającą wprost do rozporka, który właśnie rozpinałam. W moich stringach zawrzało. Koronki wpiły mi się w tyłek, toteż zapragnęłam zrzucić to irytujące naśladownictwo majtek jak najprędzej! Po chwili on przejął inicjatywę. Zaczął się jak zwykle mocować z zapinką biustonosza i wywołał tym u mnie napad niekontrolowanego, głupiego chichotu. Niezniechęcony zmagał się jeszcze moment, po czym uwolnił moje piersi z okowów cywilizacji i ocenił szybkim spojrzeniem stan aktualny. Były pełne, ale nie obwisłe, dokładnie mieściły się w jego dłoniach i miały niewielkie poziomkowe brodawki. Przywarł do nich ustami, zsunąwszy się do poziomu mojego obojczyka, i zaczął delikatnie muskać koniuszkiem języka moją nadwrażliwą z pożądania skórę. Raz po raz wywoływał tym dreszcz rozkoszy. Nie chcieliśmy niczego przyśpieszać, od nowa się poznawaliśmy i była to cudowna eksploracja lądu, niby znanego, a jednak pełnego słodkich niespodzianek. Nie przeszkadzał nam zupełnie fakt, że pieczeń lada moment zacznie się przypalać... i wcale nie korzystaliśmy w pieszczotach z rutyny przeżytych razem lat! Od nowa wstępowaliśmy na drogę wyszukanej gry wstępnej, unikając ścieżek na skróty.

– Jesteś cudowna...

Nie czekałam na żadne słowa, nie potrzebowałam ich. Zyskałam przez minione miesiące pewność swojej kobiecości. Widziałam wzrok innych mężczyzn, kokietowałam, czując, że nie krępują mnie więzy małżeńskie i wreszcie poczułam się kobietą. Wiedziałam, jak podsycić żar. Jak sprawić, by nie przekształcił się w kopcący płomień. Staraliśmy się oboje, ciągle od nowa porażani strumieniem wrzącej krwi, która szalała w naszych żyłach niczym buchający fontanną gejzer. Świadomość, że oboje czujemy to samo, była stymulująca bardziej niż kurs Kamasutry. Nie potrzebowaliśmy

potwierdzenia swojej wzajemnej mocy i zaangażowania. Nie musieliśmy nawet patrzeć sobie w oczy! Ten cudowny stan ekstazy trwałby pewnie długo jeszcze, gdyby nie gorzkawy swąd spalonego mięsa i grzybów, wydobywający się podstępnie z piekarnika. To nas brutalnie rozdzieliło i przywróciło do stanu świadomości. Rzuciłam się w jednej nogawce dżinsów, by uchylić szklane drzwiczki. Kłąb gryzącego dymu uderzył mnie prosto w oczy, wywołał atak kaszlu. Odezwał się czujnik dymu. Jednocześnie zadzwonił telefon. Mikołaj, również nagi, podbiegł do okna, ja włączyłam przytomnie wentylator i uruchomiłam okap kuchenny. Niestety, potrawy nie dało się uratować. Walczyliśmy ze skutkami dymu i zapachem spalenizny, jednak niewiele mogliśmy zdziałać. Wyniesienie całej brytfanny do zsypu pomogło o tyle, że wietrzenie mieszkania mogło za kilka godzin przynieść jakiś rezultat. Tymczasem oboje poszliśmy pod prysznic... A potem... Tylko po co ja to wszystko opowiadam?

*

Mikołaj wprowadził się do mnie po dwóch tygodniach. Jak dotąd nie podjęliśmy decyzji co dalej, w sensie małżeństwa. Dzieci są znowu szczęśliwe! Dla nich to była długa podróż ojca, z której na szczęście do nas wrócił.

Wcale tego nie zaplanowałam...

Oczy szeroko otwarte

Andrzej Paczkowski

Jadąc autobusem, wpatruję się w mijane za oknem z szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę krajobrazy. Co chwilę zmienia się ukształtowanie terenu, zmieniają się domy, widoki. Zmieniają się chmury na niebie, pędzące prędko, poganiane silnym wiatrem. Chmury są jak ludzie, zmieniają się pod wpływem nacisku, idą w stronę, w którą spycha je wiatr, nie mogąc się mu przeciwstawić; pojawiają się i znikają, przybierając najdziwniejsze kształty. Czasem są szare jak nasze myśli, a czasem białe i czyste jak pióra gęsi dryfujących po niebie.

Mijane domy są szare, nijakie, zasypane śniegiem. Gdzieniegdzie łyse drzewa z powyginanymi konarami, pnącymi się na wszystkie możliwe strony w górę, do nieba, łaknące światła. Drzewa też przypominają ludzi – niby stoją mocno na ziemi, ale wystarczy silny podmuch, uderzenie pioruna, siekiery, by złamały się wpół...

Ściemnia się, powoli sypie śniegiem. To długa i mroźna, szara zima. Teraz w szybie widzę odbicie swojej twarzy, troszkę zniekształcone przez brak światła i brud osiadły na przezroczystym szkle. Patrzę sobie w oczy, przez które przesuwa się świat.

Jestem zmęczony życiem, choć mam dopiero dwadzieścia osiem lat. A może już mam dwadzieścia osiem lat! Żyjąc w epoce kamienia łupanego, niewiele dzieliłoby mnie od śmierci, pewnie wyglądałbym jak bezzębny staruszek, z siatką zmarszczek na powykrzywianym ciele. Może nasze ciała wyglądają młodziej, ale szybciej starzeją się nam dusze? Może praludzie mieli szczęście, posiadając szybko czerstwiejące ciała, adekwatnie do starzenia się ich niewidzialnej duszy?

Jestem dziwnym typem człowieka. Niby mężczyzna, a jednak potrafię rozpłakać się na widok padającego z nieba śniegu. Czy to aby normalne?

Świat jest tak niewysłowienie piękny, czas dany nam do życia tak bardzo krótki...

Autobus zatacza w prawo, kierujemy się coraz bardziej na wschód. Jadę już ponad dwie godziny. Powoli zmieniają się budynki, wyraźnie widać ich specyficzną architekturę. Wielkie miasta od zawsze otaczają charakterystyczne domy, jakby małe zameczki dla zwykłych ludzi. A miasto, do którego jechałem, było pod tym względem szczególne. Bo Kraków od zarania wyróżniał się zupełnie inną, swoistą atmosferą.

Mija nas wiele samochodów, ludzie nieustannie się spieszą. Ja również należę do grupy tych spieszących się ludzi. Zmieniający się świat kieruje nami wedle swego uznania; każe nam przyspieszać, bo sam gna w zastraszającym tempie. Biegnij i ty, mówi, nie zostawaj w tyle, bo jeśli się spóźnisz, zabraknie w tym świecie miejsca dla ciebie... Więc pędzę na złamanie karku, a co otrzymuję w zamian? Samotność i pustkę – w życiu człowieka, który posiada rodzinę i przyjaciół. Może lepiej być opuszczonym naprawdę niż opuszczonym wśród bliskich...

Tak jak zmieniają się znaki na drodze i mijające nas samochody, tak w mojej głowie zmieniają się myśli. Zastanawiam się nad swoim życiem, nad pogodą, a raz po raz moją uwagę przykuwa jakiś ciekawie wyglądający budynek. Taki dom chciałbym mieć, lub tamten ze skośnym dachem, albo ten z wielkim ogrodem – tu w lecie z pewnością przyjemnie spędza się czas. Wybieranie domu to miła rozrywka, acz jałowa – na więcej niż marzenia nie mogę sobie pozwolić, bo nie stać mnie nawet na kupno samochodu.

Moja sytuacja materialna nie jest godna pozazdroszczenia, ale nie skarżę się; przecież tysiące ludzi, czy to z własnego wyboru, czy też z przyczyn obiektywnych znajduje się, lub kiedyś się znajdzie, w znacznie gorszej sytuacji.

Czasami autobus natrafia na dziurę w jezdni, czasem coś szarpnie, kiedy indziej coś zachrzęści, jakbyśmy przejechali kota przyczajonego na środku drogi; niekiedy znów pojazd wydaje z siebie szeroką gamę dźwięków, niczym fortepian, z którego zdolny muzyk potrafi wydobyć w każdych warunkach dziesiątki przedziwnych, intrygujących odgłosów. Jest ciepło i przyjemnie, a z przodu, od strony miejsca kierowcy, dochodzi pasażerów cicha muzyka płynąca z radia. Piosenka nadaje się idealnie do słuchania w

taki dzień: spokojna, nastrojowa, nawet senna. To pastorałka w wykonaniu Hanny Banaszak.

Wreszcie pojawia się Wisła, nasza rzeka ukochana, romantyczka, kołyska dusz, opiewana w wierszach i poematach. Wisła – rzeka spełnionych marzeń. Pamiętam, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem. Stałem wtedy poniżej zamku, patrząc na kaczki i łabędzie sunące niczym małe statki po gładkiej powierzchni lśniącej tafli. Obok tysiące gołębi zlatywało się na brzeg, by zaczerpnąć z niej wody, by się ochłodzić. A ja stałem i patrzyłem, jak lśni w słońcu – tego dnia było niezwykle słonecznie – w całej swej krasie. I już wtedy rozumiałem, że jest niezwykła. Nie sposób przejść obok niej obojętnie, nie zatrzymując się choć na chwilę, by zanurzyć w niej rękę, stając się częścią tego cudu. Bo gdzież płynęła jeszcze wczoraj ta woda, obmywająca dziś moją rękę? Czyje oczy napawały się jej pięknem, czyje dłonie pieściła swym chłodnym dotykiem? Ilu ptakom pozwoliła ugasić pragnienie i nasycić głód? Ile widziała, będąc w biegu, płynąc krętymi korytarzami, przecinającymi nasz kraj?

Kiedyś, w innym wcieleniu, musiałem urodzić się i mieszkać w Krakowie. Nigdzie indziej. Kocham to miasto miłością wielką i beznadziejnie niezmienną. Nie znajduję innego wytłumaczenia dla tej tęsknoty nieustannie palącej się we mnie, dla tego stanu podobnego do zakochania, dla chęci płaczu... Tak, za każdym razem gdy widzę Kraków, łzy napływają mi do oczu. Tu kiedyś tak wiele się wydarzyło, tu przecież był mój świat, tu kiedyś toczyło się moje życie...

Przedświąteczny dzień, dwudziesty trzeci grudnia, dzień przed Wigilią. Wysiadam na przystanku pełnym ludzi, bo to wielkie miasto, tętniące życiem. Tutaj też czas biegnie szybko, nie zatrzymuje się. Tutaj wszystko się zmienia, a jednak wiele pozostaje bez zmian.

Zimno. Patrzę na ludzi śmiejących się do siebie, trzymających za rękę, z ich ust i nozdrzy wylatują kłęby pary. Nachodzi mnie myśl, że zimą stajemy się podobni do koni. W pamięci odtwarzam polskie filmy, w których widziałem konie zimą, jak parskały, wydychając z siebie parę. Tak samo jak my...

Po około piętnastu minutach zatrzymuję się nad Wisłą. Panuje tutaj większy mróz, ciągnie od wody, szczypią mnie policzki. Jak dobrze, że mam czapkę na głowie! A potem spoglądam na Wawel i do oczu napływają mi łzy. Może to od panującego mrozu. A może znów ogarnia mnie ten

nieznośny, niemęski sentyment. A może to coś zupełnie innego, powód, dla którego tu przyjechałem...

Nie potrafię zbyt długo wpatrywać się w rzekę i zamek, wiatr jest lodowaty, zacina śniegiem. Gdzieś w oddali widzę grupę ludzi fotografujących się z uśmiechami na twarzach. Kiedyś i ja w takich grupach przemierzałem Kraków. Wydaje mi się jednak, że od tamtych czasów minął cały wiek. Może było to w innym życiu...

Przyjechałem tu z bardzo ważnego powodu. Pojutrze Boże Narodzenie. Te Święta spędzę sam. Inaczej...

Okrążyłem Wawel i skierowałem się do jednej z dziesiątek knajp, by napić się gorącej herbaty. Zamówiłem też zupę. Zewsząd dobiegały kolędy, wprawiając ludzi i mnie w miły nastrój. Knajpa również rozbrzmiewała świąteczną muzyką, wesołą. Moja ulubiona piosenkarka Katarzyna Skrzynecka właśnie „oszalała” z aniołami.

Po jakiejś godzinie znalazłem się w hotelu. Pozwoliłem zamówić sobie trochę lepszy pokój niż zazwyczaj. To z racji Świąt. Taki prezent dla mnie, od samego siebie. Zimno nie nastrajało do wychodzenia na zewnątrz, dlatego włączyłem radio, uszykowałem sobie gorącą kąpiel w wannie pełnej piany i z lampką wina zanurzyłem się w błogim cieple. W ręce pojawiła się książka Dickensa *Opowieść wigilijna*, którą zaczytywałem się rok w rok, posiadała bowiem odpowiedni klimat. I tak było dobrze. Pomyśleć, że gdyby Dickens nie miał długów, książka prawdopodobnie nigdy by nie powstała!

Gdzieś tam, setki kilometrów stąd, znajduje się moja rodzina. Pewnie przygotowują się do jutrzejszego dnia. Matka kochała Święta, sprzątała już od tygodnia, ze sklepów taszczyła do domu torby pełne zakupów, przy których czasami należało jej pomagać. Ojciec piekł (tak, piekł!) pyszne ciasteczka, według przepisu swojej mamy i nie pozwalał nam się do tego mieszać. Pieczenia nauczyła go babcia, a dla nas stało się to tradycją. Już wczoraj w wielkiej misce pływał karp. Nie jadałem karpia, dlatego dodatkowo mama przygotowywała filety rybne w specjalnym pomidorowo-warzywnym sosie. Dziś gotuje kapustę z grochem i grzybami, zasmażaną, czerwoną kapustę, którą wszyscy uwielbialiśmy, oraz pyszną moczkę z piernika i owoców, którą robi się u nas na Śląsku. Makówek szykuje zawsze dwie miski, aby nie zabrakło, i oczywiście bez rodzynek, bo nie lubiłem ich smaku. Siostra pomaga piec kołacz z serem i taką wyjątkową w

smaku posypką. Jako dzieci zawsze wyjadaliśmy posypkę, tak bardzo nam smakowała, a mama z udawaną złością starała się nas odganiać od ciasta. Delikatnie uderzała nas po rękach, mówiąc:

– Niechej to!

Tak zwracała się do nas babcia, kiedy jeszcze żyła. Bo choć przez całe życie mieszkała w Krakowie, to jednak pochodziła ze Śląska, a rodzimej gwary się nie zapomina.

W garnku moczy się już groch, a wieczorem tata zajmie się rybą, którą trzeba będzie wypatroszyć, podzielić na porcje, zamarynować w cebuli i cytrynie, by zgubiła swój specyficzny zapach.

Wiem również, jak to przebiegnie jutro: mama ugotuje wcześniej zupę, tata przygotuje śledzie w „pierzynce", siostra będzie wyczekiwała swojego chłopaka, który w tym roku miał przyjść do nas na wigilijną kolację po raz pierwszy. W kuchni oczywiście będzie grało radio – to mama włączy je z radością. Tak bardzo lubi śpiewać kolędy! Potem przypomni sobie, że należałoby jeszcze upiec, tak na szybko, piernik. Albo krzyknie:

– Julka, pędź do sklepu, nim zamkną! Trzeba dokupić migdałów!

I siostra z westchnieniem wyjdzie z pokoju, i zacznie nakładać kurtkę...

Tata pójdzie parę razy wyrzucić śmieci, przyniesie węgiel na zapas, by nie zabrakło na wszystkie dni Świąt i nie trzeba było schodzić do zimnej piwnicy. No, chyba że po jabłka, leżące poukładane na drewnianych stojakach...

A potem jeszcze gotowanie ziemniaków, panierowanie karpia i filetów, smażenie, przygotowanie stołu, opłatków, misy z owocami i orzechami oraz, ma się rozumieć, pakowanie prezentów.

Wreszcie wszystko będzie gotowe i nastanie miły wieczór z kolędą w tle, uśmiechami na twarzach i radością w sercach.

Mnie tam zabraknie. Tego roku będę w zupełnie innym miejscu.

Rankiem w dzień Wigilii wstałem o dziesiątej. Za oknem nadal sypał śnieg. To dobrze, są Święta, więc niech pada. Nie spieszyłem się, bowiem wszystko, czego potrzebowałem, znajdowało się w walizce. Zjadłem obiad, dla zagrzania poleżałem jeszcze raz w wannie, wypiłem grzańca i około szesnastej opuściłem hotel. Spokojny marsz trwał pół godziny. A potem dotarłem na miejsce przeznaczenia.

Stałem przed wejściem na Cmentarz Rakowicki. To tutaj chciałem spędzić tegoroczną Wigilię. U najbliższej mi osoby na świecie, choć fizycznie nie było jej już między nami.

Przeszedłem przez bramę, potem podążyłem zasypaną śniegiem alejką. Obok grobu Lasockich znajdowało się przejście, w którym mieścił się grób zupełnie zasypany białym puchem. Wyglądał niczym ogromna puszysta kula. Ubrałem zbyt niskie buty, więc srebrzący się puch wciskał się w nie przy każdym kroku. Nie miało to jednak znaczenia.

Gdybym nie wiedział, gdzie szukać grobu, nie odnalazłbym go w tej bieli; napisy, zdjęcia, kwiaty, wszystko poznikało. Oczyściłem tablicę i moim oczom ukazał się wykuty w kamieniu pozłacany napis:

Barbara Kulicińska – ur. 24.12.1900 – zm. 24.12.1993.

Moja babuszka. Moja kochana babuszka...

Już rok nie było jej z nami. Jaki długi wydawał się ten rok bez niej. Mówi się, że czas leczy rany i coś w tym jest. Jednak uściśliłbym, że leczy, ale blizny pozostają na zawsze. Taką blizną stała się dla mnie śmierć babuszki. Kochałem ją całym sercem. Miałem prawie trzydzieści lat, a tutaj czułem się, jakbym nadal był dzieckiem. Przy babci zawsze byłem dzieckiem. Kochanym. Przytulanym. Babcia przychyliłaby mi nieba, gdyby potrafiła. Przyjeżdżałem do niej do Krakowa na wszystkie wakacje; nawet po ukończeniu szkoły tradycja przetrwała – nie chciałem jechać nigdzie indziej, tylko do babuszki.

Przysiadłem i ręką w rękawiczce odśnieżyłem grób. Wyjąłem z torby czerwony znicz i zapaliłem, ustawiając go pośrodku. Potem wyciągnąłem gruby koc i otuliłem się nim, żeby nie zmarznąć.

– Tę Wigilię spędzimy razem, babciu – szepnąłem.

Pamiętam te długie rozmowy przy kieliszku jej ulubionej nalewki orzechowej. Babcia, mimo upływu lat, zachowała niezwykle czysty i otwarty umysł. Czasem kręciła głową, przyglądając się w sklepie nowościom technologii, ale mówiła:

– Taki już jest świat, Marcinku. Zmienia się. Nieustannie się zmienia. Kiedy byłam mała, te wszystkie wspaniałości nikomu nawet się nie śniły. Teraz to normalne. Ale tak ma być. Świat musi iść do przodu. A ze światem my.

I dokonywała zakupu najnowszego modelu odtwarzacza DVD. Lubiła oglądać stare filmy...

Siedząc przy grobie, opowiadałem babci o tym, co chowałem w sercu. Ona rozumiała wszystko: mój smutek, moją inność, mój sposób myślenia i postrzegania świata.

– Może nikt cię nie zrozumie, ale babcia zawsze. Bo jestem taka jak ty. Ta sama krew.

I to była prawda.

Z początku mama protestowała, gdy zakomunikowałem jej, gdzie spędzę Gwiazdkę w tym roku.

– Rodzina na Święta powinna być razem.

– Dlatego jadę do babci!

– Ojciec się wścieknie – westchnęła.

– Wierzę, że mu to jakoś wytłumaczysz.

Matka popatrzyła na mnie i widząc mój upór oraz twarde postanowienie malujące się w oczach, odpowiedziała:

– Jakoś będę musiała.

Mama miała dobry wpływ na ojca. Odbyło się bez problemów.

Ściemniło się. Boże, jaki spokój na tym cmentarzu! Śnieg spływał z nieba tak powoli, tak spokojnie, delikatnie. Jak pióra aniołów, pomyślałem. Otula mnie i wszystkie smutne, samotne nagrobki. Może w ten sposób Bóg troszczy się o groby swoich dzieci w zimie, okrywa je pierzyną chwilowego zapomnienia...

Zjadłem kanapkę. Popiłem nalewką. Nie tą od babci, bo tej już nie było. Tę kupiłem w sklepie. Rozgrzała mnie trochę. Dobrze, że nie wiał silny wiatr.

Nigdy nie zrozumiem, dlaczego tak bardzo mi brak mojej babuszki. Co w niej było takiego, że przyciągała mnie do siebie, że potrafiłem znaleźć z nią wspólny język? Pamiętam jej niezwykłe, wszechwiedzące oczy osoby starej. Zawsze bałem się starości, ale jeżeli kiedyś się zestarzeję – bo może umrę młodo – chciałbym mieć w sobie tyle mądrości, siły, radości, co moja babcia. Chciałbym żyć jak ona. Nie bać się. Rozumieć świat!

Od czasu pogrzebu często spoglądam w niebo. Często mówię do niej, patrząc w chmury, ale oczywiście ona milczy. Pomimo wszystko wierzę, że mnie słyszy. Mówię do niej każdego dnia:

– Babciu... tak mi ciebie brak...

I czasem odnoszę wrażenie, że coś gładzi mnie po twarzy. Może to tylko podmuch wiatru, a może tym wiatrem jest właśnie ona...

Dlaczego ludzie muszą umierać? Przechodzić przez to wszystko? Dlaczego nic nie może trwać wiecznie?

Babcia miałaby dzisiaj urodziny. Dziewięćdziesiąte czwarte.

Ściemniło się zupełnie, a wtedy...

Coś się poruszyło nieopodal mnie. Zagrała melodia. A więc nie byłem tu sam! Biała kula poruszyła się jakieś dziesięć metrów ode mnie. Przed moimi oczyma wyrosła nagle sylwetka dorosłej osoby, otrzepującej się ze śniegu. Osoba ta wyciągnęła świecący niebieskawym światłem telefon, popatrzyła na ekran i wyłączyła. Potem powróciła do swej poprzedniej pozycji.

Spojrzałem na swoją komórkę. Godzina dziewiętnasta. A więc jestem tu już od przeszło trzech godzin! Przemarzłem, nos mi się pewnie zaczerwienił, buty – kupione na wyprzedaży! – przemokły. Czas się zwijać.

Przeszedłem z powrotem na dróżkę i już miałem odejść, gdy dobiegło mnie ciche łkanie. Zerknąłem w kierunku pobliskiego grobu i odruchowo skierowałem się w stronę płaczącej przy mogile osoby.

– Przepraszam... – zacząłem niepewnie. – Czy... czy mogę w czymś pomóc?

Spojrzały na mnie najnieszczęśliwsze oczy na świecie. Kobieta o twarzy anioła przyglądała mi się, po jej policzkach płynęły łzy. Podałem jej chusteczkę.

– Mnie nie można już pomóc – padła cicha odpowiedź. – Nikt nie zrozumie...

– Postaram się zrozumieć. Miałem dobrego nauczyciela. – Pokazałem ręką grób babuszki.

– Kto to?

– Moja babcia – odpowiedziałem, a potem, nie zastanawiając się, odruchowo dodałem: – Bardzo mi jej brakuje...

Patrzyła na mnie w milczeniu. Kiedy myślałem, że już się nie odezwie, usłyszałem jej głos:

– Tu leży moja mama. Miałam tylko ją. Zmarła przed trzema miesiącami.

– Przykro mi.

Naprawdę było mi jej żal. Nagle poczułem ogromną ochotę, potrzebę wręcz, by jej jakoś pomóc.

– Może... może pójdziemy razem się czegoś napić?

Zastanawiała się chwilę, po czym skinęła głową.

Ruszyliśmy w stronę światła i życia. Z okien domów patrzyły na nas migające, ozdobione bombkami choinki, czasem owionął nas zapach pieczonej ryby czy ciasta, czasem zabłąkał się w naszą stronę cichy ton kolędy. Tu ludzie siedzieli przy stole, tam śmiało się dziecko. Droga przed nami była zupełnie pusta. Milczenie nie trwało długo.

– Może się przedstawię: Marcin jestem.

– Ilona.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i rozmowa potoczyła się łatwiej. Zaprosiłem ją do swojego hotelu, gdzie przywitało nas ciepło i muzyka sącząca się z radia. Rozebraliśmy się i rozgrzaliśmy nalewką, potem winem. Ilona opowiedziała o swoim życiu. O nieustannej tułaczce z mamą, o ojcu hipokrycie, wreszcie o śmierci matki. Ja odwzajemniłem się opowieścią o kochanej babuni. Okazało się, że wiele nas łączy, mamy wspólne zainteresowania, na przykład oboje namiętnie słuchamy Lipnickiej.

– Mama mówiła, bym się nigdy nie poddawała.

– Babcia mówiła, że nikt nie zna swojego losu, ale że zawsze we wszystkim jest sens.

– Mama mówiła, że kiedyś pojawi się ktoś, kto się mną zaopiekuje i zdarzy się to w najmniej oczekiwanym momencie...

– Babcia mówiła, bym nigdy nie zaprzepaścił okazji, kiedy los sam postawi mi na drodze szczęście.

– Mama prosiła, bym była dobra, ludzi nie krzywdziła, sercem patrzyła.

– Babcia – bym miał oczy szeroko otwarte i łapał okazję jak byka za rogi...

Mieliśmy wiele wspólnego i poczuliśmy do siebie sympatię od pierwszego wejrzenia.

Zostaliśmy razem.

Pokochałem Ilonę miłością szaloną i nieokiełznaną.

Ilona znalazła we mnie opiekuna. Mama twierdziła, że „ta dziewczyna nie widzi poza tobą świata”.

I była to prawda.

W niecały rok od naszego spotkania pobraliśmy się. Zamieszkaliśmy w Krakowie. Święta Bożego Narodzenia były dla nas wyjątkowo ważne, ponieważ wtedy poznaliśmy się i zakochaliśmy w sobie do granic możliwości.

Bo właśnie w Wigilię spotkały się dwie obce osoby, dwa samotne serca. W najmniej oczekiwanym czasie i miejscu.

Ilona patrzyła wtedy sercem.

A ja miałem oczy szeroko otwarte.

I złapałem szczęście za rogi!

„Chlapa, szaruga i wiatr”

Jan Siwmir

– Jingle bells, jingle bells, jingle all the way – podśpiewywał Janek, stojąc przy oknie z rękoma w kieszeniach.

– Miesiąca do Świąt brakuje, a ty już kolędy śpiewasz? – zdziwiła się Zuza.

– Jakie tam kolędy – zaprotestowała Ania. – O śniegu i jechaniu saniami to nie kolęda.

– Śnieg wywołuję. – Chłopak przylepił nos do szyby. – Bo ta przedwczesna wiosna mnie irytuje. Chlapa, szaruga i wiatr. Żyć się nie chce.

– Jak komuś żyć się nie chce, to ani śnieg, ani słońce, ani tony złota nie pomogą. Tu – Kornelia popukała w ekran monitora, na którym kończyła czytać „Oczy szeroko otwarte” – śnieg i mróz wprawiały faceta w przygnębienie.

– Ale co ty mówisz? – zaprotestowała Ania. – Nie pogoda wprawiała go w przygnębienie, przecież twierdził, że świat jest piękny!

– Nie kłócić się! – Janek odszedł od okna. – Z okładką coś wiadomo?

– Wiadomo. Są trzy projekty. – Zuza odwróciła ekran monitora w kierunku pozostałych członków redakcji. – Jeden z ostami i sercem, drugi przedstawiający Penelopę i faceta w kajdanach, trzeci z kopertą i rękopisem.

– Co to jest?! Kto to serce malował?! – jęknął chłopak, oglądając ze wstrętem kolorowe paskudztwo.

– Nie wydziwiaj, projekt szefa.

– Piękny – cmoknął Janek z uznaniem. – Ale uzyskanie jakiegokolwiek patronatu będzie mocno problematyczną sprawą.

– Nie twoje zmartwienie, słonko. – Mrok zmaterializował się w wejściu.

– Słonko?! – Pracownicy redakcji zastygli w osłupieniu.

– Znaczy... nie twoje zmartwienie, chłopcze. Przejęzyczyłem się. – Naczelny ukrył rumieniec, siadając przy komputerze.

– To ja zrobię panu kawy – dała o sobie znać Patrycja.

Ania z Zuzą westchnęły i pokiwały głowami. Obie przesłały do szefa swoje opowiadania i wolały nie komentować niczego, dopóki ich nie przeczyta.

Między sztormami

Anna Pasikowska

Sztormowe fale wdzierały się po same wydmy, jak gdyby bałtycka plaża była wrogiem, którego muszą zniszczyć. Na drewnianym pomoście siedziała młoda kobieta i nic nie robiąc sobie z szalejącej aury, z kropelek bryzy smagających twarz, przesiąkających przez ubranie, wdzierających się we włosy, patrzyła w dal.

Beata uwielbiała morze, ten nieokiełznany żywioł, który dawał jej siłę, od kiedy tylko pamiętała.

Po ukończeniu liceum wyjechała do Poznania na studia. Skończyła je i zamieszkała z dala od rodzinnego domu. Ale często przyjeżdżała do rodziców, do starego przedwojennego pensjonatu w Międzyzdrojach, będącego własnością rodziny od dziesięcioleci. Położony na uboczu wielkiego kurortu, z dala od gwaru i zgiełku, cieszył się dużym powodzeniem u wczasowiczów. Był oazą odseparowaną od gwaru dyskotek oraz od podejrzanego towarzystwa, błąkającego się nocami po mieście.

Siedziała i myślała, co będzie teraz, kiedy została z tym wszystkim całkiem sama. Pół roku temu rodzice i siostra pojechali na wycieczkę do Francji. Niestety, nie wrócili z niej żywi; autokar, którym podróżowali, spadł w przepaść na jednym z górskich zakrętów. Z dnia na dzień straciła najbliższe jej osoby.

Po pogrzebie musiała zająć się sprawami formalnymi. Na szczęście rodzice cały majątek przepisali na córki, więc nie trzeba było włóczyć się po sądach i załatwiać spraw spadkowych. Odziedziczony majątek stanowił jednak spory problem. Okazało się, że krótko przed tragedią państwo Zenderowie wzięli ogromny kredyt na remont pensjonatu. Budynek był zabytkowy, więc wszelkie zmiany musiał akceptować konserwator zabytków, a to zwiększało koszty.

Gdy nieco otrząsnęła się z szoku, postanowiła, że będzie kontynuować dzieło rodziców i poprowadzi pensjonat samodzielnie. Jakież było jej zdziwienie, kiedy okazało się, że rata kredytu zdecydowanie przerasta przychody. Popadała w coraz większe długi, nad którymi w pewnym momencie nie mogła już zapanować.

Obłożenie pokoi nie było już takie, jak jeszcze parę lat temu, standard się polepszył, więc i ceny się podniosły. Ale społeczeństwo nie bogaciło się, tylko biedniało. Na dodatek nowych obiektów, konkurencyjnych, pojawiło się ostatnio bardzo wiele. Wszystko to razem spowodowało, że sytuacja zrobiła się beznadziejna.

„Boże, jak ja będę bez tego żyła?" – zastanawiała się, siedząc na pomoście i wpatrując w spienione grzywy fal, tańczące w rytm wiatru niczym zwiewne baletnice w *Jeziorze łabędzim*.

Pensjonat został wystawiony na sprzedaż, choć obawiała się, że szybko amatora na tak drogą nieruchomość nie znajdzie. Trzy miliony złotych to i tak była cena niemal dumpingowa – za taką ogromną, zabytkową, wyremontowaną willę, na dokładkę w jednym z lepszych polskich kurortów. Ale Beacie nie zależało na zarobku, chciała tylko spłacić długi, a przy odrobinie szczęścia za resztę pieniędzy pojechać na wakacje. W Poznaniu miała mieszkanie, z pracy w banku co prawda zrezygnowała, ale jakoś nie martwiła się, że zostanie bezrobotna; wiedziała, że musi sobie poradzić.

Sprzedażą pensjonatu zajmowało się biuro Darka, jej dawnego kolegi z czasów szkolnych. Wczoraj zadzwonił z wieścią, że ma potencjalnego kupca. Beata zbytnio się tym nie przejęła, bo wiedziała, że pierwszy zainteresowany z pewnością nie kupi. Przyjedzie, pomarudzi i odjedzie w siną dal.

Był wrzesień, sezon się skończył. Turystów prawie wywiało, w przenośni i dosłownie. Beata marzyła, by udało się sprzedać willę jeszcze przed zimą. Czuła się źle z myślą, że pozbywa się tego, co było dla niej najważniejsze, co stanowiło sens życia jej rodziców, ale nie miała wyboru; komornik nie dawał o sobie zapomnieć.

Zaczynało padać coraz mocniej. Wstała i spojrzała na zegarek. Zadzwonił telefon.

– Cześć Beatko, pan Warecki będzie za godzinę. Co u ciebie?

Darek od dłuższego czasu podkochiwał się w Beacie. Czasami udawało mu się gdzieś ją zaprosić, ale ona traktowała go raczej jak przyjaciela. To jednak go nie zrażało i wszelkimi sposobami próbował wkraść się w łaski uroczej koleżanki.

– Nic, siedzę na plaży, wieje jak diabli, ale już wracam.

– Czyś ty zwariowała?! Wracaj natychmiast, bo się przeziębisz!

– Oj, mówię, że już idę. To czekam na was. – Trochę drażniła ją nadopiekuńczość Darka, ale nie miała nikogo innego, więc pozwalała mu, zdawała sobie z tego sprawę, na zbyt wiele troski.

Rafa, tak nazwali willę rodzice, była położona prawie na wydmach, a więc daleko nie miała, za pięć minut dotarła do siebie.

Weszła do holu, popatrzyła na stare drewniane schody, kryształowy żyrandol, pamiętający chyba jeszcze przedwojennych właścicieli, piękną dębową podłogę, świeżo wycyklinowaną.

Żal jej się zrobiło. „Żeby chociaż kupili cię przyzwoici ludzie – pomyślała – ale czy przyzwoici ludzie mają dzisiaj tyle pieniędzy?”

*

– Beata pozwól, to pan Tomas Warecki. – Darek przedstawił kupca.

– Dzień dobry – przywitał się niezbyt czystą polszczyzną mężczyzna. Był dość przystojny, średniego wzrostu, mógł mieć około czterdziestki.

Beata podała mu dłoń.

– O, jest pan obcokrajowcem? – zdziwiła się. – Nie uprzedziłeś mnie – zwróciła się do Darka.

– A czy to coś zmienia? – Tomas wypuścił dłoń Beaty, bacznie przyglądając się dziewczynie.

– Oczywiście, że nie. I jak się panu podoba? – zapytała zupełnie obojętnie. Nie wydawało jej się, żeby ten wymuskany goguś chciał kupić pensjonat. Pewnie się nudzi i ogląda co ciekawsze rezydencje nad Bałtykiem.

– Pozwoli pani, że o interesach porozmawiamy jutro?

Beata zrobiła zdziwiona minę.

– A o czym będziemy rozmawiać dziś, skoro już się pan fatygował?

– Chciałbym wynająć pokój na kilka dni.

– Żartuje pan? – ni to zapytała, ni to stwierdziła.

– Nie, dlaczego, a nie wolno? – Tomas roześmiał się, patrząc Beacie prosto w oczy, jak gdyby chciał ją przenicować spojrzeniem.

– Nie, no proszę bardzo, tylko byłam pewna, że zechce pan obejrzeć Rafę.

Tomas rozejrzał się po wnętrzu pensjonatu, uśmiechnął się.

– Już się rozejrzałem i to, co zobaczyłem, w zupełności mi wystarczy.

– Nie rozumiem – odparła nieco speszona stanowczym zachowaniem mężczyzny.

By ukryć zarumienione policzki, czym prędzej podeszła do szafki z kluczami. Zakwaterował Tomasa w najlepszym pokoju, jaki miała.

Sama z Darkiem usiadła w salonie.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytała.

– Nie, ale może mu się spodobało i chce odpocząć. – Darek zupełnie nie przejął się zachowaniem kupca.

– I powęszyć... – dodała z sarkazmem.

– Wiesz, właściwie to mu się nie dziwię, wcale niezły pomysł.

– No tak, jak ma wywalić tyle pieniędzy, to chce zobaczyć, czy warto.

Dopiero późnym popołudniem Tomas zszedł na dół. Beaty nie było, siedziała w ogrodzie i czytała. Zauważył ją przez drzwi tarasowe. Wyszedł.

– Mógłbym zaprosić panią na spacer po plaży?

Kobieta podniosła głowę znad książki; znowu ją zaskoczył.

– Właściwie dlaczego nie? Powinnam pokazać panu okolicę. Tym samym zachęcić do nabycia mojej nieruchomości. Dokąd ma pan ochotę pójść?

– Tam, w kierunku molo.

– No więc chodźmy.

Wyszli na plażę, sztorm ustąpił, deszcz przestał padać. Nawet zrobiło się ciepło.

– Mogę zapytać, skąd pan przyjechał?

– Tak, mieszkam w Szwajcarii.

Beata znowu zrobiła zdumioną minę.

– A do czego panu pensjonat w Polsce i to nad zimnym Bałtykiem?

– Bo lubię to morze, mam do niego sentyment – zdecydowanie odpowiedział Tomas. W pewnym momencie odwrócił się tyłem do kierunku wędrówki, ale przodem do swojej towarzyszki.

– Bo się pan potknie – ostrzegła z ironią w głosie.

– Poradzę sobie – odparł z uśmiechem. – Teraz przynajmniej mam ładniejszy widok.

– Skąd pan tak dobrze zna polski? – Wolała zmienić temat.

Mężczyzna roześmiał się głośno. Pokazał przy okazji garnitur białych zębów jak z reklamy specyfików do pielęgnacji jamy ustnej. W ogóle był takim luzacko młodzieżowym typem, o bujnej czarnej czuprynie, z włosami do ramion, dobrze zbudowanym, dobrze ubranym, pewnym siebie, taki raczej król życia niż szaraczek.

– No dobrze, powiem pani, bo i tak w końcu będę musiał. Willa, w której znajduje się pensjonat Rafa, była kiedyś, przed wojną, własnością moich dziadków... – urwał, bo Beata stanęła jak wryta, patrząc na niego zszokowanym wzrokiem.

– Żartuje pan?!

– Nie, mówię jak najpoważniej. – Uśmiechnął się znowu. – Moi rodzice próbowali nawet robić coś w tym kierunku, żeby własność odzyskać, ale kiedy się okazało, że pani rodzina jest pełnoprawnym właścicielem i że sprawy nie da się załatwić w taki właśnie sposób, to odpuściliśmy. Mama z ojcem wybrali się nawet dwa razy do Międzyzdrojów, obejrzeli dom z zewnątrz, wtedy był jeszcze bardzo zaniedbany, i tyle. Nawet nie weszli do środka. Jak przyjechali z powrotem, to obiecałem im, że tak czy siak kiedyś go odzyskam. A znam język, bo babcia była Polką, a dziadek Szwajcarem, to była ich letnia rezydencja, ale po wojnie, sama pani wie, jak to wszystko się potoczyło. Nawet nikt się nie pytał, do kogo dom należy, zabrali jak swoje i tyle.

Beata spuściła głowę. Wbiła wzrok w mokry piasek na plaży, stopą rysując na nim kółka.

– Nie wiem, co powiedzieć, głupio mi, że chce pan kupić coś, co należało do pańskiej rodziny.

– Niepotrzebnie, takie czasy, nie mam do nikogo pretensji, a już najmniej do pani. Cieszę się, że zadbaliście państwo o dom. Jest teraz pięknie odremontowany, w doskonałym stanie. Więc potraktuję te wydane pieniądze jako zapłatę za remont. Gdyby nieruchomość należała do mnie i tak musiałbym je wydać, żeby doprowadzić swoje dziedzictwo do obecnego stanu. Przynajmniej nie będę się już musiał tym całym kołowrotem zajmować, mam go z głowy.

– A gdyby willa nie została wystawiona na sprzedaż? – spytała zdenerwowanym głosem. Wciąż nie mogła opanować emocji; aż ją zatykało i w gardle jej zaschło.

– Czekałbym, na pewno nie starałbym się robić niczego na siłę. Wiem, dlaczego chce pani sprzedać Rafę, szczerze współczuję, naprawdę.

– Dziękuję, ale to pana nie dotyczy. To była bardzo trudna dla mnie decyzja, jednak nie mam innego wyjścia, muszę sprzedać chociażby po to, żeby pospłacać niebotyczne długi. Jest pan zdecydowany? – zapytała tylko gwoli formalności. Właściwie to się nawet cieszyła; przecież zależało jej, żeby dom trafił w dobre ręce, a o tym, że wróci do potomka przedwojennych właścicieli, nawet nie mogła marzyć.

– Tak, długo na to czekałem – odpowiedział. Stanął naprzeciw kobiety i patrzył na jej zatroskaną minę.

– A cena?

Tomas spoważniał.

– No cóż, przyznam że trochę drogo jak za moją własność... – nie dokończył, bo Beata odwróciła się na pięcie i pobiegła w kierunku pensjonatu.

– Ale... – chciał się wytłumaczyć, niestety nie zdążył. Stał i patrzył, jak ucieka. Posmutniał, gdy uświadomił sobie, że przez swoją głupotę może stracić coś cennego i nie miał na myśli pensjonatu.

„No tak – westchnęła w duchu – teraz jeszcze wpędził mnie w poczucie winy. Najchętniej oddałabym mu dom za darmo, uciekła i zapomniała”.

Zadzwoniła do Darka.

– Słuchaj, ty wiedziałeś, że on jest wnukiem byłych właścicieli?! – prawie krzyczała do słuchawki.

– Nie, kto?

– No, ten cały Warecki!

– Naprawdę? I co, kupuje?

– Tak, tylko chyba za drogo dla niego. – Rozłączyła się.

Podeszła do okna. Zauważyła sylwetkę Tomasa wracającego ze spaceru. Pogoda zmieniła się całkowicie. Morze było prawie gładkie, woda tylko lekko falowała, a na jej powierzchni od czasu do czasu siadały mewy, bujając się delikatnie jak papierowe stateczki, puszczane w kałuży przez dzieci.

Tomas stał i przyglądał się ptactwu. W pewnym momencie wziął do ręki kamień i zaczął puszczać „kaczki”. Bawił się przy tym jak dziecko, bo trzeba przyznać, że wychodziły mu jak rzadko komu.

„Nigdy tak nie umiałam – pomyślała – a on jakby się do tego urodził”. Obserwowała mężczyznę jeszcze chwilę. Podeszła do lustra, przejrzała się, poprawiła włosy, usta pociągnęła błyszczykiem. „Co też ja?” – zganiła się w myślach.

Chciała zejść na dół, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Otworzyła laptopa i na dobre dwie godziny zginęła w otchłani internetu.

Wiedziała, że musi porozmawiać z Tomasem, ale jednocześnie bała się tej rozmowy. Cieszyła się, że pozbędzie się wielkiego kłopotu finansowego, a jednocześnie łzy cisnęły się do oczu, gdy pomyślała, że już tu więcej nie wróci, a obrazy, które kocha najbardziej – wzburzone morze, granatowe chmury nad widnokręgiem, rozpalony słońcem piasek na plaży – na zawsze znikną z jej horyzontu. Trudno jej się było pogodzić z faktem, że bezpieczna przystań, całe dzieciństwo i młodość odejdą w niebyt.

Rano obudziło ją wschodzące słońce. „Już niedługo będę się cieszyć tym widokiem – pomyślała znowu o ponurej przyszłości. – Okej, dosyć sentymentów – zerwała się z łóżka, pobiegła do łazienki. – W końcu na morzu świat się nie kończy, a jak nie sprzedam Rafy, to mnie piekło lichwiarzy pochłonie”.

Ledwo zdążyła wyjść z łazienki, gdy usłyszała pukanie do drzwi. „Boże, kto to?” Poprawiła szlafrok. Otworzyła, przeczesując palcami rozczochrane włosy.

– Dzień dobry. – Tomas przywitał ją ujmującym uśmiechem.

– Matko droga! Co pan tak wcześnie wstaje?! Na dodatek naraża się pan na taki widok jak kobieta w szlafroku i sauté, bez zrobionej twarzy. No, ale cóż, skoro to panu nie przeszkadza...

– W żadnym razie. Powiem więcej, podoba mi się. – Szelmowski uśmiech zagościł na jego twarzy. Rozczulił go widok kobiety, która niedawno leżała zapewne w pościeli, a po porannej toalecie miała zaróżowione policzki. Była taka świeża i dziewczęca.

– Chciałbym porozmawiać o finalizacji naszej transakcji.

– Teraz? A nie może pan poczekać, aż się ubiorę i zejdę na dół? – Trochę drażniła Beatę ta jego bezpośredniość i pewność siebie.

– Mogę, ale po co? Im szybciej to załatwimy, tym lepiej, więcej czasu będziemy mieli na przyjemności.

– Przyjemności to już będzie miał pan, jako właściciel Rafy – niezbyt uprzejmie odbiła piłkę.

– No, dobrze, czekam na panią przy śniadaniu. Bo mam wielką nadzieję, że mi pani nie odmówi. – Znowu uroczo się uśmiechnął.

– Nadzieję zawsze można mieć, drogi panie – odpowiedziała protekcjonalnie. – Będę za piętnaście minut. – I zamknęła mu drzwi przed nosem.

Nie lubiła takich playboyów, a jednocześnie coś ją do niego przyciągało.

Pospiesznie się ubrała, nieprzypadkowo zakładając swoją ulubioną sukienkę w kolorowe kwiaty i czerwone szpilki. Podmalowała delikatnie oczy i pociągnęła usta pastelową szminką. „Może coś utarguję” – pomyślała i szybko zeszła do restauracji.

Zgrabnym, pewnym krokiem zbliżyła się do stolika, przy którym siedział kupiec. Gdy ją zobaczył, wstał, odsunął jej krzesło, potem usiadł i przyglądał się Beacie z uwagą.

– Mamy już jesień, ale widzę, że w pensjonacie nieustannie trwa wiosna. – Znowu się uśmiechnął.

„W co on gra?” – zastanawiała się.

– Jeśli chodzi o cenę, to nie mogę jej opuścić – zaczęła zdecydowanie, acz nieco nerwowo – już i tak jest mocno zaniżona. Jeśli choć trochę orientuje się pan w sytuacji na rynku takich nieruchomości, to pewnie pan wie, że gdyby mi tak bardzo nie zależało na czasie, to mogłabym uzyskać co najmniej dwadzieścia pięć procent więcej.

– Tak, wiem, i nie zamierzam się targować. Nie dała mi pani wczoraj dokończyć, a ja właśnie chciałem powiedzieć, że się zgadzam. A ten wstęp to tak dla podkręcenia atmosfery.

– Gratuluję, doskonale się panu udało, ale wkręcić mnie w poczucie winy. Jeśli o to chodziło, cel został osiągnięty. A jeśli cena panu odpowiada, to przygotuję umowę. Powiadomię pana o terminie wizyty u notariusza. – Wstała, podała mu rękę i poczuła, jak przeszedł ją dreszcz. Ciepło jego dłoni i błysk w spojrzeniu sprawiły, że poczuła się adorowana, piękna. „Nie, to niemożliwe” – pomyślała i znowu przybrała oficjalny ton.

– A, i jeszcze jedno, zamierza pan prowadzić dalej działalność hotelową?

Tomasa zamurowało, nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji, a już na pewno nie tak oschłego i oficjalnego potraktowania.

– Zresztą to już nie mój problem, zrobi pan, co zechce. – Odwróciła się i poszła.

„Dla podkręcenia atmosfery?! Też coś!” – złościła się.

Poszła na górę, zadzwoniła do Darka i poprosiła o załatwienie wszystkich formalności.

Była zła tym bardziej, że coś dziwnego zaczęło się z nią dziać. „Zadurzyłam się, do diabła, czy co? W jeden dzień? Nie, to jakaś halucynacja!” – szarpała się sama ze sobą.

Wzięła laptop, zeszła na dół, ale Tomasa już nie było. Usiadła więc przy stoliku w holu i udawała, że jest strasznie zajęta, licząc, że gdy będzie wychodził, to się na nią natknie. Owszem, po pół godzinie ujrzała go ponownie z walizką przy recepcji. Trochę się zdziwiła, bo mówił, że zostanie kilka dni.

Udawała, że go nie zauważa. Zapłacił za nocleg w recepcji. Wychodząc, podszedł do niej i bardzo oficjalnym tonem oznajmił:

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Proszę mnie powiadomić o wizycie u notariusza, zostawiam pani wszystkie swoje dane potrzebne do umowy. Miło mi było panią poznać.

– Mnie również. A na wizytę u notariusza zapraszam za tydzień o dwunastej, już załatwione. Proszę, tu jest adres. – Podała mu wizytówkę. Gdy ją odbierał, musnął palcami jej palce, spojrzał jeszcze raz głęboko w oczy, robiąc smutną minę. Za chwilę jednak odsunął się.

– Świetnie, przylecę na spotkanie. Do widzenia. – I poszedł. Wsiadł do taksówki i odjechał. Siedząc w taksówce, pomyślał tyko: „Boże, co za kobieta!”.

Znowu był sztorm, znowu fale zalewały całą plażę. Znowu siedziała na pomoście. Za cztery godziny miała sprzedać to, co tak bardzo kochała – Rafę, a z nią trzydzieści lat życia. Wstała, popatrzyła jeszcze na rozszalałe morze i wróciła do pensjonatu. Rozebrała się i poszła do łazienki. Wzięła prysznic, potem wytarła włosy, założyła szlafrok. Usłyszała pukanie do drzwi. Nie zastanawiając się, otworzyła. Zaniemówiła, bo w progu stał Tomas.

– Co... co pan tu robi?!

Mężczyzna nie czekał tym razem na zaproszenie, wszedł śmiało, zamknął za sobą drzwi. Zza pleców wyciągnął bukiet czerwonych róż.

– Zostanie pani moja żoną? – wypalił, nie zastanawiając się nawet minuty.

Beata oniemiała.

– Czy pan zwariował?! – odblokowała się w końcu. – U notariusza mieliśmy się spotkać! – krzyknęła i obwiązała się ciasno szlafrokiem.

– Tak, zwariowałem! Kocham cię i nie mogę przestać o tobie myśleć. Rzuciłaś na mnie urok, próbowałem się uwolnić od myśli o tobie, ale nie mogę, rozumiesz, nie mogę!

Kobieta stała i patrzyła na tego szaleńca jak zaczarowana.

– A ja znowu w szlafroku... – Uśmiechnęła się zrezygnowana i poczuła, że świat zaczyna wirować.

– Uwierz, to najpiękniejszy widok na tej planecie. Nawet w szlafroku jesteś nieziemskim zjawiskiem. Zakochałem się w tobie, gdy tylko cię zobaczyłem, ty albo żadna inna.

– Tomas, ty nie wiesz, co mówisz. To niemożliwe, żeby zakochać się w jeden dzień.

– Też tak myślałem jeszcze tydzień temu, ale teraz wiem, że możliwe, bo to się stało. Powiedz, że mnie nie kochasz, a odejdę i nie będę się więcej narzucał. – Podał jej kwiaty.

– Ja, ja cię nie kocham?! Kocham i też ciągle o tobie myślę.

Zabrał róże, położył na stole, podszedł, objął ją w pół i pocałował. Stali tak w namiętnym uścisku, całując się jak nastolatki i upajając swoją obecnością, bliskością.

Nagle Beata oprzytomniała.

– Musimy iść – powiedziała.

– Dokąd?

– No, do notariusza – przypomniała mu cel jego przyjazdu.

– Nie ma potrzeby, ukochana, spłaciłem kredyt, a Rafa jest twoja.

Beata spojrzała na Tomasa tak, że o nic więcej nie musiał pytać.

Łzy szczęścia i wzruszenia popłynęły po policzkach szczęśliwej kobiety.

– Ale nie dostałeś odpowiedzi – droczyła się z nim.

Spojrzał na nią tym swoim rozbrajającym wzrokiem, przechylając lekko głowę.

– Czekam.

– A gdybym odmówiła? Skąd wiedziałeś, że cię kocham.

– Pensjonat i tak byłby twój, ale jestem dobrym obserwatorem i... psychologiem z wykształcenia. – Uśmiechnął się.

– Przynajmniej nie kupuję kota w worku – śmiała się głośno – i zostanę twoją żoną. Ale odważny jesteś, oświadczyć się po tygodniu?!

– A usłyszeć twoją zgodę?! Bezcenne. Kocham cię jak nikogo dotąd, nigdy nie byłem niczego bardziej pewien!

Yona

Zuzanna Lenska

Otworzył oczy i zobaczył gwiazdy.

– Zum? – Yona stanęła nad nim w rozkroku. Przez skórę przeświecały błękitnawe żyłki i błyski elektrycznych wyładowań, skrzących się jak tafla jeziora, którego obraz sobie czasem włączał przed snem.

– Mhm... – Obrócił się na brzuch i zagarnął ramionami poduszkę. Chciało mu się spać.

– Zróbmy to jeszcze raz – poprosiła aksamitnym głosem.

– Czy ty nigdy nie masz dość? – wybełkotał, ziewając i zasypiając. Nie mam siły, powiedział w myślach, zanim nie opadł na dno ciemności. Błogiej, bo bez żadnych snów, dźwięków i marzeń.

Habitat swobodnie płynął przez galaktykę, ledwie ocierając się o zewnętrzne orbity systemów słonecznych, wymijając samotne planetary, planema i asteroidy. Gdy tylko Zum pragnął spaceru, mógł wybrać się na obchód po pierścieniach Eskejpera. Idąc całymi kilometrami, nie odczuwał krzywizn konstrukcji, a siła odśrodkowa imitowała grawitację i czuł się prawie tak, jakby wędrował ulicą wielkiego, wyludnionego miasta.

Eskejper był zwykle wygaszony, cichy i pusty. Lukami z diamentowych płyt czasem wpadało do wnętrza ostre światło, penetrowało habitat i znikało, rozproszone, gdy oddalał się od gwiazdy w zimną otchłań kosmosu.

Zum nie musiał nigdzie chodzić, wystarczył mu poziom L, zielony pierścień. Tu miał sypialnię z wielkim ekranem, na którym centralna jednostka obsługi żywego ładunku wyświetlała kojące wizualizacje. W atrium pluskała mała fontanna, w piętrowym ogrodzie rosły rośliny, których nazw nie znał, lecz były piękne. Mógł korzystać z siłowni, grać w gry lub biegać, gdyby chciał, pod imitacją nieba, wśród drzew owocowych. Prawdziwych drzew.

O wszystko dbała jednostka centralna Eskejpera. Regulowała wilgotność, temperaturę, szybkość obrotów pierścieni, zawartość jelit Zuma i poziom hormonów. Przyglądała mu się zawsze, gdy stawał przy ekranach i obserwował kosmos, kiedy zakładał skafander i wyruszał na inne pierścienie, kiedy wchodził do chłodni, by obejrzeć ładunek. Gdy spał.

Zbudził go przyjemny dreszcz i Zum uśmiechnął się kącikiem ust. Nie poruszył się, udając, że nadal śpi i pozwalając Yonie na te jej zabawy.

Mleczna, półprzejrzysta skóra Yony wibrowała delikatnie, jakby tuż pod powierzchnią musował szampan milionami drobniutkich bąbelków, pękających w zetknięciu ze skórą Zuma.

Nie mógł i nie chciał dłużej udawać. Otworzył oczy i spojrzał na nią. Mieniące się w ciemności włosy falowały. Żadna kobieta nie miała takich lekkich włosów, którym niepotrzebny był wiatr, by unosiły się wokół ramion i głowy srebrzystą poświatą. Między nimi przeskakiwały zimne ogniki, gdy pocierała piersiami uda Zuma.

– Och, Yona... Yona... – wyszeptał, zanurzając palce w te włosy. Igiełki wyładowań uderzyły w opuszki palców, pobiegły wzdłuż nerwów do kręgosłupa.

Czas się zatrzymał.

Potem leżeli obok siebie, słuchając odgłosu deszczu, odtwarzanego przez jednostkę centralną. Zum wiedział, że dźwięk ten rozlega się w całym pierścieniu zielonym, nie tylko w jego sypialni. W korytarzach, w ogrodach, między drzewami i pod sztucznym niebem. W jadalni, w siłowni, w maszynowni. Może docierał też do wyziębionego wnętrza białych sarkofagów, w których zahibernowani leżeli członkowie wyprawy. Mężczyźni i kobiety, których nie znał, bo urodził się wiele lat po wyruszeniu Eskejpera w podróż, z nimi śpiącymi na pokładzie.

– Nie idź... – poprosił, widząc, że siada. Nagie plecy zasypywały kaskady włosów, błękitno-srebrnych, jedwabistych, jakby każdy z nich wypełniał opar helu. Potrząsnęła głową, wzbudzając lekki obłok chłodnych iskier.

– Wrócę, przecież wiesz. – Wstała. Przeszła naga przez pokój, prawie przepłynęła, smuga światła, lodowy płomień, który chciał zatrzymać. Zaplótł ramiona pod głową i odwrócił wzrok ku sufitowi.

Jednostka centralna potrafiła pokazać cały żywy ładunek. Zapasy, ogród, rój pszczół, bakterie na sprzętach, roztocza, które spały z nim w łóżku a

nawet zamrożonych ludzi, którzy nie żyli, ale byli żywi. Zum widział siebie na ekranie – plamę ciepła w pierścieniu zielonym. Ale nie widział Yony. Nigdzie nie widział Yony.

– Cofnij nagranie – polecił i urządzenie odtworzyło serię elektromagnetycznych impulsów. Jęków, westchnień i poruszeń. – Odtwarzaj od nowa.

Słuchał ich seksu, samotnie leżąc w półmroku habitatu, żeglującego przez zimną przestrzeń kosmosu. Cały Eskejper nimi rozbrzmiewał. Wszystkie puste pomieszczenia i korytarze. Laboratoria, składy i magazyny, wytwornice energii, serwerownie, kokpit, hangary kapsuł ewakuacyjnych, wszystkie pomieszczenia pełne były stęknięć i szeptów, śmiechu i okrzyków rozkoszy. I głosu Yony, proszącej:

– Zróbmy to jeszcze raz, Zum.

Potem powtarzał to tysiąckrotnie, wciąż ten jeden fragment, od nowa, od nowa.

– Zum.

Oczywiście zastanawiał się, dokąd odchodziła, kiedy jej nie było. Ale zawsze wracała, zgodnie z obietnicą. Kochali się wtedy kilka razy z rzędu, aż do wyczerpania. Po prostu pojawiała się i robili to, co zawsze, tylko w różnych pozycjach. Nawet jeśli chciałby zapytać ją o te wszystkie rzeczy, o których myślał, gdy jej nie było, nie zdążał.

– Zum... Zum... – słyszał przez sen. – Weź mnie teraz, Zum...

– Yona – wymamrotał w odpowiedzi.

Pragnął spełnienia jak niczego wcześniej i, paradoksalnie, pragnął, by nigdy nie nadeszło. Kolejny raz uchwycił mocno jej biodra, by nie wyślizgnęła mu się, zmęczona i obolała, czując, że już nie może niczego wstrzymać. Ostatni raz wepchnął się w nią i wytrysnął.

Ogarnęła go ogromna błogość, po prostu opadł na jej plecy, zanurzając twarz we włosach i wciąż tkwiąc w środku. Stygł i rozluźniał się, jednocześnie zapadając w sen. Nie wiedział, czy będzie z nim, gdy się obudzi, ale bardzo tego pragnął.

– Zostań – szepnął, gdy się pod nim poruszyła.

– Śpij – odpowiedziała.

– Zrobimy to jeszcze raz, obiecuję. – Objął ją ramieniem.

– Odpocznij. – Roześmiała się cichutko, czule. Odwróciła się ku niemu, starając się odgarnąć włosy z twarzy ich obojga. Koniuszki w zetknięciu ze skórą kłuły nieco, nie wywołując bólu, raczej... wrażenie łaskotania. W każdym razie nie były bardziej nieprzyjemne niż mocny strumień wody z prysznica, o dyszy rozbijającej krople pod dużym ciśnieniem.

– Możemy robić też inne rzeczy – zaproponował nieśmiało. Twarz Yony była tak blisko. Oczy błyszczały, a oddech zdążył się już uspokoić. Nozdrza poruszały się nieznacznie. Krawędź warg lśniła. Rozchylały się nieco. Bardzo nie chciał, żeby teraz odeszła. To było nie w porządku. Przygarnął ją do siebie mocniej. – Inne...

– Ale ja chcę robić z tobą te rzeczy – powiedziała, z naciskiem na *te*. Pocałowała go w czubek nosa, żartobliwie przygryzła koniuszek zębami.

– Tylko? – Opadł na plecy, a coś pod powiekami zapiekło nieprzyjemnie. Już mu się nie chciało spać. Nie potrafił powiedzieć, co się właśnie stało, ale było to zupełnie coś nowego, czego dotąd nie zaznał.

Nie czuł się nigdy samotny na Eskejperze. Nigdy, dopóki żył Feder. Feder go wychował i nauczył obsługi wszystkich urządzeń. Nauczył fizyki, matematyki i chemii. Pokazał movitekę pełną nagrań ze Starego Siedliska i wyjaśnił, co zawierają. Opowiedział wiele rzeczy, które sam usłyszał od człowieka, który z kolei wychował Federa. Legam zmarł wiele lat przed urodzeniem Zuma. Legam wychował Federa, Feder Zuma, a Zum miał wychować Kasjusza.

Odwiedzał go co jakiś czas. Bladego, zwiniętego w półokrągłym pojemniku, z krzywymi nóżkami podciągniętymi pod brodę. Kiedy się urodzi, nie będzie chodził ani mówił. Zum będzie musiał mu wszystko pokazać, wszystkiego go nauczyć. Nie wiedział, kiedy Kasjusz się urodzi. O tym zdecyduje jednostka centralna. Raczej późno, pod koniec życia Zuma.

Tak przynajmniej było w przypadku Federa, a wcześniej Legama. Zestarzeli się i jednostka centralna obudziła dziecko, jedno z wielu dzieci, leżących w komorach Eskejpera. Każdy z nich był takim dzieckiem. Prawdę mówiąc, Zum podejrzewał, że byli braćmi, ale nie do końca rozumiał, co to właściwie oznaczało.

– Wrócę. – Yona nachyliła się i pocałowała go chłodnymi, suchymi wargami w mięśnie powyżej pępka. Nie odczuł przy tym zwykłej

ekscytacji. Tym razem nie odwracał wzroku. Przyglądał się Yonie, dopóki nie zniknęła za progiem.

Poderwał się z łóżka i pognał za nią. Najpierw sprawdził kuchnię z jadalnią. Na środku pomieszczenia stał szeroki postument z blatem i miską owoców. Obszedł go, zaglądając pod stół i każde z dwóch krzeseł. Omiótł wzrokiem szybę, za którą rozciągał się ogród. Nie mogła tam zejść, musiałaby skorzystać z windy, a winda stała otwarta. Wywołał jednostkę centralną na głównym ekranie.

– Pokaż poziom L – zażądał. Komputer wyświetlił rzut pierścienia, podzielonego na poziomy i oddziały. – Pokaż byt Zum. Pokaż podobne byty. Dalej, dalej... – Przesuwał niecierpliwie kolejne plany pomieszczeń. – Pokaż sąsiednie pierścienie.

Nie natrafił na żaden ślad.

– Pokaż nagranie z ostatnich dwóch godzin. Sypialnia. – Nalał wrzątku do kubka i wrzucił łyżkę suszu. Zamieszał, obserwując siebie na ekranie. Podszedł, upijając łyk, który sparzył język i gardło. Podłogę pokrywała jasna i miękka wykładzina. Przesunął do przodu wskaźnik na linii czasu. Nagranie odtworzyło jego postać wybiegającą z sypialni.

Przestawił wskaźnik kilka minut wcześniej. Błękitnawa poświata włosów Yony rozświetliła ekran. Dotknął go, a punkty obrazu ugięły się i zakrzywiły. Cofnął dłoń.

– Pokaż korytarz.

Był pusty. Yona przeszła przez próg, ale nie pojawiła się poza sypialnią. Zum odstawił kubek.

– Cofnij. Zatrzymaj. – Patrzył na nieruchomą postać, stojącą w progu. – Zidentyfikuj zaznaczenie.

– Brak danych.

– Czy to byt?

– Brak danych.

– Podaj odczyt aktywności biologicznej.

– Identyfikacja obiektu Zum. Wiek biologiczny czterdzieści sześć procent. Średnia temperatura ciała trzydzieści sześć i osiem stopni w skali Celsjusza. Prawidłowa. Ciśnienie...

– Pomiń Zum, podaj odczyt drugiego bytu.

– ...podniesione. – Komputer urwał w pół zdania. – Sprecyzuj: drugiego bytu – odtworzył głos Zuma, cytując.

– Tego. – Stuknął palcem w obraz Yony. – Zaznaczenie.

– Brak identyfikacji.

– Przejdź w tryb spersonalizowany. – Zerknął w bok, na kwitnące za szybą drzewa i kwiaty. Czas na Eskejperze odmierzały jednostki snu i czuwania. Nocy i dnia, jak archaicznie nazywał je Feder. Zum wiedział, że teraz jest noc, cokolwiek to znaczyło pierwotnie, czas snu. Jednostka centralna przygasiła światła, nie całkowicie, ale jednak. Kontury zacierały się, barwy zlewały w plamy monochromatycznych cieni. Cichy szum klimatyzacji i zraszaczy tłumiła szyba. Tam, w dole, było więcej życia niż tu, pomyślał i nagle spiął mięśnie, a wzdłuż kręgosłupa spłynęła malutka kropelka potu. Odwrócił się. Zlustrował spojrzeniem szafki, wyspę, lodówkę z podręcznym zapasem żywności i otwarte wnętrze windy, rozświetlone jasną lampką.

– Witaj, Zum – powiedział komputer ludzkim głosem. Zum drgnął.

– Witaj, Eskejper.

– Jesteś zdenerwowany?

– Trochę. – Zum wiedział, że nie udałoby mu się oszukać jednostki centralnej.

– W czym mogę ci pomóc?

– Zdefiniuj byt Zum.

– Istota samoświadoma, człowiek. Ssak. Gatunek homo sapiens sapiens. Mężczyzna.

– Ile jest takich istot na Eskejperze? Homo sapiens sapiens, ludzi. Podaj łączną liczbę. Obie płcie.

– Trzynaście tysięcy osiemset dwadzieścia jeden.

– Podaj liczbę nieaktywnych.

– Zdefiniuj nieaktywnych – spytał Eskejper ludzkim głosem.

– Zahibernowanych.

– Trzynaście tysięcy osiemset dwadzieścia.

– Kim jest ta istota, zaznaczenie.

– Nie mam informacji, Zum.

– Nagrałeś istotę, dziś w mojej sypialni. Widzisz ją na obrazie. To kobieta. Kim ona jest?

– Nie mam informacji, Zum.

– Wykryłeś jakąś anomalię? Oddech, temperaturę, encefalogram?... – Podrapał się w głowę i dodał, uprzedzając pytanie Eskejpera. – Poza

moimi?

– Nie rozpoznaję obiektu, Zum. – Eskejper zrobił dłuższą pauzę. – Jesteś zdenerwowany?

– Jak to możliwe, że zarejestrowałeś jakąś kobietę, a nie odbierasz jej parametrów życiowych? – Stanął przy szybie, opierając dłonie na chłodnej płaszczyźnie. Na ciemnym tle odbijało się nagie, szczupłe ciało. Powinien więcej ćwiczyć, wyrobić większą masę mięśni. Feder wielokrotnie mówił mu, jak ważne jest utrzymanie ciała w dobrej kondycji.

– Nie rozpoznaję obiektu, Zum. Napij się soku.

– Nie chce mi się pić.

– Poczujesz się lepiej. – Głos Eskejpera łagodnie maskował perswazję. – Wypocznij, Zum. Uzupełnij płyny, poczujesz się lepiej.

Zum podszedł do dystrybutora i wyjął gotową porcję w małym kubeczku. Połknął ją dwoma, może trzema łykami.

– Jest noc, Zum. Twój organizm potrzebuje wypoczynku. – Eskejper stłumił światło. Świeciły już tylko listwy przypodłogowe. – Masz podniesione ciśnienie, podwyższone tętno. To objawy stresu, Zum. Chcesz pójść do laboratorium medycznego?

– Nie. – Ziewnął. Zakręciło mu się w głowie i musiał złapać się ściany, kiedy szedł do sypialni. – Czuję się bardzo dobrze.

Położył się na łóżku i odpłynął.

– Dobrej nocy, Zum – powiedział Eskejper. Satelity zwiadowcze przesyłały strumienie danych, przetwarzane przez olbrzymie procesory, zajmujące cały pierścień, oddalony o cztery od biosfery L. Mimo ogromnej ilości zadań, centralny program zarządzania żywym ładunkiem wybrał z movieteki jedno z ulubionych nagrań Zuma i odtworzył je dość cicho, by nie przerwać mu snu.

Czerń na zewnątrz była głucha, nie rozchodził się w niej żaden dźwięk. Wewnątrz zaś jednostajnie, monotonnie, przez wiele godzin padał elektromagnetyczny deszcz.

Yona nie pojawiała się od kilku dni i Zum ponownie wdrożył się w stały rozkład dnia. Wstawał, jadł proteinowy, kaloryczny posiłek, pił sok i przechodził trening kondycyjny. Po obiedzie pracował w ogrodzie lub spacerował na trzecim poziomie pierścienia. Pił sok, jadł trzeci posiłek,

wykonywał kolejne punkty procedury, oglądał coś z movieteki i szedł spać. Nie miewał snów, a jeśli tak – to niczego nie pamiętał.

– Jesteś smutny, Zum?

– Nie. Czuję się dobrze. – Położył się obok bieżni, gapiąc na trójwymiarową wizualizację nieba. Feder nie przywiązywał do niej wielkiej wagi. Właściwie jej nie lubił. Nie mógł zrozumieć.

– Chcesz porozmawiać?

– Nie. – Obserwował białe obłoki, tworzące dziwne kształty.

Krótko przed śmiercią Federa Eskejper zbliżył się do planetara, który według analiz satelitarnych przypominał rozmiarami Stare Siedlisko. Feder zdecydował się złamać protokół bezpieczeństwa i wyruszył wraz z Zumem małym wojadżerem. Przewieźli osiem robotów wyszukujących potrzebne w dalszej podróży minerały i substancje, które potem pospiesznie wydobywali i transportowali do ładowni Eskejpera. Sami zaś zwiedzali surową, ciemną powierzchnię planetara.

– Myślisz, że jest tu życie? – spytał Federa, kiedy zmęczeni stali na skalistym zboczu, patrząc w mroczną dolinę. Kiedy patrzył w górę, widział tylko dalekie miliardy gwiazd.

– Bakterie, może jednokomórkowce. – Feder oddychał ciężko, świszcząc. – Kosmos jest wielki, ale nigdy nie spotkałem bardziej skomplikowanych form życia. Przynajmniej niczego, co potrafiłby zidentyfikować Eskejper.

– Moglibyśmy się tu zatrzymać. – Zum rozejrzał się. Nigdy nie stał na czymś tak wielkim. – Obudzić pozostałych...

– I czym byś ich wyżywił? Czym by oddychali? – Feder schylił się z wysiłkiem, zagarnął ręką trochę ciężkich, twardych okruchów. Przesypał je między palcami.

– A jeśli nigdy nie spotkamy miejsca wystarczająco dobrego na Nowe Siedlisko? – Już wtedy wiedział, że sam nie dożyje takiej chwili. – Jeśli zabraknie...

– Energii?

– Dzieci.

Feder długo milczał. Nosił ze sobą tylko pojemnik z tlenem, ale i tak był nadmiernie obciążony. Zum nie powinien się zgadzać na złamanie protokołu. Eskejper miał rację, nie chcąc go wypuszczać.

– Nie wiem. – Stary człowiek usiłował się wyprostować, ale wyglądało to tak, jakby chciał się wydostać spod niewidzialnego ciężaru, przygniatającego do planetara. – Jesteś jednym z dwóch ludzi, z którymi rozmawiałem przez całe moje życie. Wiesz, czego żałuję?

Zum nie wiedział.

– Żałuję, że to właśnie mnie wybudził.

– Eskejper? – Feder skinął. Habitat wisiał nad nimi, powoli obracając pierścieniami.

– Czasem myślę...

Feder nigdy nie dokończył ostatniego wypowiedzianego zdania. Po powrocie na Eskejpera żył jeszcze kilka tygodni, ale nie mówił już nic. Mało spał. Całe godziny spędzał, siedząc w korytarzu przed halą zahibernowanych.

Tam umarł.

Zum prawie zasypiał. Plątały mu się wspomnienia. Ciemność zdawała się całkowicie oblepiać go, zwiniętego i nagiego, jak Kasjusza, zamkniętego w azotowej komorze.

Zdawało mu się też, że leży na tamtym planetarze, skalistym i pustym. Feder siedzi wciąż w korytarzu, w Eskejperze, który unosi się ponad orbitą i powoli żegluje ku krańcom przestrzeni i czasu.

Zum chciał krzyknąć, żeby go nie zostawiali, ale nie mógł. Im więcej powietrza nabierał w płuca, tym czuł się cięższy i jednocześnie bardziej pusty, jakby ktoś sprawiał, że przestawał być...

– Człowiekiem. – Otworzył oczy.

– Zum? – podchwycił Eskejper. – Miałeś zły sen? Jesteś zdenerwowany?

– Nie. – Usiadł, przecierając twarz. W pomieszczeniu było ciepło, panował półmrok, ale dość wyraźnie widział sprzęty.

– Chcesz porozmawiać?

– Chcę przejrzeć pliki z życia Federa. – Wyprostował się, przeciągnął. Światło zaczęło intensywnieć, Eskejper regulował je z optymalną prędkością akomodacji oka.

– Interesuje cię coś szczególnego, Zum?

– Okres między czterdziestym a pięćdziesiątym procentem wieku biologicznego.

– Wszystko?

– Przewijaj z przyspieszeniem szesnaście. – Podreptał do pisuaru. Potem zwiększył przeglądanie do sześćdziesięciu czterech. Twarz Federa migała w różnych obszarach ekranów, gdy przechodził do kuchni, nalewał wody do szklanki i obierał owoce ze skórki.

– Czego szukasz, Zum? – pytał co jakiś czas Eskejper kojącym tonem. Nie zrażając się brakiem odpowiedzi, dostarczał Zumowi coraz nowsze pliki. Przez kolejne cztery dni cokolwiek robił, śledził życie Federa. Aż czwartego dnia, nieco pod wieczór zobaczył to, czego szukał.

Feder powiedział, że Zum był jednym z dwóch ludzi, z którymi w życiu rozmawiał. Ale rozmawiał też z jednostką centralną. A jednostka centralna nie była człowiekiem. Może rozmawiał też z kimś innym. Z kimś, kogo Eskejper nie potrafił zidentyfikować.

Z Yoną.

Zum włożył skafander i poszedł się przejść. Lubił chodzić. Eskejper składał się z osiemnastu pierścieni, obracających się powoli. Pierścień, w którym mieszkał, oznaczono na mapach zielonym markerem i nazwano L. Zum maszerował korytarzem przed siebie. Wspiął się po schodach na wyższy poziom, zewnętrzny. Znów szedł korytarzem. Zupełnie pustym, z podłogą i ścianami wyłożonymi teflonowymi płytami bez śladu spoin. Spojrzał na ekran umieszczony na wierzchu lewej dłoni. Zegar wskazywał trzy godziny do pory głównego posiłku, godzinę do uzupełnienia podstawowej jednostki płynów, zwiększone zapotrzebowanie na tlen, lekki spadek cukru i nieznacznie podwyższone tętno. Ze zmęczenia? Nie, Zum czuł się zupełnie wypoczęty i w dobrej kondycji. Po około dwudziestu minutach minął drugą gródź i musiał włożyć hełm z przewodem tlenowym. Zaczął słyszeć swój oddech. Kiedyś wsłuchiwał się w oddech Federa. Był to jeden z najprzyjemniejszych dźwięków, jakie znał, choć nie do końca potrafił sprecyzować, dlaczego właściwie wzbudzał w nim pozytywne emocje. Nie zastanawiał się nad tym szczególnie, nie za życia Federa. Zaczęło mu brakować tego dźwięku dopiero po jego śmierci, dopiero po jakimś czasie. A potem zaczął zagłuszać ciszę odtwarzanym przez Eskejpera szumem deszczu.

Deszcz to padająca woda. Nie taka jak pod prysznicem, tylko taka jak ze zraszaczy w sadzie. Eskejper kiedyś pokazał Zumowi cały mechanizm

opadów w Starym Siedlisku. Zum przypomniał sobie o tym, stojąc na planetarze i doszedł do wniosku, że musiało to być niesamowite zjawisko.

Obrócił twarz w kierunku luków. Otchłań kosmosu była pusta i ciemna. Tamten planetar był prawdopodobnie jedynym obiektem, jaki Zum miał okazję oglądać z bliska. Poza gwiazdą, którą mijali. Jej światło docierało do Eskejpera w niecałe piętnaście minut. Nasunął ciemną pokrywę ochronną.

– Przysłonić luk? – zaproponował Eskejper.

– Nie.

Zum stanął przed mostem.

– Dwie minuty do przejścia – poinformował Eskejper.

Poziom K przesuwał się bezgłośnie, ale z nieznacznym drżeniem. Zum przyłożył dłoń do rozsuwanych wrót. Nawet przez rękawicę to czuł.

– Dwadzieścia sekund do przejścia.

Nadproże rozświetliło się i grube na metr skrzydło odjechało, ukazując wąskie wnętrze.

– Przejście otwarte.

Zum przestąpił nad nadprożem, łapiąc łukowaty uchwyt. Miał zaledwie trzydzieści sekund, by zrobić pięć długich kroków i, nim zamkną się drugie drzwi, przedostać na kolejny pierścień.

– Kolejne przejście będzie otwarte za sto osiemdziesiąt minut.

Zum podniósł przesłonę, wyjął latarkę i oświetlił korytarz.

– Włączyć światła? – zatroszczył się Eskejper.

– Nie. – Zum przez dłuższy czas szedł wyrównanym tempem. Niezbyt szybko, aby się nie zmęczyć, ale dość sprężyście, czując przyjemne naprężenie mięśni, jak podczas średniego treningu kondycyjnego. Oddychał głęboko, nie oszczędzając tlenu. Na każdym mijanym kilometrze mógł wymienić butlę na pełną. Mógł też, w ostateczności, poprosić Eskejpera o natlenienie najbliższego pomieszczenia. Zrobiłby to w ciągu dwóch, najwyżej dziesięciu minut. Poziom krytyczny w butli sygnalizowany ostrzegawczym brzęczeniem wzbudzał się kwadrans przed opróżnieniem.

Zum nigdy wcześniej nie zaszedł tak daleko. Zdążył zmienić czwartą butlę, wypełnić uryną dwa worki, zjeść trzy wysokoenergetyczne batony, które znalazł w kieszeni skafandra. Były obrzydliwe, galaretowate, o wyrazistym, białkowym smaku. Zmęczony, przystanął na chwilę, a potem usiadł, pochylając się do przodu.

Latarka leżała obok łydki, snop światła sunął po podłodze w głąb korytarza. Znów znajdował się po drugiej stronie, gdzie iło światło gwiazdy. Eskejper nazywał ją SXDR0000000289777’N. Dlaczego? Zum nie miał pojęcia. Dla niego była po prostu Gorącym Dzbankiem.

Jaskrawe światło wlewało się do wnętrza habitatu do linii luków i wtedy wzrok Zuma chroniła zasłona hełmu. W miarę obracania pierścieni światło pozostawało po drugiej stronie, a korytarze pogrążały się w ciemnościach.

– Co ty tu robisz?

– Yona? – Zum podniósł głowę. Stała przed nim. Promień latarki przechodził przez jej stopę, nagą, półprzezroczystą. Migoczącą jak krople wody pod ciśnieniem. Niezgrabnie zaczął się gramolić, butla ciążyła, skafander blokował ruchy, nagle krew zaczęła tętnić w skroniach, w uszach, poczuł słodkawy smak na języku i jakąś niezborność myśli. – Yona...? – powtórzył, tracąc równowagę.

Yona kucnęła przed nim. Kolana objęła ramionami, oparła na nich brodę i przyglądała mu się z cieniem zaciekawienia.

– Szukałem cię. – Klęcząc, usiadł na piętach i dotknął jej ramion. – Wiedziałem, że gdzieś tu jesteś. Że musisz tu być.

Yona uśmiechnęła się, a jej włosy zatańczyły dookoła głowy, jak obłok gazu podświetlany ukrytym wewnątrz błękitnym płomieniem.

– Musisz już wracać – powiedziała, zbliżając się do niego. Jej twarz promieniała. – Niedługo cię odwiedzę, obiecuję, ale teraz już musisz iść.

– Nie... – Nie zdążył zaprotestować, gdy jej twarz przeniknęła pięciowarstwową ściankę hełmu, jakby wcale ich nie dzieliła. Zachłysnął się, przestał oddychać a ona pochyliła się jeszcze trochę i dotknęła go wargami. Musnęła.

– Jesteś chory, Zum? – Eskejper poprosił, aby położył się w tubie medycznej, a potem oznajmił, że wyniki nie odbiegają od normy.

– Nie. – Zum przeciągnął się i wstał. – Czuję się świetnie.

– Zum. Czy wiesz, po co tu jesteś?

– Wypełniam procedurę. – Zum wyjął z dystrybutora kubek soku.

– Czy wiesz, co to za procedura?

– Procedura bezpieczeństwa. – Zum wzruszył ramionami. Feder wyjaśnił mu to kiedyś dokładnie a potem jeszcze powtarzali to

wielokrotnie. To było ich zadanie. To był cel ich istnienia. Legama, Federa, Zuma, Kasjusza...

Procedura bezpieczeństwa była najważniejszą sprawą dla nich i dla Eskejpera. Złamali ją tylko raz. Wtedy, gdy Feder chciał wylądować na planetarze. Opuścić Eskejpera razem z Zumem. Nie powinni tego robić. Nie powinni zostawiać habitatu. W habitacie zawsze powinien pozostawać jeden aktywny człowiek. Gdyby teraz Eskejper znalazł się w pobliżu jakiejś planety, Zum nie mógłby na nią zejść. Nie bez złamania procedury.

– Wiesz, dlaczego procedura bezpieczeństwa jest taka ważna?

– Wiem. – Zumowi nie podobała się ta rozmowa. Ton Eskejpera nie był nasycony emocjami, ale mimo to działał denerwująco, jakby czynił mu jakiś wyrzut albo... przywoływał do porządku. – Wypełniam ją.

Eskejper zamilkł, ale Zum czuł na sobie jego wzrok. Po raz pierwszy w życiu chciał się schować i zdał sobie sprawę, że nie ma gdzie. W żadnym momencie, w żadnym miejscu nie znajdował się poza obserwacją Eskejpera. Spojrzał na kubek.

– Podaj skład chemiczny.

Eskejper wyświetlił na ekranie ciąg oznaczeń.

– Rozwiń opisy substancji.

Przez ekran zaczęły się przewijać informacje. Zum przebiegał je wzrokiem, odsuwając na bok niepotrzebne, nieistotne.

– Wypij sok, Zum.

Czy to paranoja? Zum potarł czoło. Paranoja. Choroba psychiczna. Czy to mu się przydarzyło? Zwariował? Kim jest Yona? Czemu się boi Eskejpera? Eskejper nie jest zagrożeniem. Eskejper jest... siedliskiem.

A Yona? Spotkał ją. Była tam, w zewnętrznym, najdalszym pierścieniu. Mieszka tam? – zastanowił się. Jeśli mieszka na Eskejperze, to przecież jednostka centralna musi coś o tym wiedzieć. Jak może mieszkać? Zum mieszka. Eskejper jest siedliskiem ludzi. Czy Yona jest człowiekiem? Wygląda jak człowiek, ale czy nim jest? Eskejper nie potrafi jej zidentyfikować. Nic dziwnego, jest inna. Inna niż Zum, niż Feder.

Czy jest bytem?

Zum ścisnął skronie.

A potem odwrócił się i popatrzył na sad za szybą. Podszedł do przeszklenia. Sad. Niebo nad nim. Zraszacze imitujące deszcz. Drzewa pełne owoców. Gałęzie ciężkie od jabłek, gruszek i brzoskwiń.

Zraszacze.

Deszcz.

Elektromagnetyczny szum. Sok. Kubek. Spojrzał przez ramię na blat kuchenny. Eskejper. Tymczasowe siedlisko. Sad.

– Dlaczego?

– Aby przetrwać – odpowiedziała Yona, odbijając się w szybie.

– A kiedy nas zabraknie? Czym się będziesz żywić?

– Nigdy was nie zabraknie. Właśnie temu służy procedura bezpieczeństwa. – Yona rozpływała się, rzednąc i tracąc ludzki kształt. Nie była człowiekiem. Nie była niczym, co znał Zum.

– Co teraz?

– Nic. Po prostu wiesz. Czy to coś zmienia? – Yona znów stała przed nim. Naga, powabna, pociągająca. – Będziesz jeszcze długo żył. A ja czasem będę cię odwiedzać. Nie bój się. Zostaniesz ojcem wielu dzieci.

– Nie boję się. – Przygarnął ją do siebie.

Czasem, kiedy Yona wychodziła i nie wracała przez kilka dni, a on nie spał, tylko leżał z zamkniętymi oczami, zdawało mu się, że wie, co powinien zrobić. Że powinien iść do komory hibernacyjnej i wyłączyć wszystkie układy podtrzymujące życie trzynastu tysięcy ośmiuset dwudziestu ludzi. Czasem wyobrażał sobie, że podchodzi do pulpitu nawigacyjnego Eskejpera i po prostu go wyłącza, a potem siedzi w ciemnościach, czując kosmiczny mróz wdzierający się w korytarze, do poszczególnych pomieszczeń, pełznący po znieruchomiałych nagle pierścieniach habitatu. Wyobrażał sobie, tam w głębi głowy, gdzie nie mógł zajrzeć nikt, że właśnie tak leży, w kombinezonie, z jedną porcją tlenu, patrząc na pękające z zimna drzewa.

Może o tym samym myślał też Feder? Tam, siedząc przed drzwiami komory. Zanim umarł.

– Zum? – Kasjusz wdrapał mu się na kolana. Był dość ciężki, a on nie miał już tyle sił, co kiedyś. Stęknął, poprawiając berbecia.

– Co? – Podsunął mu półmisek owoców.

– Co to plocedula bezpieczeństwa?

– To takie działanie, które pomaga... Eskejperowi lepiej się nami opiekować – skłamał. – Tobą i mną. Chodź, wpiszesz hasło.

– Ja? – Kasjusz aż podskoczył z wrażenia. – Ja sam?

– No, ty sam. – Uśmiechnął się. Dlaczego nie? Ten dzień i tak musi nadejść, więc dziś jest tak samo dobre jak jutro. Jutro... to tylko jednostka czasu, odliczana z życia ich obu.

Podeszli obaj, starzec i chłopiec, do ekranu. Eskejper otworzył aplikację kodów. Trzeba podać hasło. Tego wymaga procedura. Mały wiedział, co robić. Przejęty, wysunął język, przechodząc kolejne etapy zatwierdzania tożsamości, uprawnień, poziomów, aż doszedł do ostatniego. Spojrzał na Zuma pytająco, a Zum skinął zachęcająco.

– Po prostu wpisz. – Uśmiechnął się. Chłopiec dotknął ekranu z migoczącymi literami i wybrał każdą z nich z pełnym powagi napięciem:

I N S E M I N A C J A

„Jak jest się zakochanym, to wszystko w człowieku śpiewa...”

J. Siwmir

– Pojechałaś z tą inseminacją, Zuza, pojechałaś. – Mroku oderwał wzrok od monitora. – Ale niech będzie, jedno takie też się przyda...

– Dla hodowców byków – scenicznym szeptem podpowiedział Janek i został zgromiony wzrokiem.

– Co do reszty nie mam zastrzeżeń – kontynuował Naczelny. – Jedyne, o co Was proszę, to żeby trochę więcej komediowych albo pogodnych było. Pamiętajcie, że nie Hamleta piszemy, tylko emocjonalną pornografię.

– Naturalnie! – Obie panie zamachały rękoma.

– Ba! Nie każdy potrafi pisać pogodnie – wtrącił, bardzo ucieszony pornografią emocjonalną, Janek. – Ja na przykład nigdy komedii nie pisałem, za wszelkie zatem nieudane próby z góry przepraszam. Czy ja mogę, szefie, porwać na chwilę naszą nieocenioną Patrycję? Mam pomysł, jak wyłudzić jeszcze jedno opowiadanie, ale potrzebna mi do tego Pati. – Łgarstwa przychodziły Jankowi łatwiej niż wielorybom oddychanie.

– Na dłuższą chwilę czy krótszą? Zresztą, dobrze, nie chcę wiedzieć. – Mroku znowu podłączył się do swojego Blackberry. – Zejdźcie mi z oczu.

Patrycja bardzo niechętnie zeszła z oczu Wodza, ale Janek, jak to Janek, coś tam naszeptał do ucha, namotał i koniec końców siedzieli razem w kawiarni nieopodal siedziby redakcji.

– Wiesz co – zagaił, gdy już złożyli zamówienie na szarlotkę z lodami. – Mogę ci trochę pomóc, jeśli chcesz.

– W czym?

– W zdobyciu Mroka. On sam z siebie, jak widzisz, nie jest w stanie zauważyć takiej fajnej dziewczyny jak ty!

– Ale... – Patrycja spąsowiała.

– Ale nie ma czego się wstydzić! Jak jest się zakochanym, to wszystko w człowieku śpiewa i kwitnie: oczy, włosy, skóra, paznokcie. Trudno to ukryć. – Janek zniżył głos do szeptu. – A ja nikomu nie powiem. To będzie nasza tajemnica. Mroka prędzej czy później ktoś namierzy i będziesz żałowała. Szczęściu należy pomagać. To co, chcesz?

– Przecież on na mnie patrzy jak na mebel! – Pati przełknęła łzy. – Albo jeszcze gorzej. Czegokolwiek bym nie zrobiła, nawet dziękuję nie powie. Ja się nie skarżę, wiem, że jestem tylko zwykłą dziewczyną na stażu, a on ma szlacheckie pochodzenie (szlacheckie pochodzenie? – zdziwił się Janek w duchu), ale inny to by chociaż się uśmiechnął, zagadał. A nie tak, jakbym była przedmiotem... – Głos Patrycji zadrżał z emocji. – Nie mam szans, choćbyś niebo i ziemię poruszył.

– Nie dramatyzuj. – Poklepał ją po dłoni. – Po prostu nie znasz mężczyzn. Trzeba im pokazać palcem, kto jest warty zainteresowania. Zaufaj mi, co ci szkodzi? Mam pewien plan...

– A jeśli wyrzuci mnie przez te miłosne intrygi z redakcji? – Dziewczyna nie była przekonana.

– Biorę wszystko na siebie – zapewnił rycersko Janek i przyłożył rękę do piersi. – Przeczytaj tylko dziś za mnie kolejne opowiadania, wystaw im oceny, żeby Mrok się nie czepiał, a ja już od teraz zacznę działać. Tylko pamiętaj, cicho sza!

– No dobrze, ale żeby afery nie było, bardzo proszę...

– Słowo skauta!

Bez zobowiązań

Joanna Łukowska

Czekam, wpatrując się w drzwi hotelowego pokoju. Viola spóźnia się. Ledwie kilka minut, ale dość, bym poczuł ukłucie niepokoju. Może coś jej wypadło i dzisiaj w ogóle nie przyjdzie? Ale wtedy dałaby chyba jakiś znak...? Powinna. Przecież dziś piątek, nasz stały dzień spotkań. Nie rwałbym szat, gdyby się nie pojawiła, jednak czułbym się zawiedziony. Liczyłem na miłe odprężenie w jej towarzystwie. Sam widok Violi sprawia, iż moje zagonione codziennością myśli zwalniają bieg, a potem... zmysły przejmują kontrolę nad spiętym ciałem i obolałą psychiką. Niewiele rozmawiamy, bo o czym tu deliberować. Wszystko jest jasne, układ prosty. Łączy nas seks bez zobowiązań, zbędnych wynurzeń, wzajemnych pretensji, snucia wspólnych planów, których nie ma i być nie może. Póki obu stronom to pasuje, nie widzę powodów do zmian. Od blisko roku, co tydzień spotykamy się w tym samym hoteliku na uboczu, w tym samym pokoju na pierwszym piętrze. Portier już mnie zna i o nic nie pyta. Gdy biorę klucz na dwie godziny, na jego znudzonej twarzy nawet znaczący uśmiech się nie pojawia. Należę do stałych bywalców, którzy płacą i kłopotów nie sprawiają. Szkoda więc zniechęcić dobrego klienta głupimi uwagami.

Zerkam na zegarek, tłumiąc niepokój. Wierzę, że Viola przyjdzie. Jest kobietą niemal idealną. Piękną, seksowną, małomówną, zwykle punktualną. Wie, jak mi dogodzić i nie wymaga ode mnie uczucia. Żadnych miłosnych komplikacji – to było jasne od samego początku. Nie mogę dać czegoś, czego już we mnie nie ma. Umarło razem z Grażyną. Nigdy już tak nie pokocham, nikogo. Nie chcę. Boję się zaryzykować. Żona była dla mnie słońcem i księżycem. Gdy odeszła, światło znikło, niebo zasnuły ołowianie chmury tęsknoty, smutku, beznadziei... Szczęście we dwoje zastąpiła samotna egzystencja. Kiedyś pracowałem, żeby żyć. Teraz tylko rutyna

pracy utrzymuje mnie życiu. I spotkania z Violą, raz na tydzień, kiedy na dwie godziny udaje mi się zapomnieć.

Poznałem ją w barze, gdzie planowałem się upić, potem wrócić taksówką do żałośnie pustego domu i zapaść w sen bez żadnych koszmarów. Zwłaszcza tych, w których osobowe auto wpada w poślizg na oblodzonej szosie i wjeżdża wprost pod tira. Zbliżała się druga rocznica wypadku i fatalnie to znosiłem. Fakt, iż wokół świat, jak gdyby nic, znowu szykował się do Świąt, tylko pogarszał sprawę.

– Hej, jestem Viola. Szukasz towarzystwa? – spytała blondynka o wspaniałym dekolcie. Uśmiechała się zmysłowo, pachniała orientalnymi perfumami, a jej skóra mieniła się drobinkami koloidalnego złota. Nie pragnąłem towarzystwa, tym bardziej damskiego – po prostu wolałem siedzieć wśród obcych ludzi niż upijać się do lustra – ale, o dziwo, moje ciało zareagowało. Dusza we mnie umarła, typowo męskie żądze przetrwały, jak się okazało.

– Być może... – mruknąłem. – Postawić ci drinka?

– Nie odmówię. – Usiała obok na stołku i kiwnęła na barmana, który natychmiast ustawił przed nią szklaneczkę z jakimś kolorowym koktajlem. Widać znał jej gusta, a ja wkroczyłem na teren łowów Violi, co potwierdziła dalsza propozycja. – Pijemy i gadamy, czy może... pójdziemy gdzieś, żeby zapomnieć... się. – Puściła do mnie oko i zaśmiała się cicho, gardłowo. Cholernie seksownie.

Przyjrzałem się uważniej dziewczynie, która obudziła mnie z uśpienia. Naprawdę była bardzo ładna, mimo silnego makijażu. Dorodna seksowna blondyna. Zupełnie inna niż ciemnowłosa drobna Grażyna. Tak lepiej. Tylko szaleniec szukałabym ducha w żywej kobiecie.

– Nie mam ochoty gadać, ani teraz, ani w ogóle – uprzedziłem ponuro.

– Tym lepiej, lubię smutnych milczków, są seksi... – Leciutko oblizała wargi i wzmogła efekt, kładąc mi dłoń na udzie. Przesunęła nią w górę, do zamka dżinsów i wprawnie ujęła wyraźną już wypukłość. Zapulsowała pod jej dotykiem. – No, no... Szybki z ciebie zawodnik albo... wyposzczony. Rozwodnik, wdowiec...? – Wzruszyłem ramionami, nie zamierzając się tłumaczyć. – Sorry, mój błąd – wycofała się.

Dopiłem whisky i zerknąłem znacząco na jej szklankę. Nie skończyła swojego fikuśnego koktajlu. Widząc, że wstaję, też zsunęła się ze stołka.

Zapłaciłem więc za swoje trzy whisky i jej ledwie tkniętego drinka. Cóż, ja też nie zwykłem pić w pracy. Ruszyliśmy do wyjścia. Nie uwiesiła się na moim ramieniu, nie szczebiotała, nie przymiliła się, za co byłem jej wdzięczny. Jakby wyczuła, że zbytnia namolność mnie zniechęci.

W taksówce siedliśmy z tyłu, każde przy swoim oknie.

– Dokąd jedziemy? – spytał kierowca.

– Znasz jakiś dyskretne miejsce? – zwróciłem się do Violi.

Kiwnęła głową i podała taksówkarzowi adres, po czym zapatrzyła się w ciemność za oknem. Chwilę później jej dłoń, jakby żyła własnym życiem, znowu dotknęła mojego uda i powędrowała na zwiady. Nie wiem, czy sprawdzała moją gotowość, czy ją umiejętnie podtrzymywała – w każdym razie działało. Mknęliśmy szosą za miasto, a mnie ogarniało coraz większe pożądanie...

Portier dał nam klucz, skasował za godzinę z góry i życzył dobrej zabawy. Szedłem za Violą po schodach, wpatrując się jak urzeczony w ruch jej bioder. Kołysała nimi, falowała, hipnotyzując mnie i kusząc... W pokoju usiadłem, a ona na parę minut zniknęła w łazience, skąd wyszła w samych pończochach i gorsecie. Jej pyszne piersi wychylały się ze staniczka jak dwa jędrne melony. Jej smukła kibić, ściśnięta fiszbinami, tym bardziej podkreślała krągłą linię bioder. Siedziałem skamieniały, niezdolny do żadnego ruchu. Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować w tej zupełnie nowej dla mnie sytuacji. Więc po prostu tkwiłem w fotelu, gapiąc się na nią i pozwalając przejąć inicjatywę.

Podeszła bliżej i klękła przede mną, sięgając do rozporka. Rozpięła go, pociągnęła za nogawki spodni; uniosłem się, by ułatwić jej zadanie. Wkrótce byłem nagi od pasa w dół. Twardy i napięty, trochę zawstydzony. Wypity alkohol pomagał, ale nie dość. Ujęła mnie w dłoń, poruszyła kilka razy na próbę, by złapać rytm. Westchnąłem i przymknąłem powieki, ręce kładąc na oparciach fotela. Oddałem się we władzę Violi. Działała cuda, stopniowo uwalniając mnie od napięcia, stresu, skrupułów, pamięci. Gdy jej magiczne palce zastąpiły równie czarodziejskie usta – przestałem myśleć. Oraz czuć cokolwiek poza narastającym podnieceniem, które wybuchło... nagle!... gwałtowną... ciepłą... ulgą. Za szybko?

Spojrzałem na Violę. Uśmiechała się. Otarła usta i wskazała brodą łóżko. Uniosła brwi w niemym pytaniu. Niesamowite, ale sama ta rozmowa bez słów, pełna erotycznego podtekstu, sprawiła, że znowu nabrałem

ochoty. Viola była pomysłowa, niezmordowana i bardzo wygimnastykowana. Uch... naprawdę znała wiele sposobów, by doprowadzić mężczyznę do stanu wrzenia. Tylko w usta się nie całowaliśmy, co akurat mi pasowało. Taka intymność oznaczałaby coś więcej. Może to głupie, ale całując się z inną kobietą niż żona, miałbym wrażenie, że ją zdradzam. Dopiero wtedy.

Swoją wdzięczność za cudownie spędzone dwie godziny zmaterializowałem na stoliczku nocnym. Byłem hojny. I zaproponowałem spotkanie za tydzień w tym samym miejscu, o tej samej porze.

Zgodziła się i jak dotąd nigdy mnie nie zawiodła.

Tym razem też nie. W końcu drzwi otwierają się i widzę w nich Violę. Lekko zdyszaną, dyskretnie umalowaną, ubraną zwyczajnie, w kurtkę i dżinsy. Wygląda młodo, ślicznie, jak studentka, którą być może jest...

– Spóźniłaś się! – Pretensja brzmi ostrzej, niż bym chciał.

– Sorry, ale utknęłam w windzie w centrum handlowym, jadę prosto stamtąd. Tylko paki w domu zostawiłam. Uff, na szczęście gros zakupów na Święta już zrobiłam. Upominki dla rodzinki mam z głowy, został mi tylko... – urywa, zdając sobie sprawę, że właśnie łamie naszą niepisaną umową: żadnych zwierzeń. Ale czyż sam jej nie sprowokowałem, okazując coś na kształt zazdrości? Co gorsza, naprawdę czuję się oszukany. Niby niczego nie chciałem wiedzieć o jej życiu – ilu na przykład ma sponsorów do mnie podobnych – jednak założyłem, że nie jest ono sielanką, skoro zaczepia facetów w barze. Tymczasem ma jakąś rodzinę, jakichś bliskich, którym kupuje prezenty, szykuje Gwiazdkę... Czy dlatego łamię kolejną zasadę i całuję ją? Głęboko, gwałtownie, namiętnie. Za karę, że nie jest tak samotna i nieszczęśliwa jak ja? Nie uchyla się, pozwala, nawet oddaje pocałunek, zmieniając go pod koniec niemal w czułą pieszczotę.

– Czy to coś oznacza? – zdobywam się na odwagę, by zapytać. Więcej, ośmielam się mieć nadzieję.

– Pożegnanie. – Uśmiecha się. – Lubię cię, naprawdę. Dlatego lepiej, żebym sobie poszła. Powinieneś znaleźć sobie kobietę, na stałe. Dojrzałeś moim zdaniem...

Stoimy, patrząc sobie w oczy. Do mnie należy decyzja, czy każę jej zostać, co mnie będzie kosztowało. Czy zaryzykuję i poproszę, żeby

została, ale wtedy cena może być jeszcze wyższa. Mógłbym znowu kogoś pokochać...

Niefortunne zdarzenie

Dorota Pasek

Mijał kolejny tydzień czerwcowych upałów i gwałtownych burz. Beata zmęczona całodziennym ukropem poszła pod wieczór na daleki spacer i nie zdołała uciec przed kolejną ulewą. Przemokła do suchej nitki i wróciła do domu nieco zmarznięta. Wpakowała się więc do wanny pełnej wody pachnącej lawendą. Nie powinna tak robić, bo gorące kąpiele raczej jej nie służyły, ale... „Raz, nie zawsze”– skwitowała swoje obiekcje. Leżała z przymkniętymi oczami, kiedy posłyszała skrobanie psich pazurów o deski podłogi w korytarzyku przed łazienką. Czarny nosek wsunął się w okrągły wywietrznik w dole drzwi i powąchał powietrze w niedostępnym pomieszczeniu, po czym schował się i potężnie kichnął.

Śmiejąc się, wyszła z wanny i owinęła dużym ręcznikiem. Ledwo otworzyła drzwi, napadł na nią roześmiany beagle, którego nazwała całkiem bez polotu Łatką. Pies był jej jedynym towarzyszem w domu na odludziu. Co prawda najbliższe zabudowania leżały jakieś siedemdziesiąt metrów dalej, ale w podniszczonej wiejskiej chacie za ogrodzeniem z siatki nikt nie mieszkał. Teraz też za oknem był tylko spłukany deszczem, bezludny krajobraz.

Pomaszerowała po chłodnych kaflach do pokoju. Podeszła do wielkich, przesuwanych drzwi prowadzących na taras i wyjrzała do ogrodu. Na zewnątrz wszystko lśniło od deszczu. Na wielkich liściach funkii, rosnących wzdłuż ścieżki, ciągle błyszczały duże pojedyncze krople wody. Po chwili poczuła, jak Łatka ociera się o nogi. Pochyliła się i pogłaskała go, choć wiedziała, że kłaczki sierści przykleją się do mokrej dłoni. Ze śmiechem przyjęła psi jęzor zlizujący wodę z dłoni. Kafelki chłodziły stopy, mokre i rozgrzane ciało schło i stygło.

Już miała odejść od okna, by się ubrać, gdy Łatka zaczął poszczekiwać. Pochyliła się do niego, poklepała po karku, po czym rzuciła okiem na taras.

W sekundę skamieniała, z rozchylonym nieco ręcznikiem i ręką wyciągniętą w stronę psa. Z głowy odpłynęły wszelkie myśli. Trzy metry przed nią stał facet.

Z bezwładu wyrwało ją wzmożone ujadanie Łatki. Patrzyła ciągle na stojącego nieruchomo faceta i całkiem idiotycznie sięgnęła po leżącą na stole komórkę. Po kilku sygnałach odezwał się młody męski głos. Choć sama nie wiedziała dlaczego, szeptała konspiracyjnie.

– Krzysiu! Naprzeciwko mnie na schodkach tarasu stoi facet.

– Co? Co za facet?

– Jakiś taki nieco zużyty, z brzuszkiem, łysawy...

– Z brzuszkiem? Znasz go?

– Ja?! – zapytała tonem wyrażającym olbrzymie zaskoczenie i sprzeciw. – Nie. Ale on się uśmiecha.

– Uśmiecha? – W głosie syna słychać było absolutne niezrozumienie sytuacji.

Beata spojrzała znowu na mężczyznę za oknem.

– No, przecież mówię. Niewysoki, łysawy, brzuszek, pulchne policzki, rozbawiony uśmiech.

– Podobny do Zamachowskiego?

– Tak jakby. Trochę...

– W takim razie to jest właściciel tego domu za siatką, gadałem z nim kiedyś. Powinnaś go poznać, mamo. – Tym razem w głosie Krzyśka dominowała pewność niewzruszona.

Beata wsłuchała się w słowa syna i nagle zaczęła się denerwować. Krzysiek czekał na jakąś odpowiedź, w słuchawce wyraźnie brzmiał jego oddech, ale Beata zaniemówiła, bo dotarła do niej pełnia konsekwencji tego nieoczekiwanego spotkania. Stała oniemiała i bez ruchu, wpatrując się w uśmiechniętego brzuchacza.

– Mamo!? – Pauza wypełniona ciszą wzmogła zdenerwowanie syna. – Mamo?! Powiedz coś!

Pytanie wyrwało ją z marazmu. Usłyszała jazgot psa.

– Cicho, Łatka!

Odpowiedź musiała zaskoczyć Krzyśka całkowicie, bo krzyknął do słuchawki:

– Co się dzieje?! Mamo?! Jak facet?

– On? O żeż kurwa! – jęknęła głosem pełnym ni to przerażenia, ni złości, po czym rozłączyła się i błyskawicznie, jednym płynnym ruchem schowała za ścianą. Powtórzyła raz jeszcze przekleństwo i po chwili milczenia zapytała samą siebie:

– I co teraz, idiotko?

Spanikowała. Przylgnęła do ściany nagimi plecami i spojrzała po sobie. Przez miesiące życia w samotni przywykła, że nikt nigdy jej nie widzi, więc łaziła czasami tak jak dziś. Wyszła z wanny, owinęła się ręcznikiem, obejrzała ogród, pogłaskała psa, cały czas widoczna doskonale w wielkich drzwiach balkonowych. A on, ten facet tam naprzeciwko, obejrzał ją sobie na wszelkie możliwe sposoby! Bluzgnęła raz jeszcze zdesperowanym głosem, czym wyczerpała roczny zasób przekleństw.

Telefon rozdzwonił się, pokazując na wyświetlaczu „synuś”. Odebrała.

– Mamo! Co się dzieje?! – Krzysiek był ewidentnie zaniepokojony.

– Spalę się ze wstydu! – jęknęła do słuchawki.

– Że co?

– Będę musiała się wyprowadzić!

– Co?!

– Zapadnę się pod ziemię!

– Dość tego, zaraz mi mów, co się dzieje!

– Kąpałam się, bo zmarzłam, bo była burza i było mi gorąco, i przyszedł Łatka, i poszłam z nim zobaczyć, co tam w ogrodzie, i stałam tam, jak zobaczyłam tego facia, i jak ja teraz spojrzę gościowi w oczy?

– Ale o co chodzi?!

– Bo ja się nie ubrałam!

– Nie rozumiem, gdzie się nie ubrałaś?

– Wcale się nie ubrałam, w ręcznik owinęłam tylko, mówię przecież, gorąco mi było po tej kąpieli, to poszłam prawie goła, no, w tym ręczniku do pokoju. Zobaczyłam go, zamurowało mnie i zapomniałam, że nie mam ubrania, ale zadzwoniłam do ciebie i teraz już wiem, że to jest sąsiad i umrę ze wstydu!

– Spokojnie, mamuś, spokojnie – próbował mitygować Krzysiek.

– Jak spokojnie!? Stałam tam z dziesięć minut, a on, Bóg jeden wie jak długo, gapił się na mnie i pewnie teraz się zastanawia, co to za baba tu mieszka i czemu ta idiotka lata w samym ręczniku po pokoju i niemal

tyłkiem świeci?! Synuś! – Beata mówiła coraz bardziej płaczliwie. – A ty się śmiejesz!?

– Przepraszam – wydusił z siebie między kolejnymi napadami śmiechu – ale musisz przyznać, że to dość niespodziewane zdarzenie. Myślałem, że stało się coś strasznego.

– Ale stało się! Wiesz, ile ja mam lat!

– Lat? A co do tego...

– Tyle – przerwała mu – że nie powinnam latać goła po domu i pokazywać się obcym facetom. Żadnym facetom! Przecież on pomyśli, że ja wariatka jestem!

– Oj, zaraz wariatka! – próbował bagatelizować Krzysiek.

– I co ja mam teraz zrobić?

– Proponuję najpierw się ubrać.

– Jak mam się ubrać, kiedy ukrywam się za murkiem między oknami i nie mam jak stąd wyjść. Przecież gdy się ruszę, to on mnie znowu zobaczy!

– Przecież już cię widział.

– No i co z tego? Jak nie byłam tego do końca świadoma, to mi zwisało. Teraz wiem kto on i spalę się ze wstydu! Krzysiu! Rozmawiałeś z nim, co nie?

– No, rozmawiałem. Parę razy zimą, jak byłaś w sanatorium.

– I jego telefon masz? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Mam chyba wizytówkę. Dał mi, bo on to w takiej ciekawej firmie pracuje...

– Zadzwoń do niego – przerwała mu zdecydowanie. – Zadzwoń i wyjaśnij, że ja nie chciałam, żeby on mnie widział, że ma natychmiast odejść od mojego okna i na mnie już więcej nie patrzeć. I niech może on w ogóle zapomni, że mnie kiedykolwiek widział. I powiedz mu, że ja normalna jestem i że po domu na ogół tak nie latam, a dziś to takie wielkie nieporozumienie i mógłby dać znać, że on tam jest, a nie mnie bezczelnie podglądać! I po co on niby tu przyjechał, co?

– Odpocząć na łonie natury? – podpowiedział Krzysiek.

– Pieprzyć łono natury! Dzwoń do niego, bo mi już się zimno robi, ale jak nie zadzwonisz i nie powiesz, co tam trzeba, to ja wolę tu zamarznąć, niż znowu na jego oczach latać na golasa prawie.

– Nie dasz rady chociaż trochę się zasłonić?

– Czym?! – krzyknęła poirytowana. – Dzwoń do niego, błagam!

– Spokojnie, nie panikuj! Już dzwonię. Rozłączę się i zadzwonię.

Stała pod murkiem i drżała, bo zimno jej było coraz bardziej. Ciągnęło od podłogi. Łatka usiadł na wprost i spoglądał na nią z psim uśmiechem na mordce. Przeklęła i psa, i burzę, i gościa z tarasu. Gość ją podgląda, burza moczy, pies się nabija! Miała dość ich wszystkich, w ogóle wszystkich facetów! Tylko im gołe baby w głowie! I podglądanie! Usiadła na ziemi pod oknem i rozpłakała się. Łatka zaskomlał, po czym rzucił się do lizania i pocieszania. Odepchnęła go, ale niewiele sobie z tego robił i po sekundzie był z powrotem.

Kiedy Krzysiek zadzwonił kilka minut później, usłyszał w słuchawce już nie łkanie, ale wyraźne siąkanie nosem.

– Idź się ubrać. Obiecał nie patrzeć i w ogóle zapomnieć o tym całym niezręcznym incydencie. Słowa „niezręczny incydent” są jego, nie moje. Słyszysz?

– Słyszę. – Zaszlochała do słuchawki, ale Krzysiek wyczuł, że bardziej na pokaz niż rzeczywiście. Dla przyzwoitości dodał jednak:

– Nie płacz. Facet nie był zbulwersowany. I mówi, że niewiele widział, bo ciemno już się robiło.

– Akurat!

– Idź się ubrać. I do łóżka, wygrzać się, jak ci zimno. Co? On pewnie zaraz odjedzie, jeśli już tego nie zrobił. Spojrzysz?

– Już, zaraz. – Pociągnęła nosem i wyjrzała zza murka. – Nie ma go. To idę, synuś.

– To dobranoc. Jakby co, to dzwoń.

Po chwili leżała pod kołdrą i patrzyła w sufit.

– Jak ja się teraz temu facetowi pokażę? – jęknęła i zwinęła się w kłębek.

Beata już od rana sztywniała na samą myśl, że będzie musiała spojrzeć gościowi w oczy. Najwyraźniej on też o tym myślał, bo coś koło wpół do czwartej zadzwonił do jej drzwi. Dzwonek zaskoczył ją, bo nawet jeśli ktoś do niej wpadał, to nigdy z niego nie korzystał, a tu nagle w całym domu zabrzmiał ten wredny alarm. Dźwięk był tak głośny i piskliwy, że ciarki przeszły jej po plecach. Do tego natychmiast rozszczekał się Łatka. Poleciała do drzwi, oczywiście nie zdając sobie sprawy, kto tkwi na progu. Musiała mieć nietęgą minę, bo facet najpierw uśmiechnął się od ucha do

ucha, potem spróbował nad sobą zapanować, wreszcie zaśmiał głośno i nieco nerwowo.

– Niech mi pani wybaczy, ale sposób, w jaki się poznaliśmy, był tak czarująco zaskakujący, że nie mogę się powstrzymać. Obiecywałem sobie, że nawet o tym nie wspomnę, ale pani mina, taka pełna strachu i wstydu, świadczy o tym, że jak nie pomówimy o tym incydencie teraz, to w ogóle nie uda się nam porozmawiać. Dlatego, mimo że nie miałem o tym mówić, to jednak mówię.

Skończył przemowę i odsapnął, jakby po dłuższym biegu. Patrzyła na niego i nie wiedziała, co zrobić. A on stał spokojnie na progu i czekał. Oboje czuli się niezręcznie.

– Tak mi strasznie wstyd – wymruczała. – Naprawdę. Każę założyć roletki w oknach, żeby nie narażać nikogo więcej na takie widoki.

– Widoki, proszę pani, były całkiem niezłe. Jeśli o mnie chodzi. Nie wiem, jak to wyglądało z pani strony, ale z mojej było całkiem ciekawie. – Znowu się zaśmiał, trochę gardłowo, jakby sam był zawstydzony. – Gotuje pani ogórkową? – zapytał, pociągając nosem. – Ja uwielbiam. Mogę się wprosić? Ale najpierw się przedstawię: Piotr Lorent, ta ruina to dom mojej babki ze strony matki. Rzadko tu bywam, jak widać... Nie ma tam nawet na czym wody ugotować na herbatę, a co dopiero ogórkowej.

Patrzyła zaskoczona, aż wreszcie zrobiła krok w tył i ruchem dłoni zaprosiła go do środka. Poszli razem do kuchni.

– Sporo zmian – powiedział, rozejrzawszy się po wnętrzu. – Kiedyś tu było całkiem inaczej. Zadbała pani o wszystko, obejrzałem wczoraj z zewnątrz. Pięknie wyremontowane – pochwalił.

– Dziękuję. – Miło jej było, że mu się podoba. – Chce pan tej zupy? Ja najbardziej lubię zupy, gotuję tylko dla siebie, więc ciągle są zupy.

Gadała, nalewając mu na talerz solidną porcję. Kiwnął głową, dziękując, i czekał, aż usiądzie, a potem zabrał się do obiadu. Przyglądała się, jak wcina. Jadł spokojnie, ale widać było, że mu smakuje. Uśmiechnęła się. Dawno nie oglądała mężczyzny, zajadającego z takim apetytem.

– Nie je pani? – zapytał, nie podnosząc głowy.

– Jakoś tak... – Zabrała się za swoją porcję. – Smakuje?

– Naprawdę dobra.

– Dokładka?

– Nie. Jestem pełen. – Poklepał się po okrągłym brzuszku.

Patrzył za okno, na ogród i westchnął ciężko. Wstał i podszedł do starego pieca kaflowego, jedynej rzeczy, jaka została z dawnego wystroju pokoju.

– Mogę jeszcze trochę posiedzieć? U mnie taki bałagan i nie ma nawet na czym usiąść. Przyjechałem wczoraj pod wieczór i wychodziłem po burzy na spacer, żeby pooddychać świeżym powietrzem, kiedy zobaczyłem panią. Trochę mnie zamurowało. Panią chyba też... Przyszedłem porozmawiać o tym wczorajszym, niezręcznym... Przeprosić... – jąkał się wyraźnie speszony.

– Proszę już tego nie wspominać, bo spalę się ze wstydu – przerwała mu. – Może pan sobie posiedzieć. Ja muszę popracować.

Pokiwał głową i rozsiadł się wygodnie w fotelu przy kaflowym piecu. Zauważyła jeszcze, jak pogłaskał stare kafle, a potem wyszła na taras. Widziała, jak tkwi na swoim miejscu bez ruchu, a przed nim leży Łatka, w jednej ze swoich najczujniejszych póz. Trudno było się jej skupić nad korektą dziwacznego tekstu o światach równoległych, więc oparła się wygodnie i zapatrzyła na las za polem. Kiedy rzuciła okiem na pokój, nieoczekiwany sąsiad i jej kochany pies drzemali. Pokręciła głową, nie rozumiejąc zwyczajów pana Piotra Lorenta. Spać po obiedzie w obcym domu! Co za obyczaje?

Wróciła do lektury i nie usłyszała, kiedy wstał. Drgnęła dopiero na dźwięk słów.

– Chyba usnąłem. Nie wyspałem się w nocy, ten dom jest okropny. Śmierdzi w nim i ma dziurę w dachu. Całą noc mi się śniło, że ktoś wchodzi przez nią i próbuje mnie dopaść. Głupie, nie? – Zaśmiał się, jakby własne lęki go bawiły. – Pójdę na spacer. Dziękuję za obiad. I mam nadzieję, że mi pani wybaczy, że ją widziałem i wprosiłem się na zupę i do tego zdrzemnąłem w jej fotelu.

– Co też pan, cieszę się, że ktoś ze mną zjadł i że mu smakowało. A co do wczoraj... Chyba to ja powinnam prosić o wybaczenie.

– A to niby dlaczego?

– Oglądanie starszych pań w negliżu niekoniecznie jest miłe.

Znowu się zaśmiał. Pochylił się, wziął jej dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek.

– Oj tam! Zapewniam, że chętnie spojrzałbym raz jeszcze. Ja do młodzików też nie należę. Jak widać. – Przejechał dłonią po włosach,

porządnie przerzedzonych i wyraźnie szpakowatych. – Za chwilę będę całkiem siwy. Albo łysy.

Patrzył spokojnie, ale z zainteresowaniem. Serce jej drgnęło, załomotało, a na policzki wypłynął rumieniec.

– Mam prawie pięćdziesiąt lat i rumienię się jak pensjonarka! – Pokręciła głową. – Niech pan już lepiej idzie.

Wyprostował się, puszczając jej dłoń. Obserwowała, jak schodzi z tarasu i idzie do furtki, ścieżką między krzakami funkii. Wokół jego nóg tańczył Łatka, całkiem jakby wspólna drzemka odmieniła ich wzajemne relacje. Kiedy Piotr wyszedł na drogę sam, pies najwyraźniej niezadowolony spojrzał na Beatę. Udała, że nie wie, o co temu czworonożnemu cwaniakowi chodzi.

– Cóż za dziwaczna przygoda – mruknęła do siebie i pochyliła się nad rozważaniami o światach równoległych.

Łatka patrzył to smętnie za odchodzącym w stronę lasu mężczyzną, to oczekująco na Beatę. Szczeknął. Pokręciła głową z dezaprobatą. Przeczytała dwa zdania. Zbyt długie i zawiłe. Wiedziała, że właściwie to powinna iść z Łatką na spacer. Wstała. Pies zaszczekał radośnie.

– Hej, proszę pana! – zakrzyknęła niezbyt głośno.

Nie usłyszał.

– Piotrek! – wrzasnęła; pies zawtórował jej głośnym, przywołującym szczekaniem.

Sąsiad odwrócił się. Pomachała do niego. Odmachnął i czekał co dalej.

– Mogę iść z tobą? – zapytała, krzycząc na całą okolicę.

– Jasne!

Pozbierała swoje rzeczy i gwizdnąwszy na psa, wyszła na piaszczystą drogę. Łatka wyprzedził ją i wesoło merdając ogonem, krążył wokół uśmiechniętego, nieco zużytego faceta. Beata szła za czworonogiem i ku swemu wielkiemu zaskoczeniu poczuła, jak serce przyspiesza, krew zabarwia policzki. Piotrek stał na środku drogi i czekał na nią. Nie był bosko przystojny, ale uśmiechał się jak młody bóg i najwyraźniej był szczęśliwy, że zdecydowała się pospacerować razem z nim.

Rzuciła okiem na jego dłoń. Zauważył to i zaśmiał się głośno.

– Nie mam żony. To dobry początek znajomości?

– Ciekawy na pewno – odpowiedziała i ruszyła przed siebie.

„Ziarno zostało zasiane”

Jan Siwmir

Janek nigdy do tej pory nie prosił zwierzchnika o spotkanie sam na sam. Jego taktyka polegała na unikaniu wszelkiej władzy jak ognia, wtapianiu się w tło i niepodpadaniu. Być może dlatego zszokowany Naczelny zgodził się na wspólny wypad do pubu w celu, jak to Janek określił, mocno rekreacyjnym. Zdziwienie i ciekawość wygrały u Mroka z brakiem czasu. W żadne rekreacyjne cele wprawdzie nie wierzył, ale też nie widział powodu, żeby odmówić.

– Szefie, mamy problem... – zakomunikował Janek, patrząc gdzieś pomiędzy słusznych kształtów kelnerkę a ścianę upstrzoną graffiti, i znacząco zawiesił głos.

– Jaki problem? – westchnął odporny na podobne zagrywki Naczelny.

– Mamy super nabytek, tylko nie bardzo umiemy go wykorzystać. Coś jak w szpitalach, maszyny są, ale instrukcja obsługi po chińsku, a chińskiego nikt nie umie.

– A po polsku?

– No mówię, że po polsku instrukcji nie ma, tylko po chińsku. – Janek zdziwił się tępotą Naczelnego.

– Prosiłem, żebyś zamiast ogródkami, zaczął mówić wprost, o co chodzi. Zejdź ze szpitalnych maszyn.

– Aha... no właśnie, widzisz... czy ja cię mogę zapytać o coś?

– Wal. – Mroku zrezygnowany podniósł do ust szklankę z drinkiem.

– Hm... hm... czy ty masz jakąś dziewczynę?

– Phymp! – Większość drinka poleciała w przestrzeń poza stolik, a Mroku mało się nie udusił z wrażenia. – Odbiło Ci? Co to za pytania?

– Całkiem normalne. – Janek odzyskał rezon. – Nor-mal-ne! O takich właśnie sprawach ludzie rozmawiają, to się nazywa życie towarzyskie. Masz w ogóle jakieś życie towarzyskie?

– Nie mam. Możemy przejść do sedna? Bo chyba nie zaprosiłeś mnie tu na randkę? – Zgryźliwa uwaga dotarła do stolika obok i zwróciła uwagę dwóch mężczyzn. Janek pokazał im język. Popukali się w czoło.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie. Masz dziewczynę?

– Nie, bo co?

– Bo moim zdaniem pasowałbyś idealnie do Patrycji. – Janek odebrał kolejnego drinka, sprawdzając jednocześnie, jakie wrażenie zrobiły jego słowa.

– Co?! Ja według ciebie pasuję do tego bezmózgiego cielęcia? Chyba na zasadzie kontrastu! Zapomnij! – Mroku walnął szklanką w blat stolika i podniósł się gwałtownie. – Aha, napisałeś już coś? Bo Zuza oddała niedawno jeden tekst, a drugi zapowiedziała na dziś wieczór, Kornelia też się wywiązała, Ania również. Obijasz się... Jutro najpóźniej widzę przynajmniej jedno twoje opowiadanie.

Uff, ulgowo przeszło, pomyślał Janek i zadowolony wyszedł z pubu. Ziarno zostało zasiane. Patrycja jego zdaniem w chwili obecnej nie nadawała się do niczego, ale jakby ją Mrok lekko zachęcił, ukierunkował, czyli innymi słowami użył prawidłowej instrukcji do jej obsługi, mogłaby wykonywać o wiele więcej prac redakcyjnych. Tym samym on, Janek, miałby więcej wolnego. Nie żeby od razu ślub brali, ale platoniczny flirt i nadzieja wlana w głupie serduszko? Why not? Pomysłu jak widać żadnego specjalnego nie miał, ale przynajmniej spadło mu z głowy ocenianie tekstów. I czegoś bardzo ważnego się dowiedział...

Można

Zuzanna Lenska

– Patrz, ile dostał listów... – Z worka wysypują się koperty. Niektóre z nich są białe i zwykłe, adresowane niebieskim tuszem tanich długopisów, ale wiele to ozdobne papeterie, w kwiaty, nadrukowane lub narysowane starannie kolorowymi kredkami.

– Kolejna porcja idiotek. – Drugi strażnik odgarnia koperty na bok, porządkuje, wpisuje każdą do ewidencji. – A ta ostatnia, co tak wystaje pod klonem, tym naprzeciwko apteki? Nawet niezła dupa, po co jej to? Nie mogłaby sobie znaleźć jakiegoś normalnego chłopa?

– Z wyrka bym jej nie wyrzucił... – przyznaje Karol, składając pusty worek i chowając do szuflady. Brzęknęły klucze. – Idę na blok. Pani psycholog dziś ma sesję...

– Eskorta? – rzuca strażnik z krzywym uśmieszkiem, bo Karol od dawna ma słabość do blondyny. Bez szans. Taka babka nie poleci na łysawego funkcjonariusza z dwójką na rękę i ze zbyt pucołowatymi policzkami.

– Wróćmy jeszcze do tamtego wieczoru. – Psycholożka założyła białą bluzkę z kołnierzykiem. Prasowała ją tuż przed wyjściem. Nie widać jeszcze zagnieceń, dopiero usiadła, a Piotr Mrocki jest dziś jej pierwszym pacjentem.

Pacjent nosi czerwony drelich, ale rąk i nóg już dawno mu nie skuwają. Zachowuje się grzecznie. Kurtuazyjnie. Wstaje na widok funkcjonariuszy. Na jej widok. Czeka, aż ona zajmie krzesło pierwsza. Dopiero potem siada.

Rozmawiają raz w tygodniu przez godzinę, czasem dwie. Psycholożka przychodziłaby częściej, gdyby dało się to załatwić, ale i ją blokują przepisy. Fundusze. To nie jest terapia, oboje to wiedzą.

Po prostu rozmawiają o tym, co się wydarzyło.

Garderoba otwiera się przesuwnymi drzwiami. Rzędami naprzemiennie głębokich i płytkich szuflad. Wieszakami. Drewniane ramiona na drucianych, wygiętych wdzięcznie szyjach. Szeregi bezgłowych ramion. Uporządkowanych, policzonych, milczących mieszkańców tej zamkniętej krainy.

Te z dolnych rzędów obciągnięto lnianą tkaniną. Gładką i miękką jak rozpostarte ramiona dzieci, naśladujących samoloty. Na tych czułych stelażach białe latawce. Jeden za drugim, jeden przy drugim, jeden obok drugiego – latawce męskich koszul.

Marta zamyka oczy i wyobraża sobie, że te latawce zabierają ją przez otwarte okno, tam, nad krzak jaśminu... Nad chodnik, nad ulice, wysoko. Wysoko. Wyżej i wyżej. Nad dachy. Ponad wschodzące, palące słońce. Do zimnego nieba, gdzie nietknięta dźwiękiem cisza zamyka się nad nią jak kryształowa kopuła.

Zaskoczył ją. Nie zauważyła, kiedy wszedł.

– Piotr... – Nigdy nie mówi do niego Piotrek, Piotruś... Nigdy nie używa zdrobnień, czułych sekretnych imion, które znaliby tylko oni. Piotr. Ten dźwięk jest jak skała, twardy jak on. Nie znalazłaby innego imienia, lepszego.

Piotr zbliża twarz do jej twarzy. Czuje ciepło i zapach noszonej cały dzień wody kolońskiej. Oddycha nim, czując, że serce bije coraz szybciej i szybciej. Cofa się odruchowo, krok lub dwa, aż plecami opiera się o ścianę. Drży, gdy zbliża się jeszcze bardziej, tak blisko, że prawie jej dotyka. Prawie.

Patrzy na nią. Czuje to spojrzenie, ślizgające się po jej twarzy, rzęsach, policzkach, szczycie nosa... Oddycha coraz szybciej, ale żebra nie rozciągają się dostatecznie, by zaczerpnąć niezbędną ilość powietrza. Skurcz mięśni ściska ją jak żelaznym gorsetem – zdaje jej się, że zaraz się udusi.

Opiera dłonie o ścianę, po obu stronach jej ramion, pochylając się jeszcze i jeszcze. Jego oddech parzy szyję. Szorstka żuchwa dotyka jej skroni. Zarostem zaczepia kosmyk włosów. Odgarnia go delikatnie palcem. Opuszek zatrzymuje się nieco zbyt długo na skórze. Układa pukiel za uchem. Muska lekko oddechem, jak ciepły wiatr, jednocześnie przyciskając miednicę do jej bioder. Zakołysał nią jak w tańcu.

– Robiłaś pranie?

Nie może oddychać. Nie może się ruszyć. To miejsce pod przeponą zwinęło się jak malutki kotek w ciasny, puszysty kłębuszek.

– Prasowałam...

Jego wargi są najpierw suche i chłodne. Tylko przez chwilę.

– I krochmaliłam... – Wnika w nią coraz głębiej... Dotyka wewnętrznej strony policzka, tej gładkiej sprężystej powierzchni uginającej się pod naporem języka. Pełznie po zębach. Po dziąsłach. Podniebieniu wysklepionym półokrągło. Tym odwróconym do góry dnem pucharze o satynowych brzegach. Smakuje ją, jak smakuje się wino. Ssie usta jak ssie się twarde, mleczne karmelki. Zachłannie, z apetytem i chciwie. Łapie ją za podbródek i unosi twarz do góry, przytrzymuje, nie przerywając. Zarost drapie skórę.

Marta nie może się odwrócić ani przełknąć śliny, ani odetchnąć, krztusi się. To trwa i trwa, coraz mocniej i mocniej, i głębiej, aż do gardła, aż spod zaciśniętych powiek lecą łzy, a zaciśnięte, zbielałe z braku krwi palce drętwieją zupełnie.

Puszcza ją równie nagle, co gwałtownie.

Nie zauważyła, że cały ten czas stała na palcach i nagle mięśnie łydek wiotczeją. Kolana uginają się jak złamane, jakby ktoś uderzył w nie kijem.

– Ta plama po winie nie zeszła jednak...

– To nic... nic. – Obejmuje ją za głowę, tuli i głaszcze po włosach, zanurza w nich palce, przesypuje i przegarnia z czułością. – Martusia... moja, moja... – Zanurza twarz w jej włosach, i całuje, i wdycha, i uśmiecha się z powodu łaskotania, najprzyjemniejszego z możliwych, i odwraca ją brzuchem do ściany, odgarnia je z ramion, pleców, odsłania kark, składa setkę drobniutkich pocałunków, serię malutkich pieczątek, zostawiających na skórze wilgotny ślad. – Moja... – mruczy. Posuwa się wzdłuż, w dół. Nieprzyjemny odgłos rozdarcia i koszula spada na podłogę.

– Wszystkie koszule poprane? – Klęczy między jej nogami, tuląc twarz do lędźwi, całując wypukłość pośladków, rozgniatając je i zagarniając kolistymi ruchami całych dłoni. Mocniej i mocniej.

Marta trzyma się ściany i już nie wie, gdzie góra, gdzie dół. Czy spada, czy unosi się, czy stoi, czy leży na białym, zimnym betonie? Czy wtapia się w niego, jak w śnieg przez gorączkę parującą z ciała. Przez ukrop przelewający się przez tkanki, upał falujący pod skórą... Front wysokiego

ciśnienia rozsadzający tętnice i uderzający do głowy, rozsadzający od wewnątrz kości, pękające i rozpadające się w drzazgi...

– Wszystkie? – dopytuje.

– Wszystkie...

Rozpycha jej nogi. Podrywa z podłogi, wsuwa biodra między uda. Lecą tak oboje przez pokój. Marta uderza plecami o materac, on uderza o nią i wchodzi gwałtownie, jednym szybkim, bezwzględnym pchnięciem i dopycha mocniej, do końca, aż słyszy jej krzyk. Krzyczy, zapiera się łokciami. Biodra suną po prześcieradle, w które wczepia się palcami. Zjeżdża pod niego po chłodnym, szorstkim lnie. Spazmatycznie jęczy, szuka... czego można się chwycić. Spycha łokciem poduszkę. Przewrócona lampka toczy się pod drzwi.

– Wiesz, jak lubię porządek? Jak lubię porządek?...

Zaciska dłonie na zagłówku. Zaciska powieki. To on. Piotr, skała. Jej mąż. Przetacza się nad nią jak grom z głuchym łoskotem nad polem dojrzałej pszenicy, pod ciemniejącym niebem, nabrzmiałym od deszczu. Powietrze jest parne i sztywne, aż można je kroić... a ona wytrzymuje to jak wybrzeże. Cierpliwy ląd, w który wdziera się huczące morze. Piasek zmywany słoną wodą. Białe klify w porze przypływu.

– Dziwko... – szepczą fale.

– Co? – Patrzy w górę, skąd dobiega głos. Zwalnia. Hamuje, jak pociąg pędzący po torach, z ostrzegawczym piskiem.

– To koniec, dziwko... – powtarza. Obraca głowę. Sufit ponad nimi. Biały tynk. Białe wieko. Cień statywu lampy przekreśla go na krzyż. Przesuwa wzrok w prawo. Czerwony koralik toczący się przez czas rozciągnięty w długą, nieskończenie cienką lnianą nitkę.

Czarny prostokąt okna. Za nim świat. Inny świat. Dlaczego jest tu, zamiast tam? Co ją trzyma w tym pokoju? W tym białym pudełku. Pod białym wiekiem. Czemu tylko spojrzeniem zaczepia się o nieskończony firmament nieba...? I tylko myślą wyrywa się na zewnątrz, na wolność...?

Łapie ją za włosy i wyciąga z łóżka. Uderza kolanem o ramę. Ślizga się na prześcieradle, zaplątuje w pościel.

– O, Jezu! Przestań!

Ciągnie ją w stronę łazienki z zimną furią. Tak to wygląda. Próbuje się wyrwać, ale łamie jej bark. Ciągnie do góry i uderza żebrami o kolano. Koniec. Mdli ją ból, wdzierający się pod skórę i płonący.

Traci oddech. Opiera się dłonią o leżącą lampę, parzy żarówką. Uderza skronią o framugę, zaczepia obojczykiem, przekręca na plecy. Zawinął jej włosy wokół nadgarstka i naciska spłuczkę.

Próbuje walczyć, wyrywać się, ale wszelki opór jest daremny. Wpycha jej głowę w muszlę sedesu. Dociska kolanem między łopatkami. Krztusi się wodą. Parska i pluje. Woda leje się z góry na dół i wszędzie, wpływa do gardła, do nosa. Wymiotuje, wali rękami dookoła, próbując wydostać się na powietrze.

Chlust przelewającej się wody ogłusza, jakby stała pod wodospadem. Przestaje się szamotać. Jeden głęboki oddech i wszystko się kończy. Otwiera oczy. Wie, że zaciska ręce na obłej, ceramicznej krawędzi. Wyszorowała ją dzisiejszego ranka. Wyszorowała do lśnienia.

Życie boli do ostatnich oznak. A potem spada zasłona i za nią jest już kryształowa kopuła bezkresnej nocy. Ponad palącym słońcem. Kilka banieczek powietrza ucieka na powierzchnię. Palce ześlizgują się z gładkich krawędzi.

Zapada cisza.

Mrocki ma kwadratową szczękę z granatowym zarostem. Zapadnięte policzki i nieco podkrążone oczy o intrygującym spojrzeniu. Psycholożka zerka w nie z zawodową ciekawością. To oczy przystojnego mężczyzny o sporej osobistej charyzmie. A może to tylko jej wyobraźnia? Łapie się na tym, że spuszcza powieki, kiedy ich spojrzenia się zetkną.

Dziś do szarej spódnicy wybrała koszulę z cienkiego lnu, z domieszką wiskozy. Kupiła ją ostatnio pod wpływem impulsu. Nigdy wcześniej nie nosiła białych koszul, chyba że na egzaminach. Wydała kilkaset złotych. Zanim wyszła z domu, długo stała przed lustrem i patrzyła na swoje odbicie.

– Czułeś się zdradzony? – Przesuwa paznokciem wzdłuż szwu na mankiecie. To elegancki strój. Zauważyła, że Mrocki kiwnął głową z uznaniem, gdy tylko ją zobaczył. Jego oczy błyszczą, a spojrzenie ślizga się po jej twarzy, ramionach i piersiach, ukrytych pod tkaniną.

Do koszuli dostała wieszak, prześlicznie obszyty śliską satynką. Chciałaby mieć takich więcej w szafie. Chciałaby mieć wszystkie wieszaki tak obszywane, z maleńkimi czarnymi kokardkami u nasady metalowego pałąka. A na nich więcej białych koszul.

Oddycha głębiej, swobodniej. Piersi napinają tkaninę. Mogłaby przysiąc, że on widzi jej stanik z przejrzystej koronki. Że patrzy wprost na sutki, a one mrowią i tężeją od nabiegłej krwi.

– Panie Mrocki... – zaczyna, a on uśmiecha się ciepło.

– Piotr. Po prostu Piotr... – mówi i chyba nie zdaje sobie sprawy, jak tembr jego głosu porusza powietrze, które uderza mikrofalami w jej ciało, uszy i skórę, i te sutki napięte do granic.

– Panie Mrocki. Ma pan szansę ubiegać się o zwolnienie warunkowe, na podstawie opinii biegłego...

– Chciałbym wrócić do społeczeństwa. – Mrocki pochyla się lekko nad blatem, który ich dzieli. Jest spokojny i opanowany. – Zakochać się, spotkać kobietę... której dałbym całą miłość, jaką zdołam. Wie pani doktor, wiele kobiet do mnie pisze listy. Słowa otuchy, modlitwy. Ale czy można kochać kogoś takiego jak ja? Potwora, który zabił własną żonę? – dodaje, a jego oczy zagłębiają się w oczy psycholożki. I tylko on widzi jej rumieniec.

Tylko on słyszy jej szept:

– Można...

Współlokatorzy

Jan Siwmir

12 maja
Siedzę markotny pod drzwiami i nasłuchuję. Karol zamknął się w pokoju z Adaśkiem i nad czymś cicho się namawiają. Pewnie plotkują o mnie. Wczoraj potrąciłem wazon i woda wylała się Adaśkowi na spodnie. Przysięgam na wszystko, co dla mnie najcenniejsze, potrąciłem niechcący. Pytanie, czy uwierzyli. Inna sprawa, że jest to jedyny kolega Karola, którego nie lubię. No, może jeszcze Pawła nie trawię, ale to wyjątkowy przypadek. Zupełnie wyjątkowy. Paweł na szczęście należy do historii. Jak można zadurzyć się w takim wypicowanym na glanc lalusiu? Pytanie erotyczne... tfu... retoryczne. Ja też czasem nie wiem, co mi się w danej panience mogło podobać, zwłaszcza po bzykanku... Chyba pójdę się napić, bo z wrażenia zaschło mi w gardle. Co oni tam robią? Karol za trzy tygodnie obchodzi urodziny, czyżby planowali jakieś przyjęcie? Orgietkę, tak jak w zeszłym roku? Przyznaję, ciekawe to było przeżycie. Sami faceci, ale jakby nie faceci. Jeden nawet uszminkowany i w sukience przyszedł. W sumie tolerancyjny jestem, ale przeżywać coś takiego po raz drugi? Te wszystkie: „kochaniutki, daj zajarać”, „jakie ty masz zgrabne paluszki”, „a pod sukienką co jest, mogę pomacać?”. Błeee... W dodatku dym z papierosów przez trzy dni mnie dusił. Ja nie palę.

Kurde, przeoczyłem, kiedy ta łajza się wyniosła, a Karol zamknął się w łazience. Znaczy mogę spokojnie pójść spać, bo wcześniej niż za godzinę nie wyjdzie.

13 maja
Nadal nie wiem, co ten mój natchniony współlokator kombinuje. Zniknął z samego rana, nic nie powiedziawszy. To się do tej pory nie zdarzyło, a mieszkamy już ze sobą rok, dwa miesiące i dziesięć dni. Nie żebym jakoś

specjalnie odliczał, ale czasami jak mnie Karolek wkurzy, to zastanawiam się, jak długo jeszcze będę w stanie z nim dzielić lokum. W końcu nikt nikogo na siłę nie trzyma. Fakt, wspólne mieszkanie taniej wychodzi, jedzenie też mam podane, bo Karol lubi gotować i muszę przyznać, że robi to dobrze. Niemniej jednak niektóre jego wady są obrzydliwe. Te syfiaste skarpety na środku pokoju, po każdym prysznicu zalana podłoga w łazience, na której można się zabić, i wciąż nowi faceci. Mógłby się w końcu ustatkować. Co do jakiegoś się przyzwyczaję, sprowadza następnego. Nie lubię zmian. Chłopak jest ładny, nie powiem, ale tak ciągle z kwiatka na kwiatek? Co prawda niektóre bysiory trudno kwiatkami nazwać, ale to już taka dygresja na marginesie...

Wrócił. Ciekawe, czy powie, o co chodzi. Tym razem pierwszy się nie odezwę, choćby mnie szlag miał na miejscu trafić... I proszę, zamknął się cholernik w pokoju! Ani be, ani me, ani kukuryku, nawet cześć nie powiedział. Obrażony czy co...

14 maja
Brak jakichkolwiek stosunków pomiędzy mną a Karolem.

15 maja
Tylko żebyście nie myśleli, że tu o takie stosunki chodzi! Ja jestem normalny. On podobno też, ale obie nasze normalności się wykluczają.

16 maja
W końcu zmiękł. Popłakał się biedaczek i zaczął opowiadać. Zakochał się. Grajcie fanfary, dziękować Panu! Nareszcie trafił na swojego. Chociaż tak naprawdę, co można powiedzieć po kilku dniach znajomości? Facet jest oczywiście najwspanialszy, najinteligentniejszy, najbardziej błyskotliwy i w sposób najoczywistszy naj, naj, naj... Niedobrze mi się z lekka zrobiło od tych superlatywów, zaplątałem się w te wszystkie „naje”, „najoczywistości” i zacząłem podejrzewać, że coś jest nie do końca dobrze. Na pewno chłopak czegoś chce od Karolka i czaruje na potęgę. A nie oszukujmy się, oczarować mojego współlokatora nie jest trudno. Pamiętam, jak przyszedł kiedyś i zaczął się ekscytować motorem takiego jednego. Podobno super bajer i takie tam. Jak wylądowali w rowie, bo facet się zaczął ścigać z beemką, to Karolkowi mózg wrócił na właściwe miejsce. Albo wtedy, gdy

nasz sąsiad poprosił go parę razy do naprawienia telewizora. „Nie, w żadnym razie nie chodzi o telewizor, ja mu się po prostu podobam, tylko on jest nieśmiały i pretekstu potrzebuje. A wiesz, jaki ma sprzęt? Pro-fe-sjo-nal-ny! I słuch ma absolutny, grał mi na gitarze”.

Chodziło o telewizor.

Do tej pory ze sobą nie rozmawiają.

No nic, pożyjemy, zobaczymy. Takie stany są całkiem przyjemne, mówię o zakochaniu, ponieważ sprawiają, że człowiek staje się roztargniony. Teraz na przykład Karol zapomniał zamknąć się w łazience, mogłem więc podejrzeć go przy sikaniu. Bo ja wiem, czy jest jakoś specjalnie wyposażony? Tak ci jego kochasie się rozpływają... Ja tam nie widzę niczego specjalnego. Dupkę niby ma jędrną, ale jakąś taką mało owłosioną. Facet moim zdaniem powinien futrzaka przypominać, takiego jakby dwie godziny temu zszedł z drzewa. I interes... niby długi, a przecież cienki bardzo. Z satysfakcją zauważyłem też kilka pryszczy na plecach. Smaruje się skubaniec na pysku jakimiś mazidłami, a plecy odłogiem leżą. Niech leżą, ja mu o nich na pewno nie powiem.

17 maja

Wydało się, po co przyszedł Adaśko. Chciał kupić ten stary blat, co go mamy ze śmietnika, znaleziony i odrestaurowany. Rzekomo od jakiejś maszyny do szycia jest, zamiast nóg posiada koło. Po moim trupie! Niech spróbuje bez mojej zgody sprzedać, nie daruję. Przyzwyczaiłem się i nie pozwolę ruszyć. Poza tym to bardzo fajny gadżet, zawsze na wejściu pada tekst: „A wy co, szyjecie razem?”. Wygoniłem Adaśka, mam nadzieję, że na dłuższy czas. Wprawdzie jego trudno obrazić, zniechęcić czy zaszczuć, ale tym razem chyba do niego dotarło. Cóż, ja jestem spokojny niczym, nie przymierzając, pomnik, na który srają gołębie, jednak są okoliczności, w których wychodzi ze mnie lew. Możliwe zresztą, że szalony i wściekły wojownik ninja byłby lepszym porównaniem.

18 maja

Poznałem tego „naja”. Ma na imię Słoneczko. He he he, żartuję. Michał, ale jak słyszę Słoneczko to, Słoneczko tamto, to mi piana cieknie i mam ochotę kąsać. Migdalą się teraz w pokoju. Doprawdy nie wiem, jak to jest, niby mieszkam z facetem, a pyska do kogo nie mam otworzyć. Smutno mi i źle.

19 maja
Michał u nas nocował. Pierwszy chłopak, który mógł zostać na noc. Karol najwyraźniej wpadł jak śliwka w kompot. Całą noc nie spałem przez te ich harce. Oooobrzydliwość! Chodzę teraz nabuzowany jak piec.

21 maja
Znalazłem się. Znaczy... jakby to ująć. Musiałem pójść na panienki, a że ten drań też ostatnio mi się nie opowiadał, to i ja zniknąłem bez zapowiedzi. Kurna, co się działo! Ponoć pół miasta w stan gotowości postawił. Dostało mi się po uszach, ale co, w końcu to nie moja wina, mógł się nie gzić na moich oczach. Teraz pretensje. Niehumanitarnie.

22 maja
Mam zakaz oddalania się bez wiedzy Karola. Bardzo śmieszne.

23 maja
Ale tak Bogiem a prawdą... Przyjemnie mi było, gdy się o mnie martwił.

24 maja
Adaśko stwierdził, że Karol musi mnie bardzo kochać, skoro takie larum podniósł i nawet jego o pomoc prosił. Chociaż wie, że się nie lubimy. Znaczy, ja z Adaśkiem. Słusznie się nie lubimy, bo to idiota. Miłość pomiędzy mną a Karolem? Jeszcze czego!

25 maja
Kolejny raz Michał u nas nocuje. Ciekawe, za którym razem Karol załapie, że po ich radosnych jęczeniach w nocy, ja będę musiał zniknąć na parę dni, albo przynajmniej na jedną noc.

27 maja
Zatrybił. Powiedział, że jeśli tak mam się zachowywać, to będą się spotykali u Michała w domu. Ale jeszcze mi dociął, że chyba zazdrosny jestem. Jasne! Dowcip stulecia.

28 maja

Poszliśmy z Karolem i Michałem do Łazienek. Ja nie mogę, za cholerną przyzwoitkę robiłem. W dodatku dowiedziałem się, że Michał ma pudla. Pudla! To już innych ras nie było?! Jakby tego było mało, pudel ma na imię Doreen. Chyba sobie baranka w ścianę walnę. Biedna Doreen na razie nie powinna wychodzić z domu, bo brała antybiotyk, kochana Doreen tylko wątróbkę i kluseczki lane konsumuje, najdroższa Doreen ma fryzjera... Fryzjera?! Kociej mordy dostałem, jak to usłyszałem. Fryzjera! Boże, widzisz i pozwalasz na takie fanaberie...

29 maja
Znowu Michał nocował u nas. Zwariuję.

31 maja
Dobrze chociaż, że Karol już spokojnie przyjmuje moją nieobecność. Zajęty swoim kochasiem...

1 czerwca
Wigilia urodzin Karolka. W domu Sodoma z Gomorą. Pucowanie, odkurzanie, pranie nawet. Michał zapowiedział, że bez umycia okien się nie obejdzie. Próbowałem zaszyć się w kącie, ale gdzie tam, jak wszyscy pracują, to wszyscy. Najfajniej było, gdy Karol dawał mi do próbowania kolejne potrawy. Można powiedzieć, z ręki mu jadłem.

Czysto mamy.

A oni znowu się migdalą.

Skąd ludzie biorą tyle siły na takie głupoty?

Na szczęście Michał nie nocował.

2 czerwca
Z samego rana niespodzianka. Michał przyszedł do nas razem z Doreen. Na początku siedziała cicho jak trusia. Chyba ją postraszyli, jaki to ja niby wredny jestem. Bo respekt przede mną miała spory. Noooo... a co ja mam powiedzieć? Okazała się w gruncie rzeczy całkiem fajną laską. Nie gada za dużo, jedzenia z michy nie wybiera, potarmosić się pozwala, a nawet, niech Bóg błogosławi feministki, z nieśmiałą inicjatywą wychodzi... Zdążyliśmy się umówić, że po przyjściu gości zabierzemy poduszkę z wersalki, położymy ją na pedale od maszyny i przeczekamy wspólnie nawałnicę.

Zaczynam zastanawiać się nad fryzjerem, ponieważ patrząc na sprawę globalnie i transcendentalnie, wygląd lalki... o, przepraszam, mojej ukochanej... zrobił na mnie niemałe wrażenie. Prawdą jest powiedzenie: „jak cię widzą, tak cię piszą”. Muszę także zadbać o bardziej adekwatne określenia i precyzyjny, mniej niechlujny sposób komunikowania się z otoczeniem. Tak, słodka Doreen wywróciła moje życie do góry nogami. Przyglądałem się, jak konsumuje kluseczki i jestem pod wrażeniem jej arystokratycznej osobowości. W dodatku ten Michał... za uszami mnie podrapał, nową kość do gryzienia kupił, smyczy i kagańca nie pozwolił założyć, jak na spacer wyszliśmy...

Z całą pewnością da się razem we czwórkę żyć!

„Gdyby tak położył tę rękę na mojej dłoni”

Jan Siwmir

– Co to do cholery jest? – Mroku niezwykle rzadko tracił panowanie nad sobą. – To ma być komedia? Jakim niechlujnym językiem napisana! I o czym to jest?! O gejach! Na Walentynki! Czyś ty zgłupiał? – Pod twarzą Janka pojawiła się zwinięta pięść. – W żadnym razie tego nie przepuszczę. Geje mogą się obściskiwać w zaciszu domowym, a nie walić swoją obecnością po oczach! No way! Zabieraj to swoje opowiadanie w diabły!

Patrycja patrzyła znad swojego laptopa lekko przerażona. Jeszcze nigdy nie widziała, by Naczelny tak krzyczał. Ale przecież ma rację, pomyślała. To nienaturalne, żeby dwóch mężczyzn ze sobą... Ale jakie on ma piękne oczy! Piwne ze złotymi iskierkami. I te iskierki tak uroczo zapalają się, kiedy jest wściekły. Pierwszy raz miała też okazję podziwiać męskie przedramiona Mroka, bo w amoku zaczął podwijać rękawy. Ma maleńką bliznę nad prawym nadgarstkiem, rozczuliła się Pati. Gdyby tak położył tę rękę na mojej dłoni, albo... Chyba straciła na chwilę wątek rozmowy, ponieważ nagle sytuacja zaczęła się zmieniać. Na krześle, z nogami na biurku, rozpierał się tłumiący śmiech Janek, a Naczelny stał pod oknem i cicho warczał.

– Jeszcze raz mówię, szefie, pomyśl jak biznesmen! Gejów w narodzie mamy podobno dziesięć procent. Lekką ręką odpuszczasz sobie tyle kasy?

– Janek ma rację! – Ania poparła kolegę. – Jedno opowiadanie fantastyczne zostawiłeś, to i o homoseksualistach niech będzie.

– Ja też jestem za. – Kornelia podniosła rękę.

– I ja! – Zuza lojalnie przyłączyła się do puczu.

– Ulegam pod presją – wycedził przez zęby Mroku. – Patrycja, zjesz ze mną lunch? To chodź, zrobimy sobie przerwę, przez chwilę muszę

popatrzeć na coś innego niż rebelianckie wojska. – Obdarzył wszystkich zbolałym, acz jadowitym spojrzeniem, wziął osłupiałą ze szczęścia Pati pod rękę i wyszli.

– O nać! – jęknął Janek. – Dzieci z tego związku będą przyszłością narodu. Dziewczyny, dajcie mi jakieś antidotum!

– A proszę – warknęła Kornelia. – Mamy kolejne opowiadania. Na pewno ci pomogą. Zwłaszcza to o zabójstwie...

– Megiery. Na kiedy ocenić?

– Na wczoraj. – Zuza była bezlitosna. – I bądź tak uprzejmy zarezerwować sobie czwartek na zebranie o dziewiętnastej w redakcji. Omówienie opowiadań i nieformalna bibka. Stroje niezobowiązujące.

– Niezobowiązujące? Mam uwierzyć, że nawet nasz Pan i Władca w sweterku przyjdzie, nie w garniturze?

– Obiecał. – Ania uśmiechnęła się zalotnie. Janek popatrzył na nią, namyślając się. Chyba jednak był jej coś winien, tyle razy mu pomagała...

– To co, zaszalejemy? – Mrugnął porozumiewawczo. – „Kręgi” otwarte całą noc, dawno nie tańczyłem...

– Ale tylko do północy, opowiadania musimy ocenić – zamruczała Ania, mając mimo wszystko nadzieję, że na kilku godzinach zabawa się nie skończy.

miłość.com

Grzegorz Krzyżewski

– Cześć – pojawiło się na ekranie monitora Kasi, a zaraz potem ukazał się bukiet kwiatów. – Proszę, to dla ciebie.

– Hej, Mirku. – Dziewczyna wystukała odpowiedź na swojej klawiaturze. – Dziękuję, są piękne. – Następnie oczom Mirka ukazały się namiętne usta w postaci komputerowego gifa. Jak można się domyślić, teraz na ekranie Kasi pojawił się taki sam obrazek oraz uśmiech.

– Jak ci minął dzień ?

Tak od kilku miesięcy rozpoczynał się niemal każdy dzień dla Katarzyny i Mirosława, którzy stanowili jedną z wielu internetowych par. Poznali się w ostatni czwartek kwietnia na portalu randkowym w internecie. Oboje byli wówczas samotni i wzajemnie potrzebowali bliskości drugiego człowieka. Mirek był młodym mężczyzną, nieśmiałym i dobrze wychowanym. Pracował jako magazynier w *Biedronce.* Zajęcie niezbyt ambitne, ale dla niego wystarczające. Nie posiadał większych aspiracji i czuł się z tym dobrze. Miał kilkoro znajomych, z którymi czasem się spotykał. Głównie jednak spędzał swój wolny czas w domu, przed telewizorem. Gdy dobiegał do trzydziestki i znudziło mu się oglądanie tych wszystkich seriali, filmów powtarzanych w kółko i teleturniejów, postanowił kupić za zaoszczędzone pieniądze komputer z dostępem do internetu. Przez pierwszy miesiąc uczył się obsługi tego „pożeracza czasu”, jak go wkrótce nazwał. Dokładnie nie pamięta już, jak i kiedy trafił na portal randkowy. Każdego dnia poznawał nowe osoby. Głównie młode kobiety, ale z żadną nie utrzymywał stałego kontaktu. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy poznał Kasię, dziewczynę trzy lata młodszą od niego...

Mirek postawił kubek z kawą na małym stoliku tuż obok podkładki pod mysz. Przysunął bliżej fotel i usadowił się wygodnie przed włączonym laptopem. Otworzył przeglądarkę i z ulubionych wybrał stronę z czatem *Randka*. W podanych polach wpisał swój login i hasło. Jeden klik i już był na czacie. Zanim przyjrzał się dokładniej liście dostępnych użytkowników, włączył Winampa i po chwili słuchał piosenki Seweryna Krajewskiego „Czekasz na tę jedną chwilę" z filmu „Uprowadzenie Agaty". Jeszcze łyk kawy, przypalenie papierosa i już mógł przejrzeć nicki wszystkich potencjalnych kandydatek. Był to swego rodzaju rytuał, który odbywał się każdego dnia, kiedy Mirek zasiadał przed komputerem.

– Szalona kicia... Dagmara... Wiki... – czytał na głos dostępne osoby, szukając jakiegoś normalniejszego imienia i wolno wypuszczając dym. – ...Bernadeta... o, Jezu... co za imię... Kaśka...o, Kaśka! – niemal wykrzyknął ucieszony. „Kaśka to ładne imię, Kasia" – pomyślał i uśmiechnął się. Klik... otworzyło się okno rozmowy prywatnej.

M: Cześć. – Sięgnął po łyk kawy, czekając na odpowiedź.

K: Hej. Mirek to twoje prawdziwe imię?

M: Tak, Mirek z tej strony. Masz ładne imię. – Chciał zapytać ją o wiek, ale szybko zorientował się, jaką gafę by palnął, więc wykasował pytanie. To jest duży plus dla takiej internetowej konwersacji, zawsze można zastanowić się dłużej nad tym, co chce się „powiedzieć".

M: Skąd jesteś?

K: Małe miasteczko nad morzem. A ty?

M: Kocham morze. Ja jestem z okolic Warszawy. – Mirek skłamał; jeśli chodzi o morze, nigdy tam nawet nie był.

K: Czym się zajmujesz?

Zaczęła się rozmowa o pracy i Mirek dowiedział się, że Kasia pracuje jako pielęgniarka w szpitalu.

M: Bardzo odpowiedzialne zajęcie, ale chyba słabo płatne. Robicie strajki?

K: Ja po prostu lubię tę pracę. A pieniądze przecież nie są najważniejsze.

Ta odpowiedź bardzo spodobała się mężczyźnie. „Musisz być Kasiu dobrym człowiekiem" – pomyślał i uśmiechnął się.

M: Palisz? Jako pracownik służby zdrowia zapewne nie.

K: Oczywiście, że nie. Palenie szkodzi. A ty?

M: Wiem, że szkodzi i ja też nie palę – skłamał Mirek i zdusił niedopałek w popielniczce. Postanowił sobie, że rzuci ten nałóg i zmienił temat.

M: Jaką lubisz muzykę?

K: Różnie. Lubię Jacksona. Jest taka fajna, wolna jego piosenka, nie pamiętam tytułu.

„Czyżby?" – Mirek zadał to pytanie w myślach i otworzył drugie okno przeglądarki. Szybko wybrał adres YouTube, następnie wpisał wykonawcę na pasku szukania.

– Jest – powiedział i skopiował link do utworu, który następnie wkleił w okno rozmowy z Kasią.

K: Co to?

M: Zobaczysz. Kliknij.

Po chwili, na drugim końcu połączenia internetowego w niewielkim mieszkaniu rozbrzmiał utwór króla popu pod tytułem „Not alone", a między nowo poznanymi zapanowała dłuższa chwila przerwy w... pisaniu.

K: O, rety. Skąd wiedziałeś? – pojawiło się po jakiejś minucie w oknie rozmowy u Mirka.

M: To mój ulubiony kawałek.

K: To jest też mój ulubiony kawałek! Ha-ha-ha-ha!

M: Niech będzie, że nasz ulubiony. Wiesz, coś mnie tknęło, żeby ci dać właśnie ten link. Fajnie mi się z tobą pisze. Wyślesz mi swoje zdjęcie?

Naprawdę Mirek poczuł coś w środku, ale nie chciał tego zdradzać swej rozmówczyni od razu. „Może coś z tego będzie? Na dłużej? – myślał – może to miłość od pierwszego... napisania?" Tak, bardzo tego chciał. Tymczasem pojawiła się odpowiedź Kasi.

K: Nie. Żadnych fotek, kamerek, itp. Zrozumiano?

M: Pewnie, ale kiedyś mi powiesz, dlaczego?

K: Może tak. Wiesz, mi też jest fajnie z tobą pisać. Lubisz podróże?

Tak właśnie się „spotkali" i tak wyglądała ich pierwsza rozmowa. Mirek po długim czasie samotności poczuł, że chce bliżej poznać Kasię. Było w niej coś takiego, że polubił ją od razu. Sam nie rozumiał dlaczego, może dostrzegł w niej dobrego człowieka, skoro nie uważała pieniędzy za rzecz najważniejszą, albo dlatego, że lubiła taką muzykę jak on, a może... Czy ktoś zresztą w pełni rozumie i potrafi w jednym zdaniu wyrazić, co popycha

jednego człowieka do drugiego? Czy ktokolwiek jest w stanie sprecyzować... miłość?

Mijały dni, tygodnie, miesiące, a oni rozmawiali codziennie. Najpierw rano, gdy ledwie zdążyli przemyć oczy wodą, pędzili każde do swojego komputera, by chociaż powiedzieć sobie „cześć” i życzyć miłego dnia. Potem, po pracy, też gnali do domu i siadali przed monitorem. Rozmawiali o wszystkim, jedli, stukając w klawisze jednocześnie, pili „razem” kawę. W trzecim tygodniu ich znajomości oczom Mirka ukazał się wreszcie gif przedstawiający namiętne usta. Mężczyzna uśmiechnął się i zaraz też wstawił taki sam obrazek. Wydawało mu się, że właśnie przekracza bramę niebios. W każdy czwartek z racji tego, że w tym dniu tygodnia się poznali, wysyłał Kasi mnóstwo kwiatów, oczywiście wirtualnych.

Soboty spędzali razem do późnego wieczora, a niejednokrotnie przesiadywali do rana. Co tydzień „spacerowali” w innym miejscu. Był Egipt i piramidy faraonów, były pocałunki przy Wielkim Murze Chińskim czy podziwianie widoku ze Statuy Wolności w Nowym Jorku. Oczywiście mowa tu o wspólnym oglądaniu zdjęć na ekranach swoich komputerów. Podobnie słuchali muzyki, pięknej i romantycznej. Zawsze włączali daną piosenkę jednocześnie.

Przychodziły takie wieczory, gdy Mirek bardzo tęsknił. Na przykład gdy Katarzyna miała nocną zmianę w szpitalu. Mężczyzna nie mógł wówczas zasnąć. Myślał o swej wybrance, jak wygląda, jaki ma kolor włosów, i przewracał się przy tym z boku na bok. Przysypiał tylko na chwilę i budził się po paru minutach. Często więc robił coś jeszcze, trzymając rękę w slipach i wyobrażając sobie Kasię jako ideał kobiety... Zmęczony, zapadał w głęboki sen dopiero gdzieś nad ranem.

– O, rany, ja się wykończę – powiedział kiedyś do siebie w pracy, po nieprzespanej nocy, ustawiając nowy towar na półkach. Podświadomie zaczynał rozumieć, że zakochuje się w Katarzynie, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. To był jego pierwszy raz. Czuł się silny jak nikt inny na świecie, czuł, że może przenosić góry.

Któregoś wieczora, gdy jego wybranka znowu miała dyżur i nie mogła z nim rozmawiać, Mirek w samotności słuchał ich muzyki.

– *Czekasz na tę jedną chwilę...* – zanucił razem z wykonawcą, a potem powiedział na głos: – Ja cię kocham... Kocham cię, tęsknię i chcę ci to powiedzieć.

Oparł się łokciami o blat stołu, na którym leżał laptop, twarz ukrył w dłoniach. „Powiem ci to następnym razem” – pomyślał, a duża łza spłynęła po jego policzku i spadła na klawiaturę. Wtedy nie czuł się wcale taki mocny jak „przy niej”.

Nie dane mu było jednak wyznać swoich uczuć. Katarzyna nie pojawiała się w internecie przez cały następny tydzień. Mirek wiedział, że powinna mieć teraz poranną zmianę. Codziennie czekał przed komputerem i za każdym razem przy nim zasypiał. Budził się koło północy, zwlekał z fotela i szedł w ubraniu do łóżka. Nie było ani Kasi, ani żadnej wiadomości od niej. Mężczyzna z dnia na dzień robił się coraz bardziej przygnębiony. Kobieta, którą pokochał, zniknęła. „Co się mogło stać?” – pytał sam siebie. Gdy minęły dwa tygodnie jej nieobecności, Mirek niemal tracił zmysły. Mało ostatnio jadł, wychudł na twarzy. „Coś się musiało stać... – myślał, jak zwykle siedząc przed komputerem – ...a ja nie znam twojego adresu...”

Wstał i zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem. Z każdą upływającą minutą coraz bardziej się denerwował. W końcu przystanął.

– Muszę cię odnaleźć... – powiedział głośno.

Jak powiedział, tak zrobił. Chociaż nie było to łatwe i zajęło mu trochę czasu, dzięki swej determinacji i pomocy dawnego kolegi ze szkoły, Marka, który był informatykiem i po wielu prośbach zgodził się odszukać po adresie IP miejsce pobytu Kasi. Choć wątpliwości się nie wyzbył.

– Mirek, a może to mężatka? Chciała tylko z tobą poflirtować, a teraz znowu jest przykładną żoną – zasugerował. – Po co ci to?

Siedzieli obaj w knajpie, przy wódce.

– Nie. To nieprawda. Nieprawda, słyszysz?! – uniósł się Mirek i wychylił kolejny kieliszek. Odbiło mu się po nim głośno i prawie zwymiotował.

– Dobra. Pomogę ci, tylko uspokój się i nie pij więcej – mruknął Marek.

Akurat był czwartek, jak wtedy, gdy się poznali, więc Mirek miał bukiet w ręku. Bardzo się cieszył, że tym razem wręczy jej prawdziwe kwiaty. Gdy tak stał przed drzwiami mieszkania starej kamienicy, czuł podniecenie na myśl o niespodziance, jaką zaraz zrobi swej ukochanej. Zapukał i nie doczekał się odzewu, więc ponowił próbę, głośno dudniąc pięścią w drzwi.

Jego euforia sięgała zenitu, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Po chwili mieszkanie stanęło otworem, ukazując...

...wąsatego mężczyznę o jakieś dziesięć lat starszego od niego, którego oczy zrobiły się wielkie ze zdziwienia. Mirek stał jak wryty i patrzył na obcego człowieka. Nieznajomy uśmiechnął się lekko, ręką wykonał zapraszający gest i odsunął się na bok, przepuszczając gościa. Mirosław jak zahipnotyzowany wszedł do środka i dalej podążył za mężczyzną w głąb mieszkania. Znaleźli się w niewielkim pokoiku, w którym w jednym kącie stało biurko z komputerem. Gospodarz podszedł do niego i wziął paczkę papierosów leżącą na blacie. Mirek rozglądał się przez chwilę i zauważył ramkę ze zdjęciem stojącą koło monitora.

– Kim ty… kim ty do cholery jesteś?! – zdołał wyjąkać, podchodząc, aby przyjrzeć się fotografii. Gdy spojrzał na nią z bliska, poczuł mdłości, zaszumiało mu w uszach, zrobił się blady, a za chwilę czerwony jak burak. Kwiaty wysunęły się jego dłoni. Zrozumiał. Szala nienawiści pomieszanej z obrzydzeniem przeważyła szalę miłości, do niedawna tak pięknej, i zrodziła w Mirku szaloną chęć zemsty. Coś pękło w jego łkającym sercu. Wykorzystał nieuwagę nieznajomego, który przypalał papierosa, chwycił ciężką, mosiężną popielniczkę z biurka i uderzył go z całej siły w czaszkę. Zrozumiał, że jego Kasia nigdy nie istniała i po kilku następnych ciosach wąsaty mężczyzna też przestał istnieć, a krople krwi spadały na podłogę.

– Palenie szkodzi – powiedział Mirek po ostatnim uderzeniu i wypuścił popielniczkę z ręki. Zanim wyszedł, spojrzał jeszcze raz na zdjęcie, które przedstawiało dwóch mężczyzn, całujących się namiętnie. Jednym z nich był nieznajomy, który otworzył mu drzwi.

Żadna praca nie hańbi

Anna Rybkowska

Nacisnął guzik domofonu.

– Słucham. – Głos wydał mu się miły. Przedstawił się. – Otwieram. – Słowom towarzyszył syk elektronicznego impulsu.

Albin pchnął drzwi. W ogrodzie dopadł go zapach starego drewna, jakim emanują czasem wiejskie kościoły. Wszedł z rozgrzanej ulicy do enklawy przyjemnego chłodu. Wiadomo, że bogacze nie marzną i nie pocą się... Ruszył wyłożonym kostką chodnikiem. Dom miał duży taras, ocieniony markizami w pastelowych barwach. A może już zdążyły spłowieć? Nieregularne linie dzikiego wina zwieszały się malowniczo z dachu, dopełniając całości. Drzwi wejściowe otwarły się i wyszła ku niemu wysoka dziewczyna z niezdecydowanym wyrazem twarzy. Czy wypada się uśmiechać w tych okolicznościach? Była brunetką o krótko ostrzyżonych włosach. Fryzura i delikatny makijaż podkreślały rysy nieśmiałej dziewczynki. Miała na sobie bawełnianą koszulkę z zamaszystym napisem L.A. Woman i jasnoniebieskie legginsy.

– Zapraszam – powiedziała cicho.

Albin wszedł i nagle zdał sobie sprawę z niezręczności całej sytuacji. Dotarło do niego, po co się tu zjawił... Nie wiedział, jak się zachować. Oboje byli zmieszani. Poprowadziła go do dużego salonu, wskazała miejsce na kanapie w stylu Ludwika Jakiegośtam, bez żadnych podtekstów. Krępująca cisza zawisła w powietrzu nad górą antyków. Może podróbek? Słyszał oddech i przyspieszone bicie swego serca. Przez okazałe okna wpadał panoramiczny blask zachodzącego słońca. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem, podeszła do okien i opuściła żaluzje. Półmrok, który zapadł, tylko spotęgował napięcie.

– Napijesz się? – zaproponowała.

– Czegoś zimnego. – Jego głos zabrzmiał skrzekliwie i ogarnęła go trwoga równa tej przed maturą.

– Oczywiście. Zrobię nam po drinku z lodem. Ja też czuję się zakłopotana. – W końcu zdecydowała się, co do uśmiechu. – Mam na imię Agata. Pokazać ci dom?

– Nie, może potem... – Znów przeszło mu przez głowę, że cała sytuacja jest idiotyczna i powinien stąd natychmiast wyjść. „Jakie potem? Jeszcze pomyśli, że jestem erotomanem i mam takie hobby!”

– Jak wolisz. – Ona była śmielsza. – Będziemy sami przez cały weekend. Mój mąż wróci w poniedziałek. Pozwól, że strzelę sobie na odwagę! – Zaśmiała się, dolewając wódki do szklanki. – Jak trochę wypiję, mogę góry przenosić! A ty?

Nie przyznał, że po alkoholu zapada w letarg i jest do niczego.

– Wolę czerwone wytrawne wino.

Przyjrzał się jej. Zgrabna. Mimo woli porównał ją z Weroniką. Drobne piersi, płaski brzuch i smukłe uda. Zauważyła, że ją ocenia, podniosła do góry szklankę, wypiła jednym haustem zawartość i znów się uśmiechnęła.

– Mój mąż w dzieciństwie przechodził zapalenie miedniczek nerkowych – zaczęła nagle. – Lekarz sprawy nie przesądzał, ale po badaniach okazało się, że jest bezpłodny. Jesteśmy pięć lat po ślubie. Powodzi nam się nieźle. Najwyższy czas na dziecko.

– Chcesz, żebyśmy zrobili to jak najszybciej? Teraz?

Skinęła głową.

– Potraktujmy to jak biznes. Umowę handlową. Widzisz kopertę na stole? Jest w niej suma, którą ustaliliśmy. Reszta po ostatecznym werdykcie lekarza. Dziś najlepszy dzień, mam nadzieję, że nie będzie trzeba powtarzać rendez-vous. Gdyby jednak – ta sama kwota po raz drugi? Czy dobrze zrozumiałam?

– Tak. – Czuł, że zaschło mu w gardle. W lustrze na ścianie zobaczył swoje odbicie i prawie się nie poznał.

Poprowadziła go do sypialni. Pożałował, że tu trafił, chciał powtórzyć drinka, ale ona mogłaby to uznać za tchórzostwo z jego strony. Skoro postanowił...

– Jesteś bardzo spięty, można by pomyśleć, że to twój debiut?

– Nie!

– Może przesadziłam z tą umową? – Roześmiała się. Właściwie była bardzo atrakcyjna.

– Przepraszam – wydukał.

Zaczęła go całować. Przytuliła się mocno. Pachniała dobrymi kosmetykami, miała aksamitne policzki. Jej usta były chłodne i zachłanne. Gdy zaczęła rozpinać mu spodnie, zdecydował, że pora na przejęcie inicjatywy, jeśli chce zachować resztki godności. Pomyślał o Weronice i dzieciach, ale to nie ułatwiło sprawy. Nie czuł żadnego podniecenia, tylko strach, że mu się nie powiedzie. Nie był przecież automatem, a wyrzuty sumienia robiły swoje i nie pomagało tłumaczenie, że jest zdesperowany i dawno podjął decyzję. Czuł się jak ostatnia świnia. Zerknął na jej piersi, dotknął ich. Cholera! Niejeden by mu zazdrościł. Może należało wziąć coś na śmiałość? Kurewskie poczucie winy ściskało mu jaja i żołądek. Niech to szlag! Zdjął z niej koszulkę. Miała twarde piersi o ciemnych sutkach; znów pomyślał o Weronice, jej budyniowym ciele. Bał się, że jakakolwiek przyjemność popsuje całą transakcję. Usłyszał jej ciche westchnienie. Szybkim ruchem zdarła z siebie legginsy razem z majtkami. Stanęła przed nim naga i zarumieniona. Nie pamiętał, by kiedykolwiek było tak z Weroniką. Zawsze gasił światło, nim cokolwiek zdjęła. I ten ciasny gorset szwabskiej produkcji, którego nigdy nie mógł z niej ściągnąć. Miała dwa, nosiła je na zmianę. Jeden zdejmowała dołem, drugi górą. A on zawsze mylił się co do kierunku. Szamotał się bezradnie z tym cholerstwem! Kiedyś uwięził jej piersi i ramiona na wiele potwornie długich minut. Wpadł w rozpacz. Nie wiedział, co robić, dłonie bezradnie biegały po śliskim materiale. W końcu postanowił go zsunąć z powrotem, ale diabelstwo nie dawało się ruszyć z miejsca. W żadnym kierunku! Załamany myślał, że tak zostanie, całe wieki opleciona przez gorset, bez twarzy i piersi, a on umrze obok niej z głodu i pragnienia. Agata była szczupła i spokojna. Żadnej przewalanki. Pociągnęła go za sobą na szeroki i miękki tapczan. Reszta przyszła sama i była milczeniem...

*

– Mów mi Diana – powiedziała, zapalając papierosa. Jasne, bujne loki, ostry makijaż. Kiedy zasiadł naprzeciw niej zauważył, że ma na sobie mnóstwo tapety. Nie wzbudziła jego entuzjazmu, ale i nie odrzuciła na odległość. W pokoju gościł przenikliwy zapach suszonych grzybów i

jakichś ziół. Sznury z ćwiartkami suszących się kapeluszy obwieszały okna i przestrzeń między regałami. Na jednej ze ścian myśliwskie trofea. Skórzana kanapa i fotele, a w narożniku, nieco na uboczu, zaskakujący w tym otoczeniu fortepian. Salon był bardzo duży, z imponującym kominkiem.

– Grasz? – Wskazał na instrument.

– Wolałbyś pewnie wirtuozkę fletu! – Zarechotała tubalnie i chrypliwie. Miała na sobie białe spodnie i wydekoltowaną bluzkę w duże kwiaty. To z wnętrza jej dekoltu, spomiędzy ściśniętych obfitych piersi wydobywał się ten zmanierowany chichot. Jej opalone ręce pobrzękiwały licznymi bransoletami ze złota. Próbował określić jej wiek. Albo nieźle zachowana czterdziestka, albo zapuszczona trzydziestolatka, niestroniąca od używek i wesołego towarzystwa. Co jakiś czas dopadała go ostra, przenikliwa woń dezodorantu.

Kobieta była ruchliwa, stale poprawiała się w fotelu, odrzucała do tyłu włosy, podciągała do góry wciąż opadające bransoletki, jakby świadomie wybrała tę biżuterię, aby w jego obecności nie pozwolić sobie na bezczynność, choćby przez jedną krótką chwilę. Nagle wstała, opuściła pokój bez uprzedzenia, ale szybko wróciła z okazałą tacą, na której stały dwie wysokie szklanki z grubym dnem.

– Wódka plus Sprite z kilkoma kostkami lodu – oznajmiła. – Trawisz coś podobnego?

– Wolę te rzeczy osobno, ale...

– Mam dużo lodu, bez obaw, wystygniesz, kiedy skończymy! – Zarechotała ponownie.

Podjął szybką decyzję.

– Nalej mi samej wódki.

– Setka?

– Tak. – Od razu przechylił wszystko.

– Lubię konkretnych facetów, ale czy to ci nie zaszkodzi... no, wiesz?

Machnął ręką. Nagle, wraz z przypływem pustych kalorii, poczuł się panem sytuacji.

– Może przejdziemy do rzeczy?

– Tutaj?

– Na tym dywaniku może być ciekawie. – Wskazał na leżącą na ziemi skórę. – To twój stary ustrzelił?

– Daj spokój – roześmiała się – to z barana. Kto by tam do tryków naboje marnował?

– Tryk nie tryk, doprawmy mu rogi...

Zaczął rozpinać jej bluzkę. Miała pod nią czarne, koronkowe body, które próbowało bezskutecznie okiełznać obfitość jej ciała, początki miękkiego brzucha i szerokie biodra. Zamek od spodni zaciął się w połowie. Uderzyła go po dłoni filuternie.

– Ale z ciebie pechowiec!

Rozebrała go szybciej niż on ją.

– Uwielbiam takich facetów, smagłych, bez grama zbędnego tłuszczu. Z dwojga złego lepiej gdy babka ma miękkie poduszki, co nie? – Rozgadała się, jakby zapomniała o ich kontrakcie. I nadal była w koronkowym futerale. To niebezpiecznie kojarzyło mu się ze zmaganiami w łożu małżeńskim. Albin zamierzał pójść na całość. Zsunął ramiączka – na szczęście ciemna koronka zjechała szybko i wygodnie do jej stóp. Położyła dłonie na jego piersiach i wbiła w skórę krwistoczerwone paznokcie. Wysunęła koniuszek języka. Lękliwie zastanawiał się, co z nim dalej zrobi.

– Miejmy z tego trochę przyjemności. – Delikatnie, a potem coraz natarczywiej gryzła skórę na jego brzuchu, klękając powoli... – Mój stary jest rzeczywiście stary... i wiecznie zmęczony... niedawno założyli mu rozrusznik. Relaksuje się na wieży, czekając, aż ktoś nagoni mu pod lufę jelenia... I podnieca go tylko widok krwi, jak trzeba, to chociaż ze zwykłego kota...

Albin miał nadzieję, że ma na myśli fachowe określenie zająca...

Starał się nie syczeć, czując jej kąsanie, choć nie sprawiało mu to przyjemności. Podobnie jak fakt, że robi z nim, co chce, i całkowicie kontroluje sytuację. Czuł się znów podle, niczym niedorostek, prawiczek, żigolak!

*

Ujmijmy to tak. W końcu oboje stracili kontrolę. W jego przypadku pozostał niesmak i uczucie wykorzystania. Po długiej sesji nie wiedział, jak się uwolnić, jak przerwać jej zabiegi. Z widocznym upodobaniem kontynuowała, wciąż niezaspokojona. Wypompowała go do cna.

– Uuaaa! – wrzasnął, chcąc przerwać jej niedelikatne zabiegi. Nie czuł rąk i nóg, nie mówiąc o innych, istotnych członkach.

– Cicho! – Pocałowała go namiętnie w szyję, właściwie ugryzła.

Teraz nie myślał o tym, jak wytłumaczy liczne ślady na ciele żonie. Pragnął się uwolnić.

– Mój stary pomyśli, że robisz mi harakiri. – Parsknęła śmiechem, nie widząc najwyraźniej różnicy między jego wrzaskiem a swoim.

– Co?! – Usiadł szybko na skórzanej kanapie, która kleiła się do skóry i przy poruszaniu wydawała ciamkające odgłosy. – Chcesz powiedzieć, że on tu cały czas...?

– A tak. Czuwa za ścianą. Trochę jak w „Podręcznej”, tym filmie... Zresztą tę anegdotę znamy także z Biblii.

Kompletnie go zatkało.

– Jak przyszedłeś, oglądał coś na video, zdaje się „300”. Teraz może śpi. Albo nasłuchuje. – Zachichotała.

– Cały czas był w domu?

– Dlaczego myślisz, że to niemożliwe? Do licha, to jego dom. – Usiadła mu na kolanach i sięgnęła po papierosa. – Co z tego? Nie jesteś moim kochankiem. Staramy się o dziecko, którego on mi dać nie może. Płaci za twoje życiodajne soki, których już w sobie nie ma. Może nigdy nie miał? Cholera go wie! Macho ze sztucerem pełnym ślepaków! On ma swoje polowania, ja swoje.

– Zaraz, umowa była inna...

– Co za różnica? Zawiera jakieś punkty zapisane drobnym druczkiem, których nie doczytałam? Wiedz, że dzieciak nie jest w tym wszystkim najważniejszy. Chodziło o dobrego ogiera. Spełniłeś swoje zadanie. Jeżeli przy tej okazji coś jeszcze wyniknie, on nie zaskarży cię do sądu. A ja? Cóż, ciąża działa stymulująco na organizm kobiety, podobno jest lepsza od pobytu w SPA. Poza tym teraz można te rzeczy łączyć, mają specjalne programy dla ciężarnych, na pewno skorzystam. W moim wieku to pewne ryzyko, zwłaszcza że od lat łykam pigułki.

– Oszukałaś mnie?

– Co znowu! Jesteś patriarchą wszego stworzenia, czy jak? Łatwiej ci rżnąć kobitki w celach stricte prokreacyjnych? Hobbysta! – Zaciągnęła się papierosem, nie zważając na jego oburzenie. – Wreszcie, dzidziuś może by i scementował nasze małżeństwo, gdyby o coś w nim jeszcze chodziło... ale oboje jesteśmy pozbawieni złudzeń. Jak chcesz być taki prawy, to przy następnym razie nie wezmę tabletki. Zadowolony? Chce cię zapewnić, że w

pełni mnie usatysfakcjonowałeś i wszystko w porządalu. Chodziło o mocny seans. I nie rozczarowałam się. Kiedy robimy replay?

Zwaliła go na kanapę, jakby był całkowicie bezwolnym pajacykiem, siadła mu okrakiem na brzuchu.

– Może powtórzymy wszystko od początku? – Zmrużyła szelmowsko oko.

– Daj żyć, nie jestem na musze hiszpańskiej!

– A co to takiego?

– Ledwo zipię!

– Tylko prawdziwego chłopa stać na takie wyznanie!

Chciał się jej pozbyć, zrzucić z siebie, ale była niewzruszona.

– Zaraz! Klient płaci i wymaga. – Położyła się na nim. Jej ciało było zimne i wilgotne. Zaczęła mu rysować jakieś znaki na piersi.

– Ja już nie mogę...

– Doceniam szczerość. Powiem więcej! Podnieca mnie ona!

Nie dała za wygraną. Jej dłoń zabłądziła na teren dolnych partii brzucha.

– Jeszcze zagrasz pod moje dyktando... – wyszeptała jakby do siebie. – Jeszcze zakwitniesz, nim wybuchniesz...

*

– I zrobiło się nieprzyjemnie – skwitowała, gdy zaczął się wreszcie ubierać. Nawet na prysznic nie miał siły. Ani czasu. Ani, broń Boże, ochoty.

– Nie jestem prostytutkiem. Kończyłem politechnikę. Nie ja tak urządziłem świat, że lepiej zarabiam dupczeniem niż w swoim zawodzie. Muszę z czegoś utrzymać rodzinę. Żadna praca nie hańbi, tylko bycie nędzarzem. – Uniósł się honorem, choć jemu samemu wydało się to zbędne i śmieszne. Na koniec wycedził przez zęby, że przegięła.

– Tak się boisz o ten swój instrumencik, niebożę? Rozumiem, to w końcu narzędzie pracy, lepiej go nie... przeginać! Ale jaka to różnica dla ciebie, ojcze prokreacji? – prychnęła. – Forsa jest forsą. Niewiele straciłeś, a ile zyskałeś. I jeszcze masz szanse pozyskać!

– Myślałem, że pragniesz dziecka.

– Słowo daję, nudziarz z ciebie i hipokryta! Można by pomyśleć, że na przeszpiegi przyszedłeś, jako co najmniej wysłannik biskupa! Czy tylko po to uprawia się seks? Jesteśmy chyba dorośli. Dobra, możemy się umówić, co, ile razy i jak, skoro jesteś taki drobiazgowy...

Urwała, bo nagle do pokoju wszedł łysiejący facet w wojskowym podkoszulku i nieświeżych spodenkach gimnastycznych. Trzymał w zębach fajkę, a właściwie gryzł zapamiętale, jakby z niej czerpał energię życiową, której zdawał się nie mieć w nadmiarze.

– Pan Albin Motlak, o ile się nie mylę?

Zapytany chrząknął jak uczniak przed odpowiedzią przy tablicy. Dopiął spodnie i skłonił się, nieśmiało wyciągając dłoń w jego kierunku.

– Tak. To ja.

– Proszę przeliczyć. – Facet podał mu banknoty zwinięte w rulon spięty gumką recepturką. Wyglądał przy tym tak, jakby sam nie umiał zliczyć do pięciu.

Albin wziął pieniądze zażenowany. Obok stała naga pani domu, bezpretensjonalnie paląc papierosa. Nagle poczuł, że w pokoju jest duszno. Schował pieniądze do kieszeni.

– Mam do pana zaufanie – wybąkał głupio.

– Ale ja nie mam go do pana! – stwierdził facet, groźnie strosząc brwi. Był trochę podobny do Breżniewa, tylko mniej reprezentacyjny niż pierwszy sekretarz, nieświętej pamięci.

Rzucił zaczepne spojrzenie żonie.

– Myślę, że ten RAZ wystarczy. Odprowadzę do wyjścia, skoro już się pan ubrał.

Nim zatrzasnął drzwi, wymienili spojrzenia. Albin zobaczył wyblakłe, zmęczone oczy. W odruchu współczucia powiedział cicho:

– Przepraszam...

Wtedy zobaczył, że te oczy ściemniały, a punkciki źrenic ukłuły go jak sztylety.

– Spieprzaj, gnoju!

Poczuł się tak, jakby ten niedorajdowaty myśliwy kopnął go w dupę.

„Smutny walc na jedną rękę i kota”

Jan Siwmir

Patrycja prasowała białą bluzkę z falbanami na jutrzejszy wieczór. Miało być nieformalne spotkanie, impreza właściwie zapoznawcza, bo jak dotąd widziała swoich współpracowników tylko w biurze. Starannie zaprasowywała każdą mereżkę, rozprostowywała falbany i urywała jakieś niepotrzebnie zwisające nitki. Spódnica z jedwabiu, prosta, ale z klasą, wisiała już gotowa na wieszaku. Jeszcze tylko maseczka na włosy, zawinąć w ręcznik i można się położyć. Pati wiedziała, że to jej największa szansa i że nie może jej zmarnować. Przytulona do małej żyrafy szeptała: „Zdobędę go”.

– Będzie Twój! – zapewniła ją żyrafa. – Będzie Twój.

W tym samym czasie Ania zwierzała się Kornelii.

– I wiesz, przez całą noc tańczyliśmy, nawet na chwilę nie odszedł, nie zatańczył z inną, drinki stawiał, a potem odwiózł mnie taksówką do domu. Nie spodziewałam się, że on jest taki... romantyczny. Na ulicy cały kosz kwiatów od handlarki wykupił. Dla mnie! I prawdziwy dżentelmen! Bo sama rozumiesz, jak chłopak na pierwszej randce chce się wprosić do łóżka, to nawet nie ma co z nim gadać, wieś po prostu, a Janek nie z takich, mówię ci...

W domu Zuzy zaś paliła się lampka przy pianinie, spod jej drobnych palców płynęła cicha melodia. Walc dla Ani, tak go zatytułowała. Mroczny, gotycki w klimacie, a jednocześnie przesycony nostalgią. Smutny walc na jedną rękę i kota, który właśnie zaczął łasić się do stóp.

Nawet Mroku w zaciszu swego domu przyjął bardziej ludzkie oblicze. Po raz pierwszy zastanawiał się nad dobraniem spodni do eleganckiego, białego T-shirta. Czy dżinsy będą pasować? A może lepiej brązowe sztruksy? „I co ja się tak przejmuję?" – zapytał sam siebie. Przecież to zwykłe spotkanie dla omówienia walentynkowego projektu. A jednak był w nim niepokój, jakiego nigdy przedtem nie odczuwał. To dziwne „coś" zaczęło się tuż po rozmowie z Jankiem w pubie. Przypominało motyle w brzuchu...

Janek także nie mógł zasnąć. Miał do przeczytania jedno zaległe opowiadanie. Specjalnie je sobie zostawił. Najpierw jednak wyciągnął spod biurka kasetkę, otworzył kluczem i wyjął zdjęcie. Byli na niej wszyscy, cała redakcja. Popatrzył na sylwetkę Mroka, stojącego w swoim nieśmiertelnym garniturze na tle rdzaworudej ściany. „Ciekawe jak będzie wyglądał w normalnych ciuchach? – zastanowił się. – Ja bym przy jego piwnych oczach założył brązowe spodnie i białą koszulkę. Na to bursztynowy, rozpinany sweter albo zamszową kurtkę. Tak, to byłby dobry zestaw".

Przez chwilę wodził palcem po fotografii, jakby chciał wyczuć przez papier ciepło ciała, szorstkość skóry na policzku czy miękkość włosów, potem wrzucił zdjęcie z powrotem do kasetki, położył się na łóżku i po raz kolejny pozwolił sobie na marzenia. Bardzo wyuzdane marzenia. Dopiero o północy wziął do ręki opowiadanie, spojrzał na tytuł i westchnął cicho: miłość to rzeczywiście piekło.

Do samego piekła

Piotr Mrok

Speluna śmierdziała kiszonymi ogórkami i dymem z kiepskich papierosów. Brzęczało szkło, w tle chrypiało radio, a na wpół żywi goście bełkotali smętnie.

– Setkę czystej – rzucił Jan, gdy barman w przepoconym fartuchu przeciskał się obok jego stolika.

Otyły mężczyzna nie zrobił żadnego gestu, który świadczyłby o tym, że usłyszał, a tym bardziej, że przyjął zamówienie. Nie interesowało go nawet, co w jego ruderze robi facet w garniturze wartym więcej niż miesięczny utarg lokalu. Co przytomniejsi goście natomiast przeciwnie. Ich myśli trawiła pełna chłodu kalkulacja. Jak tu skubnąć nieznajomego, tak by nie dzielić się łupem z kolesiami.

Jan niewątpliwie kusił los, ale w sumie mało go to obchodziło. Pragnął w tej chwili jedynie ognia w przełyku, który upodobni go do tych ledwie żywych nieludzi, świdrujących go wzrokiem, starających się odgadnąć, ile ma gotówki w portfelu.

– Długo mam jeszcze czekać? – krzyknął w kierunku baru, nie zważając, że obudził ze snu kilku zbirów, którzy drzemali niczym rycerze pod Tatrami, lecz ich sercom daleko było do czystości, a ich heroizm polegał na tym, że umieli się powstrzymać od zabijania dla zabawy, choć czasem mieli na to ochotę.

– Zamknij ryj, frajerze! – krzyknął obwieś, siedzący przy stoliku w rogu sali. Wyglądał jak podniszczony manekin, a nie jak człowiek, w którym mieszka rozumna świadomość.

– Bo co?! – odwarknął Jan w przypływie głupiej odwagi.

Tamten błyskawicznie zerwał się z krzesła, a wraz z nim trzech innych, równie posiniałych na twarzy. Ich wzrok niczym chłód świeżego grobu uświadomił elegantowi, że ma wielkie kłopoty. Czuł strach, ale także ulgę.

Rozległ się trzask i w dłoni jednego z drabów błysnęło ostrze. Jan nie należał do strachliwych, na uniwersytecie trenował boks, ale podejrzewał, że ci panowie posiadają zbyt dużą wprawę, by dać się zaskoczyć prawym prostym.

Gwar umilkł. Tubylcy zastygli, oczekując na show, może nawet z trupem.

– Ząbki się komuś znudziły? – ni to zapytał, ni oznajmił pomarszczony manekin, rozglądając się rozbawionym wzrokiem po sali. Publiczność zamruczała z zadowoleniem.

Jan wstał, lecz jego prawie dwumetrowa postura nie zrobiła na obwiesiu najmniejszego wrażenia, pomimo że nie odstawał od podłogi na więcej niż metr sześćdziesiąt. Tylko się zaśmiał, a koledzy mu zawtórowali złowieszczo.

Jan uniósł pięści i rozsunął stopy. Wspomnienia z ringu wróciły. Mięśnie też pamiętały. Ale czy były gotowe? Ostatni raz kogoś uderzyły dwadzieścia lat temu, a może to był worek?

Nożownik skradał się od lewej. Kręcił ostrzem jak zaklinacz węży, pogrążony w głębokim transie. Facet manekin wsparł się dłońmi o stół i splunął na blat. Jan zawsze śmiał się z karzełków zapaśników, ale ten nie powodował wesołości.

– Schowaj kosę, Krzywy, gajerka szkoda – rzucił manekin nożownikowi, ale ten nie posłuchał.

Dwaj kolejni bandyci czaili się z tyłu, za kolegami. Dobrze, że tu tak mało miejsca i nie mogą mnie otoczyć, pomyślał Jan.

I wtedy oczekujący na egzekucję mężczyzna poczuł na barku obcą dłoń. Była twarda jak kamień i równie ciężka.

– Siadaj, pan – polecił chrypiący głos zza pleców. – Krzywy, schowaj nóż. Staruch, zabieraj swoje dziwki i wracaj do budy.

– Ale... – próbował protestować pomarszczony.

– Kłopoty ze słuchem? – zapytał grzecznie, acz grobowym tonem nieznajomy.

Staruch znów splunął, a potem zmełł przekleństwo. Posłusznie wykonał w tył zwrot i rozpoczął pielgrzymkę do swojego stolika. Nożownik i dwaj niemrawi także odpuścili sobie polowanie.

Dopiero gdy oddalili się na kilka metrów, Jan ośmielił się odwrócić, by obejrzeć swojego wybawcę.

Ledwie spojrzał, struchlał. Gość wyglądał jak zmutowany golem. Patrzył na Jana z góry, mętnymi oczami, głęboko osadzonymi w nalanej, ogromnej głowie, przypominającej baniak wina. Przez środek policzka nieznajomego przebiegała szrama.

– Mówiłem, poślady na krzesło – powtórzył, a potem przystawił sobie stołek, by opaść na niego z impetem tak dużym, że mebel aż zatrzeszczał.

Jan nie miał wyboru, musiał spełnić prośbę nieznajomego, gdyż alternatywy należały do niemiłych.

– No i? – zapytał Jan, gdy już zasiadł po drugiej stronie stolika. Wrodzona przekora podszeptywała mu, by zapytać, czy już ma oddać portfel, czy dopiero za chwilę. Ale rozsądek uświadamiał, że ten typ może nie mieć poczucia humoru i wraz z portfelem może zabrać kilka zębów, a może nawet policzyć żebra.

– Zadowolony żeś jest z siebie? – Golem cedził każde słowo.

– Nie rozumiem – odparł Jan, lekko odchylając się na krześle, by stworzyć wrażenie luzu. Prawda była taka, że trząsł się jak cholera.

– Nie zgrywaj chojraka – spuentował nieznajomy. – Obserwowałem cię od początku. Wiem, co ci łazi po głowie.

– Naprawdę? Wróżem pan jest, czy co?

– Gościu, nie pitol mi tu. Włazisz wystrojony jak na raut u prezydenta, a potem drzesz się, że chcesz flaszkę. Pytanie brzmi, kobieta, zdrowie czy finanse?

Jan położył dłonie na stole i pochylił się.

– A co ci do tego? – zapytał, lekko poirytowany – Dziękuję za pomoc, oczywiście, ale moje kłopoty to nie twoje zmartwienie.

– Jeśli jakiś frajer na moim terenie chce popełnić samobójstwo rękami chłopaków, to jest to zawsze moje zmartwienie. Bo potem psy będą tu niuchały i zanim zaczają, że sam szukałeś guza, parę osób będzie miało na łapach bransoletki i odwieszone wyroki.

– Rozczarowałem się. Myślałem, że ta troska to o mnie – zadrwił Jan. – Pozwolisz, że się napiję, nim opuszczę TWÓJ teren.

– A więc, kobieta – skwitował mężczyzna. – Tak myślałam, to zawsze o baby idzie.

– Za dużo myślisz, koleś – powiedział Jan i pstryknął palcami na barmana. – Panie starszy, no, gdzie ta flaszka?

Facet ze szramą pochwycił dłonie Jana i gruchnął nimi o blat, unieruchamiając jak w imadle.

– Nie jestem twój koleś, łachu, rozumiesz?!

Jego stalowy uścisk niemal łamał Janowi palce.

– Tak, przepraszam, puszczaj – wyjęczał, zaskoczony i przerażony, bo twarz nieznajomego przeistoczyła się z mdłej galarety w dymiący wulkan gniewu.

– Kochasz ją? – warknął przyjemniaczek. – Odpowiedz, bo wyrwę ci łapy, a potem nimi zatłukę. No!

Jan przez moment walczył z bólem palącym dłonie, próbował się wyrwać, ale to nic nie dało.

– Tak, kocham, ale to nie ma znaczenia – wyszeptał, patrząc w stolik. – Już za późno, na wszystko. Przegapiłem. Zadowolony odpowiedzią?

Mężczyzna poluźnił uścisk, wyzwalając dłonie eleganta. Ten zaczął je z ulgą rozmasowywać, stwierdzając, że kości są całe.

– Heniu, migusiem flaszkę, tego co zwykle – zawołał golem do barmana, a ten o dziwo nie tylko usłyszał, ale nawet potwierdził krótkim: „Się robi” i pomknął truchtem za kontuar.

– Posłuchaj, facet, nie wiem czemu, ale cię polubiłem – zaczął golem. – Mikołaj niebawem, uznaj to za prezent. Coś ci opowiem.

– A mam wybór?

– Po prostu stul pysk.

Do stolika podszedł barman i postawił dwie szklanki oraz upaćkaną flaszkę, w której kołysał się przezroczysty płyn. Zastygł lekko pochylony, patrząc wyczekująco na mężczyznę ze szramą.

– Spływaj, zawołam, jak będę chciał oglądać twoje spasione dupsko. – Mężczyzna zarechotał, odpędzając grubasa dłonią jak na natrętną muchę. I barman odleciał potulnie.

– O czym to ja? – Zadumał się, wymierzając półlitrówce dwa solidne klapsy w zad. – Aha, już wiem. Był sobie grubasek o imieniu Andrzej.

O rany, będzie snuł pijacką balladę, pomyślał Jan, patrząc jak nieznajomy nalewa wódkę do szklanki. Nie miał zamiaru znosić tego na trzeźwo, więc sięgnął po szklankę, ledwie facet napełnił ją do połowy.

– Gdzie z tym łapami, to czysty spiryt, padniesz jak szmata i gówno z nauki – skarcił go golem, nalewając prawie do pełna.

Podniósł szklanicę, uważając, by nie rozlać ni kropli, i jednym haustem, a miał pysk, w którym zmieściłyby się z łatwością dwie takie pojemności, wlał zawartość do ust. Skrzywił się przeraźliwie, warcząc z zadowoleniem, a potem wytarł usta dłonią.

– Gruby chodził do technikum, tu niedaleko. Nie był specjalnie tępy, ale też nie genialny. Ot, kolejny zahukany przez nadopiekuńczą matkę maminsynek, obczajasz?

Jan kiwnął głową, z konieczności. Kiełkowała w nim iskra nadziei, że opowieść nie będzie długa albo że menel po prostu się urżnie i zaśnie.

– Nie miał kłopotów z nauką, ale kumpli też nie miał za wielu. Jednego, dwóch i tyle. Reszta traktowała go tak, jak na to zasługiwał, czyli jak frajera. No bo jak nazwać kogoś, to wałki strzela i nie wagaruje z klasą, albo beczy i skarży do nauczycieli o byle co?

Golem znów nalał sobie szklankę spirytusu.

– I wszystko było cacy, po jednej stronie frajer, po drugiej klasa, trzydziestu chłopa. Zresztą w całej szkole raptem dwie dziewczyny były, obie tak paskudne, że mało kto na nie leciał; jarzysz, oczy jak gwiazdy, jedno wyżej, drugie niżej, i uszy jak kwiaty polne, pełne miodu. – Mężczyzna roześmiał się i znów chlusnął sobie procentami w usta.

Janowi natomiast zaczęło być bardzo nie do śmiechu, gdyż uświadomił sobie, że mężczyzna jest twardym zawodnikiem i jedna butelka, nawet spirytu, z pewnością go nie obali.

– I naprawdę wszystko by miało finał cacy, grubasek skończyłby studia, znalazłby pracę, kupiłby sobie wdzianko takie jak twoje i roleksa jak twój za tysiąc złociszy.

– Osiem tysięcy – wyrwało się Janowi.

Kilku meneli pilniej nadstawiło uszu, a jeden to aż rozdziawił usta ze zdumienia, trącając kumpla łokciem.

– O żeż, kurwa – zajęczał gawędziarz. – Toż by ci tę łapę ucięli, gdyby nie ja. Matko jedyna, za gajerek chcieli cię ukatrupić, a za osiem patoli... człowieku! Dla bezpieczeństwa, to ty tę cebulę oddaj barmanowi na odchodne, bo ja cię niańczył nie będę całą noc, szczególnie jak mnie zmorzy flaszka.

Tak zrobię, postanowił Jan, uświadamiając sobie, że przeszła mu nagle ochota na przygody i jest gotów za tę lekcję zapłacić zegarkiem, a nawet portfelem.

– A potem grubasek by załapał fuchę za ładną kasiorę, a koledzy, ci cwaniacy, co się z niego nabijali, dziwiliby się, czemu muszą znieczulać się gorzałą, a on nie. Obczajasz, równowaga naturalna byłaby zachowana. Ale niestety grubasek popełnił błąd. Zakochał się.

Matko, jakie nudy, pomyślał Jan, marząc o chwili, gdy wyrwie się z tej nory. To był zły pomysł, od samego początku. Należało się urżnąć w porządnym lokalu, a nie na Starówce w mordowni, gdzie nawet policja po nocy nie przyjedzie, o taksówce nie wspominając.

– Miała na imię Katarzyna, słodkie kasztanowłose dziewczę o piwnych oczach i z pieprzykiem na policzku.

Jan uśmiechnął się odruchowo. Przed oczami stanął mu obraz twarzy tego kociaka. Za takimi dziewczynami chłopcy szaleli i gotowi byli iść na wojnę, byleby tylko opatrywała im chwalebne rany.

– Andrzejek miał kolesia, Mareczka, przyjaciela, a przynajmniej za takiego się podawał. To Marek wyciągnął go na tamte balety międzyszkolne, głównie po to, by mieć ubaw z jego kalectwa.

– Wiesz, fajnie się słucha, serio – przerwał mu Jan i położył dłonie na stoliku, chcąc wstać – ale późno już. O, wiem, umówimy się na kiedy indziej i dokończysz, serio, muszę lecieć.

– Synek, ty chyba nie skapowałeś aluzji – warknął mężczyzna, splatając dłonie jak do modlitwy i sugestywnie naciągając palce w lewo i prawo. – Buzia w dziobek, bo jak mnie zmorzy, to nie skończę.

Wzrok obcego przekonał Jana do poświęcenia mu jeszcze kilku minut swojego cennego czasu.

– Na tej imprezie koledzy, tak zwani kumple, napuścili Kaśkę, by udała, że leci na grubaska, wiadomo, w celu obśmiania lebiegi. I plan szedł perfecto, poza małym detalem. Grubasek potrafił tańczyć. Szanowna rodzicielka, poza trzymaniem synka pod kloszem, postanowiła zrobić z niego człowieka renesansu i między innymi tancerza. Posłała więc małego w podstawówce do szkoły baletowej. Obciach jak cholera, nie dziwota, że nikomu nie gadał, że gdy kolesie grali na boisku w piłę, on paradował w rajtuzach niczym ciota i dygał piruety.

Tak, Jan znał takie mateczki, dumne jak paw, że synuś jest aniołkiem, gotowe mu doczepić skrzydełka i nosić aureolę. Jego matka też próbowała, ale ojciec huknął w stół i posłał pierworodnego w siódme urodziny na obóz harcerski, a wtedy to były obozy, nie to co teraz, że tylko chlanie po

krzakach i całowanie się po kątach. Jan ryczał, gdy kazano mu obierać kartofle. Wyszły mu kwadraty, ale się nauczył. A potem to już go trudno było utrzymać w domu. Bo kto zaznał wolności, nigdy nie da się więcej zamknąć w klatce. Przynajmniej nie tak łatwo.

– Japy porozdziawiali, patrząc, jak gruby z gracją motyla krąży po parkiecie. Chłopak złapał wiatr w żagle i popłynął bajecznie. A śliczna dziewczyna śmiała się, ale nie z niego, jak było umówione, lecz do niego, perliście i szczerze.

Chciałbym to zobaczyć, pomyślał Jan, uświadamiając sobie, że podoba się mu ta historia i kibicuje grubaskowi.

– Po dwóch piosenkach, gdy jasne się stało, że z grubego nie da się zrobić sobie zgrywy, ferajna poszła kontemplować dna flaszek, bo oni na trzeźwo nie wychodzili tańczyć, nie te umiejętności.

– Tak, u nas było tak samo – wtrącił się Jan. – Cwaniactwo podpierało ściany, dopóki nie złapali pijackiego luzu.

– W czasie gdy chłopcy i, o dziwo, także niektóre dziewoje z żeńskiej katolickiej szkoły ładowali akumulatory, Andrzejek obtańcowywał kolejne partnerki. No, co tu kryć, był numero uno wieczoru i cud, że go koledzy nie pobili za ten paskudny kawał. Jednak cały czas myślał o pieprzyku na policzku Katarzyny i plisowanej spódniczce w kratkę, która tak ślicznie wirowała, odsłaniając jej ponętne uda. Niestety tego wieczoru już z nią nie zatańczył. Dokładnie z winy Marka, gdyż tak się wściekł, że tym razem nie udało się mu błysnąć kosztem ofermy, jak to zwykł robić, że przyczepił się do Kasi jak rzep. Nie wiem, czy naprawdę spodobała się mu piwnooka, czy po prostu chciał ją mieć z zemsty, na złość grubaskowi. W każdym razie całą noc nią szarpał jak podczas ataku padaczki, bo tańcem tego nie można było nazwać, no ale nadrabiał nawijką, a czarowanie miał niestety, szubrawiec, doskonale opanowane.

Mężczyźnie najwidoczniej zaschło w gardle od gadania, bo znów powtórzył ceremoniał ze szklanką i w butelce zaświeciło dno. Barman najwyraźniej znał doskonale obyczaje golema, bo gdy tylko usłyszał pstryknięcie palcami, pośpieszył z drugą flaszką.

– Impra się skończyła, Andrzejek w szatni zaczepił dziewczynę i na fali emocji poprosił o telefon. Uprzedził czarusia Mareczka, któremu chyba wtedy wystarczyło, że obmacał se do woli.

– Świetna opowieść, ale... – zaczął Jan, szczerze żałując, jednak minęła północ i mimo wszystko chciał wrócić do domu, bo jutro na siódmą musiał iść od pracy.

– Modra w kubeł, tera ja gadam. – Nieznajomy najwyraźniej zaczął w końcu odczuwać skutki wlania w siebie litra spirytusu. Każdy inny by padł, może nawet martwy, a ten sukinkot po prostu tylko lekko zmętniał i głośniej mówił.

– Zadryndał następnego dnia, a jakże, tak przecież robią napaleni frajerzy. Zaprosił ją do kina, o dziwo, zgodziła się. Zamiast milczeć, idiota, podzielił się ekstazą z... kim? Z kolesiem Markiem, przyjacielem od siedmiu boleści. A ten mu mówi, zróbmy podwójną randkę, wezmę ze sobą tę Aniulę z trzeciej klatki, blondi niebieskookie, bystre jak woda w miednicy, będzie fajnie. Co więcej, dobroduszny Mareczek zabajerował matulę Andrzejka alibi, że niby idą na koło szachowe do szkoły. Mateczka była wniebowzięta. Synek zostanie drugim Kasparowem, zadzwoniła nawet do koleżanki z tą nowiną.

Jan rozejrzał się po lokalu. Cichawo się jakoś zrobiło, ale okazało się, że skład osobowy nie uległ zmianie; po prostu klientela walnęła w alkoholowe kimono, zalegając pokotem, gdzie się dało. Na stolikach, pod stolikami, a jeden bywalec to się nawet kiwał w kucki obok baru, przecząc prawu powszechnego ciążenia, bo balansował jak te skały maczugowe, które u podstawy są węższe niż na szczycie. Jana to ucieszyło, gdyż oznaczało, że gdy jego kompan gawędziarz także zapadnie w sen zimowy, to będzie mógł po prostu wstać i wyjść, może nawet z zegarkiem. Lecz ta nadzieja wnet go opuściła, bo w kącie sali dostrzegł parę bystrych oczu, które świdrująco wpatrywały się centralnie w niego, jak oczy węża obserwujące królika. Pomarszczony człowiek manekin, nie mógł najwyraźniej pogodzić się ze zniewagą i nie tknąwszy kieliszka, po prostu siedział, bębniąc bezgłośnie palcami w blat stolika. Gdy skrzyżował spojrzenia ze swoją ofiarą, kącik ust podskoczył mu w pogardliwym uśmiechu, mówiącym jasno, my, trupie, jeszcze mamy do pogadania, i pogadamy, bądź tego pewien.

– ...kino, ciemność i głupawy film, ciało przy ciele, dłoń przy dłoni, grubasek wniebowzięty, podjarany na całego, mizia kociaka po palcach. Obok Mareczek zaliczał kolejną bazę, robiąc cycatemu blondaskowi przegląd uzębienia językiem, a dłonią sprawdzał, czy mała ma już mokro w majtach. – Nieznajomy zarechotał ze swojego wulgarnego żartu. Jan nie

lubił takich klimatów, ale co miał robić. – Bambus oczywiście pozostał na pierwszej bazie i cały seans miętosił palce Kasieńki. Mareczek, gdyby nie kobieta siedząca przed nimi, zapiąłby z pewnością kumpelę, jak się patrzy, ale ten babsztyl w berecie, ciągle się odwracał i pluł się, że to oburzające i że zaraz zawoła biletera, by pogonił gówniarzerię. No i film przeleciał. A była już późna noc, o wiele za późna jak na grzecznego chłopczyka, po raz pierwszy na wychodnym. Andrzejek speniany cały, że matula raban wyrychtuje, zrobił drugi błąd. Zamiast użyć jajec jak facet i odprowadzić kociaka do samego piekła, a nie tylko pod drzwi domu, ochoczo pozwolił, by Mareczek łaskawie to zrobił za niego, a on sam z blondaskiem, bo to sąsiadka z bloku była, polazł na autobus powrotny. Kobiety zlewają cykorów, synek, rozumiesz? – Mężczyzna ze szramą czknął, ale nadal starał się trzymać otwarte powieki. Co więcej znów sobie nalał szklanicę i wychłeptał. Półtora litry spirytu, a ten nadal oddychał bez respiratora. Jan był załamany.

– Ten kurwiszon mu ją ukradł! – ryknął na całą salę mężczyzna.

Kilku pijaczków podniosło głowy, słabo orientując się zapewne, nie tylko w jakim znajdują się lokalu, ale także w jakim mieście, państwie, a może i planecie. Przepalone mózgi nie wytrzymały zbyt długo i po chwili znów zapadły w śpiączkę, obalając właścicieli w ramiona nieświadomości.

– Andrzejek ryczał po nocach, bo Mareczek oczywiście nie omieszkał ciągać się pod blokiem z nową zdobyczą, dzień w dzień, noc w noc, a do tego opowiadał kumplowi, jak mu to dobrze, jak ją kocha, szubrawiec. Powinienem mu wtedy wpierdolić, rany, kurwa mać... – Nieznajomy zaszlochał. – Uwierzyłem mu, frajer, że tak lepiej, że Kasia dla niego się umówiła na film, nie dla mnie.

Zacisnął dłoń na szklance i po chwili trzasła w jego palcach jak skorupka jajka. Na blat trysnęła krew, nie robiąc na facecie wrażenia. A potem cisnął z obłąkańczym śmiechem resztkami naczynia o ścianę, a na koniec zrzucił ze stołu pustą szklankę i butelkę z resztką zawartości.

Janowi szkoda się zrobiło olbrzyma. Położył rękę na jego zakrwawionej dłoni.

– Już dobrze.

– Żadne, kurwa, dobrze, teraz będzie gorzej, słuchaj, frajerze, uważnie i ucz się.

Barman zamiast wyrzucić rozrabiakę z lokalu, jak to zwykło się robić, pokornie przydreptał i zmiótł bajzel na szufelkę.

– Podać następną? – zapytał, a ponieważ upity już go nie widział swoimi załzawionymi oczami, barman przeniósł pytający wzrok na Jana. Ten pokręcił głową, bo nie miał zamiaru być świadkiem, jak tornado demoluje salę, przy okazji być może zabijając świadków.

– Pogodziłem się z tym, ale ulga przyszła dopiero po dwóch latach, gdy nie widziałem, jak ona wystaje pod szkołą, czekając nie na mnie. Zdałem na studia, nasze drogi z Mareczkiem rozeszły się, bo pojechał do Warszawy, na polibudę. Ja oczywiście zostałem przy spódnicy matuli na lokalnej uczelni. Zacząłem pakować na siłce, wyskoczyłem wzrostem jak dąb, kobiety same pchały mi się do wyra, ech, życie studenckie. Z jedną taką chciałem się hajtać, ale głupia była suka jak hula hop i mi przeszło.

– A nie dlatego, że nie miała pieprzyka na policzku? – zapytał Jan, ze zdziwieniem spostrzegając, że rozmówca trzeźwieje.

– Szybko łapiesz, mały. Ja niestety wierzyłem w tę pierwsza wersję.

– I jak to się skończyło? – zapytał zrezygnowany Jan.

– Ślubem się skończyło, brachu. Mareczek nie omieszkał zaprosić grubaska, pardon, już nie grubaska, lecz przystojniaka, na swój ślub z Katarzyną Białek. Chciał triumfować do końca.

– Daruj sobie tego Andrzejka, obaj wiemy, że to twoja historia.

– Powiesz komuś, jesteś sztywny – burknął wrednie i kontynuował. – Postanowiłem pojechać, wziąłem do kompanii nawet taką laskę z roku, babeczkę, przy której każdy facet sikał po nogach i łasił się jak pies. Chciałem pokazać, co to nie ja, wiadomo, szpan i te sprawy. Pal sześć, że dziewczyna interesowała mnie tyle, co śnieg w lecie. Zimna sucz, która dawała tylko profesorom za wpisy w indeksie. No i lubiła łapać co lepsze towarki, by wyssać i porzucić. Ale ja chciałem ją tylko pokazać, a nie ssać.

Im bardziej trzeźwieje, tym jest smutniejszy, pomyślał Jan, patrząc jak golem wbił wzrok w stolik i bawił się szkłem tkwiącym w ranie, aż niedobrze się robiło od samego oglądania.

– Początkowo było całkiem fajnie. Kumple z budy, och i ech, chwalenie się, poklepywanie po plecach. Mało kto mnie poznał, nikt nie śmiał drwić, zwłaszcza że większość z nich skarłowaciała i oklapła. Byłem z siebie dumny i po raz pierwszy nie żałowałem, że wtedy nie grałem w ich drużynie. Oczywiście nie wszyscy byli żałośni, kilku się powiodło, jak

Piotrowi, który szefował dużej firmie informatycznej, czy Krzyśkowi studiującemu informatykę, ożenił się chłopak z taką jedną, której mamusia miała sieć salonów fryzjerskich, laska taka sobie, ale kapuchy jak lodu. W tę moją wywłokę to wszyscy jak jeden mąż wlepiali gały, niczym w Świętego Graala. Byłem wniebowzięty. Niestety tylko do czasu rozpoczęcia ceremonii ślubnej.

Wyjął w końcu to szło z łapy i położył na stolik. Krew nadal ciekła. Jan podał mu chustkę, ale jej nie przyjął. Widać chciał, by rana się jątrzyła, nie dawała spokoju.

– Ten pieprzony marsz Mendelssohna brzmi mi we łbie do dzisiaj. Mareczek wyglądał jak gwizdek na lokomotywie, wystrojony w czarny frak i wieśniackie spodnie. A ona cała w bieli, królowa śniegu, nie zmieniła się nic przez te lata, oczy, usta i ten pieprzyk, który śnił mi się nocami. Jechałem, marząc, by ujrzeć ją brzydką, rozczarować się i zacząć normalne życie.

– Śliczne dziewczyny z wiekiem robią się piękne, nie przewidziałeś tego, facet... – Jan naprawdę czuł smutek, słuchając tego draba. Sam nigdy czegoś podobnego nie przeżył, bo był z tych chłopców, co w każdym mieście mają inną dziewczynę, ale z wiekiem zauważał u siebie tęsknotę za tym, by mieć z kim poleżeć na kanapie, trzymając się za ręce.

– Miałem ochotę wybiec z kościoła albo krzyknąć, że nie pozwalam. Nie umiałem uciec ani się odezwać, po prostu gapiłem się na to, co nie było moje. Pocieszałem się, że te kilka lat temu nie nadawałem się na jej mężczyznę. A skoro idzie po czerwonym kobiercu i uśmiecha się, to i ja powinienem się uśmiechać, widząc ją szczęśliwą. Lecz zamiast na tej kojącej myśli poprzestać, poszedłem na wesele, żeby się upić, ale także marząc, by jej dotknąć, porozmawiać, zatańczyć. Czemu spełniają się tylko te złe marzenia? Nie minęła godzina, a trzymałem ją w swych ramionach, krążąc skocznie po parkiecie weselnym. Naprawdę się zdziwiła, że to ja. Ależ się wylaszczyłeś, grubasku, tak mi powiedziała. Fajne ciacho z ciebie teraz, Andrzejku. Śmiała się tak, jak tylko ona umiała.

Sala wirowała, piosenka drżała, a ja z każdym słowem czułem coraz mocniej, że to powinno być moje wesele. A gdy zagrał ostatni takt, po jej policzku spłynęła niespodziewana łza. Ze zdumienia zgubiłem rytm i zatrzymaliśmy się. Odruchowo starłem palcami ten mały kryształowy strumyk; nadal czuję jego wilgoć. A cała sala na nas patrzyła. Powinienem

wtedy wziąć ją na ręce i wybiec, naprawdę. Ale nie wierzyłem, że ta łza znaczy więcej niż wzruszenie ze spotkania starego kumpla. To przecież nie mogła być łza żalu, pomyślałem.

Jan słuchał zdumiony, jak z obmierzłego obwiesia Andrzej staje się na jego oczach chodnikowym poetą. A więc ta cała twardość to poza, pomyślał zdumiony.

– I wtedy podbiegł do nas Marek, wyszarpał mi Katarzynę z ramion, a potem zamachnął się i uderzył ją pięścią, aż upadła na posadzkę. Rzuciłem się na niego w szale, ale nim zdążyłem go poturbować, goście weselni nas rozdzielili. Powiedział do niej, szmato, nim wyprowadzili go z sali, szmato, policzymy się w domu. Spotkałem ją potem w toalecie. Łzy i woda zmyły cały makijaż, odsłaniając siniec pod lewym okiem. Ze świeżo rozciętego prawego policzka sączyła się krew. Dociskałem ręcznik do rany, tak ukochany pieg rozorała głęboka bruzda. Katarzyna tłumaczyła, że on tylko tak czasami, ale to tylko w gniewie, że go kocha, że to nic, bo to zazdrość. Gdy odchodziłem, zapytałem, i to był mój trzeci błąd, czy wtedy, w kinie, była tam dla mnie czy dla niego. Odpowiedziała, szczerze. I to przypieczętowało los. Za każdym razem, gdy o tym myślałem, to podejmowałem tę sama decyzję i szedłem na górę, by z nim porozmawiać, uświadomić mu, ale co? Może to tylko kolejna wymówka, kłamstwo, może w głębi duszy, tupiąc po drewnianych schodach, wiedziałem, co się stanie. Oczywiście nie przewidziałem wszystkiego. Tego, że zastanę go z tą moją szmatą z uczelni, jak ją bierze od tyłu, jak zwierzę, jak sapią i stękają, obrzydliwie. Oraz tego, że uderzę go gaśnicą, pierwszym ciężkim przedmiotem, jaki się nawinął, a potem ją. I uderzałem tak, aż przestali się ruszać, aż całe prześcieradło i podłoga lepiły się od juchy.

Jan przymknął oczy; od pewnego czasu podejrzewał, jak skończy się ta opowieść, ale chciał nie mieć racji.

– Ocknąłem się chyba dopiero w wiezieniu, z dziesięcioletnim wyrokiem, miałem niezłego papugę, to fakt, i udało mu się wykazać, że działałem w afekcie, ale i tak to nie miało sensu. Nawet rok w tamtym miejscu smakował jak sto lat. Odwiedziła mnie tylko raz, gdy już dawno miałem za sobą okres bycia czyjąś dupą, a stałem się na tyle ważny, że to inni dawali mi tyłka i się z tego cieszyli jak z Mikołajek. Spojrzała ma mnie oczami, które straciły cały swój koci blask i oznajmiła, że wyjeżdża z kraju. Prosiłem, by to przemyślała, błagałem, ale powiedziała, że jej nie znajdę i

żebym nawet się nie starał. I nie znalazłem, choć próbowałem ze wszystkich sił.

– Nie wiem, co powiedzieć – oświadczył Jan, gdy mężczyzna zamilkł i spuścił głowę. – No i nie rozumiem, jaki to ma związek...

– Naprawdę nie kumasz? W tym sporcie nie ma miejsca na penianie, bo pierwszy błąd tchórzostwa może kosztować życie. Goń za tą swoją kobietą, to takie trudne? Ze wszystkich sił, jeśli ją kochasz, goń.

– Ale ona też wyjechała z kraju i to bardzo daleko. Nie wiem, gdzie jej szukać, to inna sytuacja. Zresztą kocha ją mężczyzna, któremu ufam i wiem, że będzie z nim szczęśliwa. Ja nie jestem tak dobry jak on.

Andrzej zaśmiał się gorzko, wprost rechotał przeraźliwie. Jan próbował go uspokoić, ale ten dostał jakiegoś napadu. Nie przestał nawet wtedy, gdy Jan zerwał się z krzesła i ruszył wartkim krokiem do drzwi speluny.

Nim nacisnął klamkę, jak spod ziemi wyrósł mu na drodze pomarszczony manekin. Menel chciał zapewne powiedzieć coś zabawnego i nawet się uśmiechnął nastrojowo, ale Jan przyłożył mu prawym prostym i poprawił sierpowym, posyłając na posadzkę; no, grawitacja też nieco pomogła.

Taksówka przyjechała i to był kolejny cud.

– Gdzie jechać, mistrzu? – zapytał przestraszonym głosem kierowca. Rozglądał się, czekając, że z ulic wybiegną wikingowie lub zombie, bo to taka okolica była.

I Jan powiedział mu, gdzie ma jechać. Choćby do samego piekła, oby tylko tam znalazł oczy, w których chciał tak bardzo tonąć każdego dnia. Menel ze śmierdzącej speluny nauczył go więcej niż nobliwi profesorowie. O tym, że lepiej dać z siebie wszystko i nawet przegrać, niż kiedykolwiek żałować braku odwagi.